

Antologia SF

Na krawędzi nocy

Opowiadania

Przedmowa

Zbiór opowiadań *Na krawędzi nocy* zawiera prace nagrodzone i wyróżnione w grudniu 1994 roku przez jury Konkursu na Małą Formę Literacką, jaki ogłosiło Krajowe Centrum Kultury Polskiego Związku Niewidomych w Kielcach.

Prace nadesłane reprezentowały wiele gatunków literackich: od humoresek, aforyzmów, legend, reportaży i wspomnień, po nowele i opowiadania, od miniatur po wielostronicowe utwory epickie. Jury podzieliło je na dwie kategorie: prozę literacką i literaturę wspomnieniową, przyznając w obu nagrody i wyróżnienia (sygnalizowane przy nazwiskach autorów książki).

W konkursie wzięło udział wielu niewidomych i słabo widzących z całego kraju. W zgłoszonych pracach spożytkowali oni własne doświadczenia życiowe i literackie, demonstrując bogactwo wyobraźni, poczucie humoru, a przede wszystkim dystans wobec świata i siebie. Czasem domyślać się można zbieżności losu narratora i autora, częściej narrator kreuje świat, za którym nie szukamy konkretnej biografii. Brak w twórczości autorów prac konkursowych cech jednoznacznie identyfikujących osoby piszące, zatarcie granicy wieku autorów, różnic w wykształceniu, sytuacji materialnej, stanie zdrowia, dowodzi ich dużej dojrzałości artystycznej. I nic dziwnego, większość z nich ma bowiem dorobek literacki, niekiedy obszerny.

Tu dotykamy jądra książki, która, wyrastając z doświadczeń ludzi przekraczających własne słabości - o tym wiemy spoza konkursowych tekstów i z wypowiedzi wspomnieniowych - bądź poprzez subtelnie rysowane sylwetki bohaterów literackich, skutecznie szukających miejsca w świecie, niekiedy po przekroczeniu krawędzi nocy, rozumianej metaforycznie, na różne sposoby i jako krach dotychczasowej kariery zawodowej, spowodowany utratą wzroku, i jako kres nadziei związanych z ulokowaną w kimś miłością, i jako brutalne zwichnięcie świata dziecięcego wywiezieniem na Sybir przez NKWD, bądź przez przykład samych autorów, aktywnych w życiu zawodowym, niekiedy świetnych organizatorów życia społecznego, budzi w czytelniku nadzieję.

Oto ja w podobnej sytuacji może nie poddam się, może podejmę walkę o siebie, o drugiego człowieka o nadanie sensu i wartości życiu własnemu i życiu tych, którym przecież tak wiele mogę ofiarować. Muszę się tylko przełamać, potrudzić, wyciągnąć rękę lub przyjąć dłoń zwróconą do mnie w przyjaznym geście.

Mamy nadzieję, że oddawany Czytelnikom tom poza przyjemnością lektury da im zachętę do podjęcia wysiłku i znalezienia w sobie siły, by nawet spoza krawędzi nocy wrócić do poranka na nowo budzącego się dnia.

Marek Jędrych

Stanisława Juskiewicz „Osiem części jajka”

Wyróżnienie w kategorii prozy literackiej

Mała Justyna, gdy tylko na dworze robiło się zupełnie ciepło, co dzień mogła widywać Bronisia - jedyne go towarzysza zabaw wczesnego dzieciństwa.

Dzieciaki całymi dniami mogły hałasować po rozległej łące, okalającej głęboki staw z przybrzeżnymi zaroślami. Buszowały również po starym owocowym sadzie, gęsto porośniętym dziką, wysoką trawą. Sad otaczał podwórze oraz zabudowania od strony wschodniej. Ku stronie południowej, szerokim wachlarzem rozciągała się łąka. Między sadem a domem oraz kwiatowym ogródkiem a łąką, rosło coś, na co Broniś z Justysią patrzyli jak na zjawisko z innego świata. „Zielona Ściana” - platanina wszelkiego rodzaju krzewów i bluszczu: bzu, jaśminu, czeremchy, powoiku. Nikt z dorosłych nie pamiętał, od kiedy tam rosła, ani kto ją posadził. Przez nikogo nie pielęgnowana, ale i nie niszczone, rosła wzwyż, gęstniała.

Zielona Ściana... Wszyscy tak nazywali ten liściasty mur.

Justyna z Bronisem wierzyli, że jest zaczarowana. Budziła w nich podziw, szacunek i strach. Najbardziej jednak podsyciała dziecięcą wyobraźnię. Kiedy wybiegając z sadu stawali zdyszani przed Zieloną Ścianą, zapierało im dech z ciekawości:

- Co też w tej chwili może dziać się na łące, po drugiej stronie Zielonej Ściany?
- Albo w zaroślach, nad stawem...

Podobna sytuacja wytwarzała się, gdy znajdowali się przed Ścianą od strony łąki. Na pewno podczas ich nieobecności musiało wydarzyć się coś niezwykłego.

Chcąc do końca zaspokoić rozbudzoną ciekawość, dzieci wychodziły na wygodną, szeroką dróżkę, biegnącą poprzez łąkę, od domu i sadu do samego stawu. Z chwilą, gdy znalazły się już na owej dróżce i bez przeszkód mogły penetrować tereny leżące po obu stronach Zielonej Ściany, wszystko dokoła stawało się normalne: ulatniała się podniecona wyobraźnia, rozplýwał się zaczarowany świat.

Justyna zastanawiała się często nad tym, czy w Zielonej Ścianie mieszkają jakieś leśne duchy...”Może wróżki - czarodziejki? A może krasnoludki?” Na ten temat jednak z nikim nigdy nie rozmawiała.

Dorośli wiedzieli, że dziewczynka najchętniej bawi się w starym zdziczałym sadzie.

- Tam - podkreślała z naciskiem w rozmowach ze starszymi siostrami - jest mało słońca. Lubię bawić się pod tymi wielkimi drzewami. W trawie można zobaczyć tak dużo różnych owadów. Biegać łatwiej! Jak z Bronisem bawimy się w chowanego, to zawsze pierwsza dobiegam do ”zaklepanego” drzewa. Pod drzewami oczy nie są zmęczone. Nie muszę ich bez przerwy zamykać. Dobrze jest tam, gdzie słońko nie wysyła tyle promyczków. Pod drzewami można łatwo wyszukiwać różne kryjówki. A ile tam zielonego agrestu do jedzenia!

Żółtych słodkich czereśni! Rabarbaru!

Malin! Są nawet poziomki! Wtedy, kiedy na łące, na podwórkach i na drodze jest tak jasno od słońca, nie lubię żadnych zabaw. Nic mi się nie udaje.

Broniś nazywa mnie wtedy ”Mruży-oka”. W sadzie jest inaczej: słońce oczkom nie dokucza i wszystkie zabawy stają się łatwe.

Justyna dość często wypowiadała podobne zdania. Wniosek był jednoznaczny.

Dziewczyna cierpiała na posuniętą w dalekim stopniu nadwrażliwość na światło dzienne. Urodziła się z tą wadą. W rodzinie nie od razu zorientowano się, że dziecko przyszło na świat z fatalnym stanem.

Spojrzenie jasnych oczu Justyny było czyste, wyraźne. Pewnego letniego dnia wyniesiono dziecko przed dom na podwórze. Słońce bardzo intensywnie zalewało swoim blaskiem w około małe i duże przedmioty. W polach dojrzewały zboża: ogrody oraz sady przyciągały dojrzewającymi owocami. W obejściu Pleszaków panował słodki spokój. Rodzice przed chwilą wrócili do domu z pola, ażeby zjeść obiad i przeczekać największy upał. Po południu dokończą plewienie buraków na dużym zagonie. Hania - najstarsza z córek, osiemnastoletnia - ściągała ze sznurków pachnącą, wykrochmaloną bieliznę.

Dziewięcioletnia Urszulka bawiła się z niedużym podwórzowym psem. Jadzia, czternastoletnia, ale ponad wiek rozwinięta fizycznie, ukazała się na schodkach małej werandki, trzymając na rękach najmłodszą siostrę.

- Popatrz Justyniu, jak ładnie dzisiaj na dworze! Widzisz, tam, tam, leci ptaszek. O! Drugi... Justysiu...

Jadzia przyjrzała się małej podejrzliwie. Podeszła do młodej wisienki, rosnącej przy ogrodzeniu: przyciągnęła gałązkę oblepioną czerwonymi kuleczkami.

- Justyniu, zerwij wisienkę. No, zerwij!

Dziewczynka wyciągnęła rączkę ku gałązce i przesunęła paluszkami po listowiu. Nie patrzyła na soczyste owoce. Nie patrzyła na nic. Powieczki zacisnęły się na źrenicach, ale to jakby nie wystarczało. Dziecko zaczęło osłaniać oczy piąstkami, wreszcie - ukryło główkę na ramieniu siostry.

Jadzia przywołała Hanię oraz rodziców. Stanęli w milczeniu, obserwowali.

Patrzyli na dziecko, to znów spoglądali na siebie.

- Jezu Chryste!!!

Wszyscy milczeli i wydawało się, że to milczenie drąży dziurę w rozgrzanym popołudniowym żarem powietrza, do samego nieba. I w tym spotęgowanym milczeniu było można usłyszeć, jak kruszy się proste ludzkie szczęście.

Potem nastąpił wybuch płaczu, lament. - Pozostałe trzy córki takie zdrowe! A Justynka?... Dlaczego?... Boże! Boże!...

W końcu pogodzono się z rzeczywistością, przyzwyczajono. Justynka rosła, rozwijała się z każdym miesiącem.

Jadzia, która najwięcej własnego czasu poświęcała najmłodszej siostrze, nauczyła ją przeróżnych szkolnych piosenek. Dziewczynka lubiła popisywać się przed dorosłymi swoim talentem. Przyciągała do siebie wszystkich, którzy się z nią zetknęli, gdyż miała tak bujną fantazję, że czasem dech zapierało w piersiach. W piątym roku życia zapytana po raz pierwszy przez ciocię Rysię, ile ma lat, odpowiedziała z dumą: W cerwcu skończyłam chyba czterdzieści.

Kiedyś Urszulka przyniosła ze szkoły zły stopień z matematyki. Rodzice robili córce wymówki, że się nie uczy, że z psami po polach ugania. Słyszając to, Justyna skonkludowała:

- Kiedy ja pójdę do szkoły, to będę psynosiła same piątki i soboty.

Pewnego sierpniowego dnia niebo nad całą okolicą było powleczone pierzastymi, o najprzeróżniejszych kształtach, chmurami. Justyna ubzdurała sobie, że ta najniżej wisząca, utkana jest z koronki. Wdrapała się po drabinie na dach stajni, a potem - nie wiadomo w jaki sposób - dotarła na sam szczyt dachu, żeby tę chmurkę zdjąć z "nieba". Na szczęście ojciec był wtedy na podwórzu i zauważył wyprawę najmłodszej córki po nieosiągalną zdobycz. W pierwszej chwili znieruchomiał z przerażenia, ale opanował strach o dziecko i spokojnym, łagodnym głosem zaczął do małej mówić, żeby stała spokojnie i nie wyciągała po chmurkę rączki, że on przyniesie dużą drabinę, wejdzie do niej i pomoże chmurkę złapać. Niełatwo było dziewczynkę odwieść od zamiaru złowienia chmurki, z której uplanowała sobie uszycie koronkowego szala oraz takich samych rękawiczek.

Innym razem, w jesienne mgliste przedpołudnie, ponad dwie godziny uganiała się za mgłą.

- Chciałam - mówiła zanosząc się od płaczu - chociaż kawałek tej mgły przynieść do domu i dać mamie w prezencie. A ta głupia... Co ją dogonię, to mi znów ucieknie. Żeby chociaż wiedziała, gdzie ona mieszka... Przestała płakać.

- Mamo, a gdzie mieszka mgła? A jeszcze wiatr. Gdzie on mieszka? Czy mgła i wiatr mają rodziców?...

Taka była Justyna.

A Broniś? No cóż, po prostu urodził się.

Nieślubne dziecko Reginy. Przyszedł na świat pół roku później po narodzinach Justyny. Kto był ojcem? Nikt z sąsiadów nie wiedział. Sama Regina pewno też nie wiedziała.

Urodna była, chętna do wieczornych schadzek. Mało to młodych i niemłodych chłopów wywołało ją za Zieloną Ścianę od strony łąki? Regina nie miała żadnego zawodu, ani swojego mieszkania. Jediną jej własnością było żelazne łóżko przywiezione z koszar wojskowych, w zamian za dostarczane dla żołnierzy na poligon warzywa. Mieszkała kątem u starszej siostry i szwagra, Martyny i Józefa Klickich. Kliccy posiadali dużo dobrej uprawnej ziemi i piękną łąkę. Martyna przygarnęła siostrę po śmierci rodziców. Tak przynajmniej zwierzała się znajomym: "Przygarnęłam". Ludzie wiedzieli jednak, że ze strony Klickiej nie był to samarytański obowiązek. W gospodarstwie i w polu było dużo prac, żeby zbyt szybko się nie zestarzeć, ceniła sobie wszelkie wygody. Przy tym była egoistką, nie miała zrozumienia ani współczucia dla innych. Tam, gdzie widziała korzyść, potrafiła się filuternie przypochlebić, natomiast, gdy jej na kimś nie zależało, umiała pyskować, że mało kto mógłby jej dorównać. Reginę traktowała niczym służącą. Można by rzec: "Jeździła na niej, jak na starej kobyle". Tamta nie potrafiła się bronić. W nikim nie miała oparcia. Pracowała więc jak kobyła, jak prawdziwa służąca - za wyżywienie i za ten ką, w którym stało polowe łóżko.

Gdy urodził się Broniś, z ust Martyny nie schodziło słowo: "dziwka", kierowane w stronę Reginy, kiedy ta naraziła się w jakiś sposób chlebodawczyni.

Chłopaczek chował się nawet zdrowo. Regina przestrzegała zasad higieny. A pod nieobecność Martyny wykładała co smaczniejsze potrawy i podsuwała dziecku. Nie daj Boże, żeby zauważyła to ciotka. Byłby wrzask na całą okolicę, że: Nie dosyć, że dziwka! Latawica! To jeszcze złodziejka!

Pleszakowie, jako najbliżsi sąsiedzi Klickich, często kiwali głowami i wzdychali po cichu. Nie chcieli komentować przy dzieciach, zwłaszcza przy Justynie, losu niezaradnej i

osamotnionej panny i jej dziecka. Zauważyli, że Justyna nie lubi Klickiej. Nie chcieli potęgować tego odczucia w małym umyśle.

Zastanawiali się tylko nad tym, skąd u dziewczynki taka niechęć do tamtej? Wprawdzie dzieciaki bawią się prawie każdego dnia przy domu Klickich, ale raczej nigdy nie zdarzyło się coś, co mogłoby świadczyć o niechęci Marty do ich córki. Niebawem uzyskali na nurtujące ich zagadnienie prostą i zwięzłą odpowiedź.

Za kilkanaście dni Justynka miała skończyć pięć lat. Ostatnie czerwcowe dni były pogodne, a nawet upalne. Dorośli byli zajęci swoimi sprawami.

Hania Pleszakówna wyszła dwa miesiące temu za przystojnego Leszka Z. Odkąd była mężatką, zaczęła najmłodszą siostrę traktować z pewnym dystansem.

Justyna też za nią nie przepadała. Urszulka wołała zawsze raczej psy i koty, ostatnio namiętnie uczyła się jeździć na młodym koniku; młodsza siostra ją nie obchodziła. Jadzia - najbardziej bliska, ukochana, była poza domem. Lada dzień miała przyjechać na długie wakacje. Justynka całą duszą czekała na ten przyjazd siostry-przyjaciółki, póki co, uganiała się z Bronisem całymi dniami po zarośniętym starym sadzie Klickich, zanurzała głowę w pachnącą trawę, obiegała wokoło staw. Wracała do domu zmęczona, brudna, ale zadowolona z przeżytego dnia.

Pewnego jednak wieczoru, Pleszakowa na twarzy córki, zamiast zwykłego uśmiechu, dostrzegła jakieś zadumanie czy nawet smutek.

- Stało się coś, Justysiu?

- Nie.

- Broniś ci nie dokuczał?

- Broniś... Nie. Mamo, ugotuj mi jutro na śniadanie jajeczko na twardo i pokrój je na...

- dziewczynka odliczyła osiem paluszków u swoich rąk - tyle mam, osiem.

- Dlaczego akurat ma być tyle kawałków? I na twardo? Ty zawsze bardziej lubiłaś jajka miękkie.

- Lubię jajko gotowane na miękko, ale dzisiaj pani Klicka Mariolce dawała takie jajko w kawałkach. Było ich właśnie - znów wyeksponowała osiem paluszków - tyle, mam.

- Dobrze, ugotuję ci. Śpij teraz spokojnie.

Nazajutrz matka postawiła przed Justysią na jednym talerzyku dwie małe kromeczki chleba z masłem, na drugim - jajko na twardo pokrojone na osiem równiuteńkich części. Justyna jadła chleb popijając go mlekiem; patrzyła na biało-pomarańczowe kawałeczki na drugim talerzyku, ale jakoś ociągała się z ich spożyciem.

- Czemu nie jesz jajeczka? - Zjem przecież.

W pewnym momencie uwagę matki przyciągnął czajnik gotującej się na herbatę wody.

Zdjęła z paleniska czajnik i zalała wrzątkiem przygotowaną w małym czajniczku herbatę. Po dokonaniu tej czynności spojrzała na Justynę.

Talerzyk po jajku stał pusty, a ona... Wykorzystując nieuwagę matki, w jednej chwili zgarnęła wszystkie kawałeczki w jakiś przygotowany uprzednio paperek, a teraz wciskała zawiniątko do kieszonki żółtego fartuszka, który tego dnia miała na sobie. Pleszakowa była z natury kobietą łagodną. Nie miała zwyczaju krzyżeć na swoje dzieci. Wobec tak jawnego oszustwa nie mogła pozostać obojętna.

- Jajko gdzie? - spytała ostro.

- Zjedzone - niepewnie odpowiedziała Justysia i szybko chciała wybiec z domu.

- Pokaż, co włożyłaś do kieszonki. Głos matki był twardy i stanowczy. Nie było mowy o jakimkolwiek sprzeciwie.

Justynka sięgnęła do kieszonki i wyciągnęła paperek, z którego posypały się na podłogę, nie kawałki, ale okruszki jajeczne. Na ten widok dziewczynka wybuchnęła głośnym płaczem. Pleszakowa nie wiedziała, jak zareagować. Położyła ręce na dziecięcych barkach, przeczekała, aż głośny płacz przejdzie w szloch. Dopiero wtedy zapytała: - Dlaczego nie zjadłaś jajka, tylko schowałaś do kieszeni. Zniszczyłaś je w ten sposób.

I wtedy, poprzez łzy, Justysia zaczęła mówić:

- Mamo, ja chciałam zanieść Bronisiowi, chciałam, żebyśmy zjedli je po połowie. Ja i Broniś - bez Marioli. Ona wczoraj od swojej mamy dostała wszystkie osiem kawałków. Pani Klicka pilnowała, żeby Mariola zjadła wszystkie. Broniś podkraść się i jeden kawałek zabrał z talerzyka i zjadł.

Pani Klicka wtedy uderzyła go dwa razy w plecy. Mocno uderzyła, bo Broniś później długo płakał. - Ty stary koniu! - krzyżała pani Klicka. - Dziecku będziesz wyzerał! Matka niech ci kupi i ugotuje.

- Mamo, tak naprawdę to nie wiem, czy Broniś płakał dlatego, że dostał od pani Klickiej po plecach, czy dlatego, że miał apetyt na jajko?

Pleszakowa ugotowała dwa jajka na twardo, obrała ze skorupki i każde osobno zapakowała w papierową torbę.

- Justysiu, jedno zjedz ty, a jedno daj Bronisiowi. Nie trzeba, żeby były pokrojone w ósemki. Smaczniejsze są w całości.

- No, idź bawić się.

Wreszcie nadszedł ten wyczekiwany przez Justysię dzień urodzin.

Wiedziała, że otrzyma w prezencie lalkę i nową sukienkę.

Przypadkowo podsłyszała, kiedyś rozmowę z Hanią. Hania była krawcową i spod jej ręki miała wyjść śliczna błękitna sukienka, w falbankach!”Oj, żeby tak jeszcze kokardę w takim samym kolorze przypięli jej do włosów...”

Od tygodnia w domu przebywała Jadzia. Od jej przyjazdu dom poweselał, a Justysia przy starszej siostrze czuła się taka szczęśliwa!”I teraz jeszcze urodziny. Tyle dobrego naraz.”

Ale po takiej myśli, pojawiła się następna:”Jakie też urodziny będzie obchodził Broniś? Chyba smutne, bo jego mama nigdy nie robi mu prezentów.

Nigdy do niego nikt nie przyjeżdża. Może Bronisia w ogóle nikt oprócz niej, Justyny, nie kocha?”

Justynka nie budziła się zbyt wcześnie. Od zawsze wieczorem zasypiała późno, natomiast rano dosypiała najsmaczniejszym snem późnych godzin.

Domownicy, z doświadczenia, wiedzieli, że jeśli zostanie wybudzona przedwcześnie, cały dzień będzie miała ”muchy w nosie” i nic nie przywróci jej humoru wczorajszego dnia.

Jadzia ostrożnie weszła do sypialni, żeby pozbierać pościel i powynosić na dwór.”Taka ładna pogoda, niech się wietrzy. Nie będziemy jej żałować ani słońca, ani wiatru”.

Spojrzała w stronę malej.

- O! Tysiu! To ty już nie śpisz? Wcześnie jeszcze.

Nawet się uśmiechasz. Co to się stało? Gdzie mamy zapisać takie wydarzenie?

- Uśmiecham się, bo śniło mi się, że pani wiosna przez otwarte okno weszła do pokoju, podeszła do mnie, pocałowała mnie w czoło. O, tu.

Jadzia przytuliła mocno do siebie rozpromienioną siostrę.

- Wszystkiego, wszystkiego dobrego Tysiu. Od dziś będziesz wszystkim mówiła:”Skończyłam pięć lat. Jestem stara...koza.”

- A teraz wyskakuj z posłania. Czekają na ciebie prezenty.

Po śniadaniu, Justyna, wystrojona w nową sukienkę koloru nieba, z taką samą wstążką we włosach oraz w podobnej barwy podkolanówkach, wyruszyła w stronę posiadłości Klickich.

Najpierw musiała przejść, od domu do drogi, ich własną alejką, wysadzaną po obu stronach młodymi wisienkami. Potem drogą skręcała w prawo, szła około pięćdziesięciu metrów. Kliccy mieszkali po lewej stronie drogi, musiała więc skręcić w lewo i wychodziła na alejkę dłuższą od ich alejki, po której obu stronach rosły wiśniowe drzewa, ale wysokie,

rozłożyste - dostojne. Dziewczynka wiedziała, ile tych wielkich drzew znajduje się po każdej stronie; po jednej siedem, a po drugiej - osiem.

U nas - myślała - po jednej stronie jest pięć drzewek, a po drugiej - tylko cztery. Kliccy są od nas o wiele bogatsi.

Gdy przechodziła między leciwymi drzewami wzdłuż alejki, odczuwała dumę, że potrafi tak sama, bez niczyjej pomocy, przejść z domu do Bronisia i nie zbłądzi! A przecież po drodze są dwa zakręty. Weszła na podwórze Klickich.

Broniś, ubrany w czerwone majteczki, układał z kamyków mapę podwórza, na którym znajdowali się obecnie. Zauważył Justynę i przez chwilę zapomniał o swoim zajęciu. Przyglądał się z zainteresowaniem wielkiej kokardzie oraz sukni powiewającej falbankami.

- Ładna jesteś - powiedział. - Jak w przyszłym roku prześcignę cię w latach, to weźmiemy ślub.

- Broniś, co ty wygadujesz! W latach nigdy, nikt nikogo nie prześcignie.

Pytałam Jadzię i ona mi tak powiedziała. Jadzia wie wszystko najlepiej.

Broniś zgarnął na kupę znajdujące się w pobliżu kamyczki.

- Justyna, chodź, idziemy do sadu. Zobaczymy, kto pierwszy wejdzie na „starą” jabłonkę...

- Nie, ja dzisiaj do sadu nie pójde, bo bym sobie sukienkę zniszczyła.

Układajmy kamyki.

Między domem, a częścią Zielonej Ściany znajdował się niewielki kawałek uprawnej gleby. Rosły tam same kwiaty.

Wyłączność pielęgnacji kwiatowego ogródka przyjęła na siebie Regina.

Kolorowe grządki były jej chlubą. Zabiegała o każdy kwiatek, strzegła, jak najcenniejszej rzeczy. Ten niewielki ogródeczek stanowił dla Reginy sens istnienia pół roku, jej ukojenie na różne bolączki. Niczym ołtarz czciła to zaciszne miejsce.

Dzieciom znudziła się zabawa kamykami. Poszły nad staw. Broniś wiedział, że dzisiaj dla Justyny jest jakiś nadzwyczajny dzień. Przypomniało mu się, że parę dni temu przyniosła dla niego całe jajko. Wręczyła mu je na łączce.

Zaczęli jeść. Justynka upuściła swoje w trawę i nie mogła go znaleźć.

Broniś zjadłszy swoje schylił się po upuszczone przez Justysię, wygrzebał z trawy i zjadł. Teraz chciałby jej też coś podarować, ale co? Wracając od stawu przez łąkę dzieci zatrzymały się przed Zieloną Ścianą, akurat przy tej części, która odgradzała owe rabatki. Stały, i jak zwykle, patrzyły co się dzieje po drugiej stronie. Poprzez liściaste prześwity

widniały różnokolorowe bratki, czerwone i białe goździki, pomarańczowe pazurki i wiele innych jeszcze, przyciągających barwami kwiatów.

W tym momencie Broniś doznał olśnienia. Zapomniał o surowym zakazie matki: "Do ogródka wstęp wzbroniony". Zerwie dla Justysi we wszystkich kolorach po trochu. Wślizgnął się do ogródka przez furtkę i nazrywał: trochę białych, fioletowych, żółtych i czerwonych. W milczeniu wręczył je dziewczynce. Justyna przyjęła bukiet, ale gdy wzięła kwiaty do rąk, okazało się, że Broniś zrywał wszystkie za blisko kielichów. Łodyżki były krótkie, wypadały z ręki.

- Zobacz, jak nieładnie pozrywałeś. Wszystkie mi poginą. Broniś nie zdawał się być tym zafrasowany. Jeszcze raz stanął w ogródku i zaczął wyszukiwać - jego zdaniem - najdorodniejszych.

Nagle za plecami Justyny rozległ się zimny twardy głos:

- Justyna! skąd wzięłaś te kwiaty?! Była to Regina.

Akurat wyłaziła z pobliskiego warzywniaka, gdzie tyczkowała fasolę.

Poznała swoje kwiaty w rękach dziewczynki i ogarnęła ją fala takiej wściekłości, że na ten widok starszy syn Martynty stanął w osłupieniu.

Regina dopadła Justyny, ale w tym momencie dostrzegła za furtką ogródka prawdziwego winowajcę.

- Bronek! Ty jasna cholero! Ty trutniu niewydarzony! Łapy poprzetrącam.

Szła w stronę ogródka. Chłopak zdążył wymknąć się drugą furtką po przeciwnej stronie.

- Zdzisiek, - Regina zwróciła się do dwunastoletniego siostrzeńca - dogoń tego czorta. Nauczę go! Raz na zawsze!

Młodemu Klickiemu nie trzeba było powtarzać dwa razy. Puścił się pędem za Bronisem; dopadł i szarpiącego się chłopca ciągnął w stronę matki. Broniś wierzgał nogami, rzucał się jak piskorz, ale jakimś cudem nie wypuścił z rąk zerwanych przed chwilą goździków. Na ten widok Regina wściekła się jeszcze bardziej.

- Poprzetrącam! Zabiję! Zatrzasnę! Szczeniaku! Darmozjadzie! Wypierdku!

Justysi na te słowa zrobiło się ciemno w oczach, w gardle wyschła ślina, a nogi wrosły w ziemię. "Matko - pomyślała - Broniś będzie zatrzaśnięty"...

Poprzez podniesione na moment powieki ujrzała, Jak Regina podniosła spod ogrodzenia długi, gruby kij i skierowała się w stronę Zdziśka, który trzymał miotającego się i wrzeszczącego w niebogłósy Bronisia.

- "Tam będzie go zabijała. Co robić? Może krzyczeć?" Ale Justysia ze strachu nie mogła wydobyć z siebie ani odrobiny głosu. Stała wrośnięta w ziemię i wydawało jej się, że cały świat na nią się przewraca. Zaciskała pięści, nie wiedząc, że po nowych błękitnych falbankach spływają stróżki potu, zabarwione kolorowym nektarem pochodzącym z Bronisiowego bukiecika.

Krzyk Bronisia świdrował uszy, wciskał się coraz głębiej i głębiej.

Usłyszała uderzenia. Nie wie, czy było ich dużo, czy nie.

- Jezuu! To pewnie już zabijanie się odbywa, tam, na podwórku. Serce omal nie wyskoczyło z malutkiej piersi. Uderzenia ustały, krzyk wciąż dobiegał.

- Co teraz będzie? Broniś na pewno już zabity - zatrzaśnięty. Tak jego mama postanowiła.

Dziewczynkę opanowały mdłości. Byłaby może upadła, ale z krytycznego stanu wyrwał ją głos Reginy: - A ty Justyna, do domu! E, żebym cię tu na żadnej zabawie więcej nie widziała.

Dziecko posłusznie, na trzęsących się nogach, skierowało się w stronę podwórka, gdzie przed chwilą odbyła się "egzekucja". Broniś wciąż wrzeszczał. Justysia, przechodząc koło leżącego chłopca, poczuła, jak wszystkie wnętrzności podchodzą jej do gardła. Przerazenie było tak olbrzymie, że nie pozwoliło jej przejść do przyjaciela. - "A więc tak wygląda zatrzaśnięcie - przemykały przez główkę myśli. - To znaczy, że Broniś został w jakiś sposób przymocowany do trawy i ziemi i już nigdy nie będzie się mógł stamtąd uwolnić. A słońce tak strasznie piecze! A on pewno jeszcze w to słońce będzie musiał patrzeć. Jakie to straszne! Jakie straszne!" Słaby wzrok Justysi oraz natężenie słonecznego światła sprawiły, że dziewczynka nie mogła dokładnie widzieć leżącego Bronka, który nie był niczym przykuty do ziemi. Nie widziała też sceny podczas wymierzania chłopcu przez matkę kary. Zbyt dosłownie potraktowała słowa rozgniewanej Reginy, reszty dokonała wyobraźnia. Opuściła podwórze Klickich, zabierając z sobą krzyk Bronisia. Szła jak automat, spięta, nasłuchująca. Wydawało jej się, że każde źdźbło trawy, które ją dotknęło, każda muskająca główkę gałązka - wszystko, wszystko dokoła - krzyczało krzykiem Bronisia. I potęgował się ten krzyk w małej dziecinnej duszy, ażeby przyzwyczajony mógł przetrwać przez wiele, wiele lat, a wywołał odpowiednim rezonatorem - odezwać się znowu.

Justysia dopiero pod swoim domem spojrzała na trzymany w rączkach bukiecik. Ani śladu z pięknych kolorowych płatków. Miazga, nie wiadomo jakiego koloru. Wszystko zmarnowane.

- Justka, coś ty taka blada? To Hania zauważyła wracającą siostrę.

Justysia spojrzała w stronę domu Klickich:

- Tam na podwórku - leży zabity Broniś - wyjąkała.

Hania wzruszyła ramionami. - Głuptasku, chodzisz po słońcu z odkrytą głową i wygadujesz bzdury.

Gdyby to była Jadzia, zamiast Hani... Jadzia by wysłuchała, wytłumaczyła, uspokoiła. Ale właśnie dzisiaj poszła zrywać maliny, aż do wieczora. Za daleko, ażeby Justysia mogła do niej pójść. Nie miałyby nawet na to siły.

Cała wewnętrznie rozdygotana aż do wieczora, w milczeniu, odchorowała przedpołudniowe zajście roztrojem przewodu pokarmowego: torsjami, bólem brzuszka oraz biegunką.

Upłynęły dziesiątki lat. Przez ten czas Justyna wyrosła, skończyła szkoły i wyszła za męża. Niełatwe miała życie. Mąż zginął w wypadku w niespełna trzy lata po urodzeniu córki. Ciężko było wychowywać dziecko samotnie nie przerywając pracy. Czasem zaglądała w rodzinne strony, ale nie był to już ten dom, który pamiętała z dzieciństwa. Rodzice pomarli. W domu została Hania z Leszkiem. Justyna przypominała sobie dziecięce lata: sad i łąkę w posiadłości Klickich oraz Bronisia. Nie pamiętała jednak, kiedy i w jaki sposób się rozstali. Mówiono, że jakaś dalsza krewna zabrała od Reginy Bronisia do siebie na wychowanie.

Justyna przebrnęła jakoś przez dzieciństwo swojej córki - ukochanej Anetki, dorodnej, ciemnowłosej, piwnookiej, o wesołym, ale stanowczym usposobieniu. Dziewczyna dojrzewała z każdym rokiem, aż przyszła pora małżeństwa. Po dwóch latach od chwili zamążpójścia Anetka urodziła syna.

Justyna miała za sobą dwadzieścia pięć lat pracy. Była zmęczona i samą pracą, i dojazdami. Z ulgą przeszła na rentę.

- Będę bawiła wnuka. Sebastianek potrzebuje dobrej opieki. A kto będzie mu ją w stanie zapewnić, jeśli nie taka cudowna babcia?

I rzeczywiście. Patrzyła w małego jak w najcudowniejszy obraz. Żeby nie krzyknąć. Żeby, kiedy trochę podrośnie, dużo tłumaczyć.

- Anioł w spódnicy, Sebastianku - komentowała podczas swojej wizyty ciocia Jadzia, mocno już podstarzała matrona, ale wciąż jeszcze z ognikami w oczach. Te ogniki po cioci Jadzi odziedziczyła chyba Anetka, bo Justyna miała oczy całkiem łagodne.

Sebastian dorastał pod opieką babci-Justynki w sercu Szczecina, a tymczasem w Kielcach grono-oddanych sprawie zapaleńców powołało do życia piękną instytucję: Krajowe Centrum Kultury Niewidomych i Słabowidzących.

Justyna lubiła recytować, a jeszcze większą przyjemność sprawiało jej odtwarzanie postaci scenicznych. Dobrała sobie spośród znajomych trzy, cztery osoby całkiem poważne; ta niewielka grupa zaczęła bawić się w teatr.

Każdy wyjazd do Kielc sprawiał Justynie ogromną, niepojętą radość.

Traktowała te wyjazdy jak wielkie świąteczne dni. Jak posiłek ze świeżego wiejskiego chleba posmarowanego najprawdziwszym swojskim masłem. Tęskniła do tych organizowanych imprez, bo w jej przekonaniu czerpała z nich siłę do dalszej codzienności - szarej i monotonnej. Zdawała sobie sprawę, jak maleńką namiastkę artystycznego świata dają te spotkania. Ale jakąż olbrzymią wartość miało dla niej...

Najbardziej ceniła sobie tzw. "Biesiadę Literacką".

Podziwiała - umiejętność wytworzenia przez organizatorów podniosłego nastroju.

Aneta chodziła zawsze nadąsana, gdy Justyna przygotowywała się do podróży. - Tyle czasu cię nie będzie, mam, jak ja sobie ze wszystkim poradzę?

- Poradzisz sobie, córko, poradzisz.

Kiedyś, przed jednym z wyjazdów do Kielc, Justyna postanowiła upiec piernik. Trochę zabierze ze sobą, a resztę zostawi domownikom. Wykręciła numer telefoniczny jednej ze znajomych: - Halo... - Grażynko miła, chciałabym wiedzieć, skąd ty bierzesz taki wspaniały ser. Zależy mi na tym szczególnie teraz. Jeśli byłabyś tak dobra...

Grażynka odpowiedziała, że, owszem, pojedzie z Justyną na przedmieście do pani Zofii, której chyba nikt nie dorówna w produkcji twarogu. Umówiły się.

Pojechały. W autobusie Grażynka opowiadała Justynie, jak to pani Zofia, opuszczona przez męża, mieszka z ojcem i czteroletnią córeczką. Dojechały do celu. Niedaleko od przystanku autobusowego znajdowała się posesja pani Zofii. Weszły do środka. Justynę uderzył kwaśny zapach nieumytych po mleku naczyń.

- Pani Zosiu, Zosieńko - szczebiotała Grażynka - prowadzę klientkę po najlepszy serek.

Zza drzwi ukazała się młoda, wysoka kobieta. Gęste, czarne włosy, samoistnie układały się w loki. Oczy, także czarne, duże i bardzo ładne rysy twarzy. To była pani Zofia. Nie spojrzała zbyt przyjaźnie na przybyłe kobiety, a te dostrzegły natychmiast, że gospodyni jest czymś zdenerwowana.

- Stało się coś? Grażynka próbowała przebić jakąś niemłą atmosferę.

- A stało się, stało. Z sąsiadującego z kuchnią pomieszczenia wyciągnęła za rączkę małą dziewczynkę. Dziecko było tak podobne z urody do pani Zofii, że nie pozostawało

najmniejszej wątpliwości, że to jej córeczka. Tylko że w oczach matki widniał gniew, natomiast oczy dziewczynki rozszerzone były niepomiernym strachem.

- Powiedziałam, że jak jeszcze raz wyjdzie na drogę, to utnę głowę - o, tym tasakiem.

Zofia przyciągnęła dziewczynkę do kuchennego stołu, na którym wśród różnych przedmiotów leżał tasak do mięsa. Dziecko błagalnie wpatrywało się w Grażynkę, jakby wiedziało, że stamtąd jedynie może przyjść ratunek.

- Nie bój się, Anulko, mama cię tylko straszy, bo nie chce, żeby na drodze przytrafiło ci się jakieś nieszczęście. Mogłabyś przecież wpaść pod samochód. Grażynka łagodnie przemawiała do dziewczynki. Zofia z wściekłością potrząsnęła drobnym ciałkiem córki: - Straszy! Zobaczymy, czy to jest straszenie!

Justyna, widząc w oczach małej narastające przerażenie, włączyła się do rozmowy: - To jasne, że dzieciak nie może przebywać tam, gdzie jeżdżą samochody, ale małej trzeba to tłumaczyć inaczej. Nie groźbami.

- Dobre rady, paniusiu, zostaw dla swoich. Tłumaczyć! Gówniarz i tak nie zrozumie. Pójdzie tasak w robotę!

Dziecko zaczęło się trząść. Chciało coś powiedzieć, ale z gardziółka wydobył się tylko nieokreślony dźwięk. Grażynka zaczęła z kolei przemawiać do matki, ale tej złość nie opuszczała.

Justyna nagle poczuła coś dziwnego. Wydawało jej się, że stojąca przed nią dziewczynka jest jej, Justyny, częścią, że coś wspólnego z nią mają te przerażone oczy dziecięce.

Ale co? Dlaczego ten strach w czarnych oczach małej to jakby ona sama...

O Boże! Tak. To tamto wydarzenie z urodzinowego dnia. To krzyk Bronisia przecież w tej chwili się w niej odezwał. I rozpaczliwa bojaźń, druzgocąca dziecięca bezsilność. Wszystkie fakty tamtego dnia stały przed nią jak żywe. A pani Zofia wciąż wygrażała Anulce.

Justyna wyszarpnęła dziecko matce. - Grażynko, wyjdź z małą przed dom!

Zofia też chciała za nimi. Justyna przytrzymała ją mocno za rękę: - Ty stara, głupia krowo - wysyczała w twarz młodej kobiety. - Nie potrafisz wyobrazić sobie, jakie tortury zadajesz dziecku? Ja podobny strach, nie o siebie przecież, tylko o mojego małego kolegę, przeżyłam na własnym ciele.

Zapomniałam o tym, ale dzisiaj tu, odżywa we mnie cała scena.

Zofia stała z otwartymi ustami. Justyna rozluźniła uścisk swojej dłoni.

Zaczęła opowiadać całą historię tamtego incydentu. Usiadły. - To co mam zrobić, - spytała Zofia - żeby nie wychodziła sama na tę cholerną szosę?

- Najpierw musimy wszystkie całkowicie się uspokoić, ja, pani, a przede wszystkim - mała Anulka. W drugiej kolejności spróbujemy znaleźć metodę, by pani córeczka wolała bawić się w pobliżu domu.

Po niedługim czasie od wydarzenia z małą Anulką Justyna urządzała przyjęcie imieninowe. Na honorowym miejscu, oczywiście, ciesząca się wciąż dobrym zdrowiem i jeszcze lepszym humorem - Jadzia. Przyszły dwie serdeczne koleżanki Justyny oraz Anetka z mężem i małym Sebastianem. Jadzia opowiadała dowcipne historie z dzieciństwa. Na przykład o tym, jak chciała się koniecznie nauczyć sisiać w taki sposób, jak robił to jej mały kolega.

Jadzia nie pamiętała, po ile mogli mieć wtedy lat, ale pamiętała, jak bardzo jej się podobało, kiedy robił to na stojąco, a strumyk jego moczu sięgał tak daleko.

- Szanowałam go - mówiła Jadzia - za to sikanie. I opowiadała dalej, jak próbowała osiągnąć taki sam rezultat, w efekcie czego, całe nogi były zawsze mokre, a strumyk jej moczu nigdy nie przybrał takiego kształtu, jak u Zenka.

Było wesoło, ale o poważnych rzeczach też należy trochę powiedzieć. Justyna opowiedziała o tym, co zaszło u niejkiej pani Zofii. Opowiedziała też o swojej reakcji. Przytoczyła także owo wspomnienie z dzieciństwa...

Zakończyła stwierdzeniem, że zawsze się starała, aby w stosunku do swojej córki nie używać metod zastraszania.

Na te słowa Aneta wybuchnęła serdecznym śmiechem. W piwnych oczach zatańczyły ogniki.

- O matko wyrodna! I ty, wobec tak dostojnego grona, twierdzisz, że nigdy mnie nie postraszyłaś?

- Oczywiście, że nie. Jestem tego najzupełniej pewna.

Aneta zanosila się od śmiechu: - Mamusku, a kto swojej trzyletniej córce powiedział, że uschnie jej ręka, jak będzie ją podnosiła na mamę?

Słuchajcie. Ile ja się tej swojej ręki naoglądałam po kątach czy mi schnie.

Przykładałam jedną do drugiej i porównywałam. I tylko czekałam, kiedy mi ta jedna zacznie schnąć. Tak chyba było do ósmego roku życia. No, a kiedy już zmądrzałam, to przyrzekłam sobie, że jak urodzę własne dziecko, to nigdy, ale to nigdy, nie popełnię wobec niego takiego głupstwa.

- Córeńko moja miła, a matko mojego jedyne go wnuka, jak na razie podtrzymujesz stwierdzenie, że wobec swojego pierworodnego nie popełniłaś błędu?

- Tak, podtrzymuję.

- To może zechcesz mi wytłumaczyć, dlaczego po mojej, za ledwie czterodniowej, nieobecności, mały w żaden sposób sam nie chciał przejść przez przedpokój?

- Nie wiem. Domyślałam się tylko, że musiałaś mu "babciu" naopowiadać strasznych bajek i dziecko po prostu się bało.

- Otóż wcale nie. Zanim to jednak wyświeśliłam, musiałam porządnie się nagłowić. Wyobraźcie sobie, że po powrocie z Kielc zauważyłam, iż mały boi się zostać sam w przedpokoju, szczególnie bojaźliwie patrzył w ten kąt, gdzie wisi zasłona w nieokreślonych kształtach malowidła. Patrzył w ten kąt i powtarzał: "Wilki".

Pomaleńku zaczęłam go wypytywać, aż wreszcie wyciągnęłam, że to mama mówiła: - "Sebastianku, jak będziesz wychodził ze swojego pokoju, do pokoju, gdzie mama ogląda film, to z tej zasłony zejda wilki i cię porwą".

- Justyna ciągnęła dalej: - Ile musiałam się natłumaczyć, żeby w końcu wyperswadować, najpierw z zasłony, a potem z tej małej główki, stado wilków. No i co teraz powie moja mądralińska?

- Mamo, chciałam obejrzeć po "dzienniku" film, a ten, zamiast spać w łóżeczku, w małym pokoju, co jakiś czas maszerował do mnie. Musiałam coś wymyśleć.

- Obydwie zastosowałyście wspaniałe metody wychowawcze. Jadzia chichotała zadowolona z filizanki czarnej kawy.

Justyna z Anetką obrzuciły się ciepłymi spojrzeniami. Obecny przy stole, od tych spojrzeń, zrobiło się miło i swojsko. Aneta z szerokim uśmiechem powiedziała po chwili: - Dyc prawdę rzekła ciocia Jadzia, prawda, mamusku?

- A jużci, że prawdę. I przeniosły wzrok na bawiącego się w złodzieja i policjanta Sebastiana. Oj, żeby wszyscy rodzice w stosunku do swoich dzieci wykazywali tylko taki stopień niedopatrzenia, jak my obydwie - byłoby dużo dzieci szczęśliwych.

Maksymilian Bart-Kozłowski

"Wstępowanie w królestwo nocy"

Wyróżnienie w kategorii prozy literackiej

Wielka gala sali podnosiła atmosferę do nieokreślonego żaru. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy razem albo pojedynczo za chwilę wyruszą na szlak poszukiwania złota. Z wypiekami na twarzy kręciły się kelnerki, poprawiając na stołach to tu, to tam, chociaż wszystko oczekiwało już na gości w należyтым porządku. Koło stołów było pusto. Przy wejściu, ale pod ścianą stało kilka osób w oczekiwaniu na wydarzenie. Niektórzy zmieniali raz po raz nogę, to w przód, to w tył. Zdenerwowanie, gorączka oczekiwania, godzina wyznaczona była tuż. Bankiet miał się rozpocząć za kilka minut.

Wcześniej miało nastąpić podpisanie ważnej, arcyważnej umowy. A po dokonaniu tak ważnego ceremoniału planowano wielkie żarcie, no i, picie na potęgę do kwadratu albo i więcej. Delegacji japońskiej spodziewano się za chwilę. Tu już nie wchodziło w grę jakieś tam betonowanie na Syberii lub w Kazachstanie. Poprzeczka szła mocno w górę; budowa miasteczka sportowego w Japonii. I pieniąż za robotę konkretny, twardy. Ucho chętnie słucha o takich walorach waluty. Co poniektórzy szeptali po kątach, że firma rozłoży się na łopatki, że tam trzeba podołać specjalnym warunkom. Ziemia w Japonii trzęsie się raz na tydzień albo i częściej. Ostrożni przestrzegali, ale czynili to szeptem. Odważni mieli za nic japońską trzęsionkę. Nic dziwnego, że Kunk, mój bezpośredni przełożony, przypominał szczegół za szczegółem, jak to wszystko ma toczyć się po kolei. Sam ułożyłem plan. Ale to był jego plan. Po akceptacji tak już zostawało. Teraz byłem tylko wykonawcą; taka moja rola. Kunk rządził, nie ja. To on był dyrektorem potężnej firmy. To on podejmował decyzję o betonowaniu fundamentów na japońskiej trzęsionce.

Projektować można i miasta na Jowiszu, ale decyzję taką podjąć to, już inna sprawa. Każdy z nas miał swoją rolę do wypełnienia na bankiecie.

- Japończycy uważają na każdy drobny szczegół. Nie może być żadnej, nawet najmniejszej gafy. Rozumiesz, Glas?!

- Rozumiem, szefie... - odpowiedziałem pewny siebie. I mogłem tak powiedzieć. O wszystko zadbałem. I o to nawet, że namówiłem studentkę, uczącą się japońskiego, aby przy konsulu przemieniła się w uległą gejszę.

To takie do towarzystwa niewiasty w Japonii. Czemu więc nie miała być taka w Polsce na uroczystości.

- Żadna gafa. Mur! - upewniał się Kunk.

- Mur, beton - zapewniłem pryncypała. Kunk uśmiechnął się. To lubił. W ogóle miał zalety i wady. Wady zawsze przeważają u ludzi stojących społecznie wyżej. Tak każdy z niższego szczebla, patrzący w górę, uważa.

Byłem jego sekretarzem technicznym. Tak określono w angażu. Nie kojarzyło się to nikomu z funkcją sekretarki, które Kunk zmieniał każdego roku z wiosną. Sekretarza technicznego nie zmienia się tak prędko. Nie tylko sprawa przynależności do rodzaju męskiego miała tutaj wpływ. Po prostu sekretarz taki znał firmę i on wszystko przygotowywał. Był krwią swego szefa w firmie. Uśmiech Kunka oznaczał, że lęk o wynik bankietu przechodzi już w stan zadowolenia.

- Mur-beton - powtórzyłem do siebie. Kunk poprawiał muszkę, wypręzał się, wciągał brzuch. Miał swoje lata. Tym częściej zmieniał sekretarki.

Rozejrzałem się po sali. Wszystko zapięte na przysłowiowy guzik. Tylko ten ból w oczach budził nieznany dotąd niepokój. Szczególnie ćmił w lewym oku. I chwilami nieokreślone uczucie, że drzemie gdzieś w bliskości, może tuż obok albo i jest już w człowieku jakaś przesłona, co może przesłonić salę, oczekujących w skupieniu ludzi, okna, wszystko. Skąd takie uczucie?

Dlaczego? Po co? Przecież uśmiechają się wszyscy i Kunk się uśmiecha. Nie znałem nigdy takiego bólu. Trzeba iść do okulisty. Klucie gdzieś w głębi źrenicy przemijało. Ot, zwykle przemęczenie, przejdzie. Przeżyć ten bankiet, odpocząć. Łatwo powiedzieć... Realizacja umowy pociągnie kolejność spraw w nie mniejszym tempie. Wyjazdy fachowców i pseudofachowców, tych nie będzie brakowało. I twardy pieniądz przesłoni oczy, tą realność własną świata. Presja na Kunka będzie narastać to od jednego, to od drugiego albo i drugiej. Kto jest jego sekretarką? A, Lusia, wygląda na sprytną. Tym gorzej i dla Kunka, i dla mnie. Pcha się niejeden na kontrakt, a nie umie nie tylko rysunku technicznego odczytać, ale i własnego nazwiska.

Oczywiście, będzie pchał się taki owaki przez Lusię. I Kunka też trzeba będzie pilotować. Jest dobry na błysk, na pierwsze uderzenie. Trochę jest w nim i z Papkina od Fredry. Taki na pif, paf, ale to nie jest tylko jego wada. Może nas wszystkich i tak już jest od stuleci. Barykady szybko budujemy, ale utrzymać je, a jeszcze przejść do ataku, to już trudniej.

Ale ten snop światła od reflektorów bije po oczach, istny ogień. Daję znak dłonią - przygaś, przygaś. Obsługujący rozumie opacznie. Dodaje kilka luksów, światło jarzy. Nie mogę podejść bliżej. Tłumek przy wejściu zafalował. Nie była to meksykańska fala, ale miła dla oka. Ożywienie budziło następną falę. Konsul czy wicekonsul japoński jest już blisko.

Wiodący delegację japońską człowiek był niskiego wzrostu. Tuż za nim posuwał się kocim krokiem słusznego wzrostu mężczyzna. O, ma ochronę...

Musi być szychą.

Za ochroniarzem szło kilku, ale nie większych od konsula. Czy to jest konsul we własnej osobie?

Teraz jest moja chwila, uczyniłem krok do przodu. Zawirowało w mózgu, coś wpadło do głowy, jakby gorący kamień albo zarzewie z ogniska. Przeminięło.

Jeszcze jeden krok, muszę to spełnić... Muszę wszystko wykonać zgodnie z harmonogramem przeze mnie zresztą ustalonym. Kunk jest w pobliżu, konsul też... W głowie smaga ogień, jeszcze pół kroku... Może poprosić kogoś, kto jest bliżej?! Ogień rozpała się we wszystkich przestrzeniach mózgu... Ale czemu na oczy nakłada się noc?

...Hałas, niebywały hałas rozległ się w sali. Z rąk moich, szczyt niezdarności w oczach każdego, wypadł kryształ, piękny rubinowy wazon, duma zaopatrzeniowców. Pyszni się zdobyczą cały dzień. Teraz w drobnuteńkim kryształowym piasku rozsypuje się pod nogi, po suto zastawione stoły.

Przerażone pracownice popiskują w obawie przed odpryskiem na nylonowe pończoszki. To była chwila. Uśmiechał się konsul. Miał w sobie coś z wodza.

Wódz nie okazuje tego, co mu się snuje po głowie i we wnętrzu. Dobry wódz jest z natury w takiej sytuacji kamieniem. Kunk, przerażony, złapał się za głowę. Nastrój uroczysty znikł. I jak tu toczyć dysputy na temat korzystnych wzajemnie operacji handlowych. Ten kryształ miał być przepustką do owocnych obrad. Tak przynajmniej nam się wydawało, mnie także...

Wraz z niebywałym hukiem w mojej głowie wszystko powróciło do normalności. Tylko rozsypany w miazgę gruz kryształowy na podłodze świadczył o wydarzeniu...

Konsul usztywnił swoje stanowisko, poprosił o opinie biegłych. Niby rozbity kryształ nie był tego przyczyną.

Kunk krzyknął: - To przez ciebie, ślepy jesteś, czy co? - Taka gafa... człowieku, popsuleś wszystko...

- Kontrakt będzie - odpowiedziałem słabo.

- Kontrakt, kontrakt, ale jaki?! - i odszedł. Zostałem sam. Dokuczliwa samotność skoczyła mi do gardła. Wszyscy wyszli bez pożegnania ze mną. A przecież i w takim momencie kontrakt będzie podpisany, powinni wszyscy łasić się jak koty. To ja podpowiadałem, kogo Kunk ma wysłać na roboty za konkretny, twardy grosz...

Kunk drugi dzień z rzędu nie wzywał mnie do siebie. Siedziałem za biurkiem i gapilem się w okno. Po niebie snuły się obłoki o rozmaitych kształtach. Oczy uspokoily się. Z niemałym zaciekawieniem przyglądałem się chmurom. Każdą przemieniałem w jakąś postać. Prowadziłem tajemne dialogi.

Jak za dziecinnych lat. Nikt mną się nie interesował...

Kunka spotykałem przypadkiem na korytarzu. Obydwaj udawaliśmy się do miejsca, gdzie i królowie podobno chodzą na piechotę. Syknał:

- Co, ślepy pan jest?! Delegacja po zбиiciu kryształowego wazonu rozjechała się. Konsul rozdawał grzeczne uśmiechy. Wódki nie chciał się napić. A jak bez drinka załatwić milion dolarów? Jak...

- Przecież kontrakt podpisano...

- Podpisano, podpisano... - zgryźliwym głosem rzekł Kunk i zamiast w pisuar lał na posadzkę.

- Przypadek z tym kryształem.

- Przypadek, przypadek - sarknął i opuścił szybko toaletę. Zapomniał ukryć z pewnością ważną część męskiego ciała, bo za drzwiami usłyszałem pisk kobiecy i kilkakrotnie - przepraszam, przepraszam... Czekałem na umówioną wizytę u lekarza okulisty. Właściwie wielkiej chęci ku temu nie przejawiałem. Nic mnie nie bolało, ale odczuwałem lęk przed następnym atakiem bólu i to w chwili nieprzewidzianej. Miałem jeszcze przekonanie, że Kunkowi moja wiedza i doświadczenie jest niezbędne. Los okazał się niezwykle srogi.

Diagnoza lekarza była krótka:

- Natychmiast do szpitala!

Telefonicznie powiadomiłem Kunka o tym fakcie. Wyczuwałem w jego głosie zaniepokojenie. Uspokoilem go, że na moim biurku jest opracowany w szczegółach kalendarz realizacji kontraktu. Poczulem satysfakcję.

Po dziesięciu badaniach lekarskich w szpitalu odniosłem nieomylnie wrażenie, że z każdą minutą, godziną, nieznanne moce przenoszą mnie, wbrew mojej woli, w inny świat. Bywało, że badało mnie nieraz i dwóch lekarzy na zmianę, szepcząc coś pomiędzy sobą.

Nie wytrzymałem, spytałem:

- Chciałbym i ja coś wiedzieć?!

- Jeszcze nie wiemy, jak temu wszystkiemu podołać. Cierpliwości. Jest pan w szpitalu, tutaj pomoc jest na miejscu.

- Pomoc! - stwierdziłem nijako.

- Często miewał pan ataki bólu w oczach? - spytał drugi lekarz.

- Nie, ale w chwili niespodziewanej... - i przypomniałem sobie nieszczęsny dzban kryształowy i odchudzony kontrakt.

- I w chwilach emocji - stwierdził pierwszy lekarz.

- Tak - przyznałem. - Można to tak określić.

I znów szept. Wyteżyłem ucho. Jeszcze nie miałem słuchu wyostrzonego jak obecnie.

Nadchodziła noc, kolejna noc w szpitalu. Spałem na korytarzu. Oczekiwałem miejsca na sali. Dopiero wówczas miała nastąpić operacja oczu. Noc to była upragniona pora doby. Gasły spojrzenia ludzkie, kierowane raz po raz w moją stronę. Neony za oknami przygasały. Nie wbijały się w człowieka, takie kłujące, mówiące ostrym światłem: - jesteś chory, chory...

Neony dręczyły myślą, że oto one bardziej potrzebne są światu, Kunkowi, niż ja. Martwe przedmioty, a tyle mówią za ludzi. Nikt nie odwiedzał mnie w szpitalu. Kunk tylko raz zatelefonował. Nie rozumiał czegoś w opracowanym kalendarzu kolejności załatwiania tej ważnej umowy zagranicznej. Kunk nie rozumiał zapewne i innych rzeczy tam opisanych. Dziwne, że nie pojmował tylko jednej sprawy...

Miał już zapewne doradcę. To niemożliwe, podpowiadała mi próżność.

Przecucie nie myliło, stawiało na pewno, że tak jest. Przecież telefonowałby częściej, przyjeżdżałby z kwiatami. Tym sztucznym znakiem przyjaźni, jak to bywa u niejednych. Może jeszcze wpadnie i chociaż okaże litość. A to da się wyczuć już po pierwszym spojrzeniu. Banalna rozmowa i unikanie spojrzenia wprost w oczy, jedynie w bok, gdzieś w okno, w ścianę, byle nie na człowieka, oczekującego jak najwięcej. Kunk jednak nie przychodził, zagoniony sprawami albo i gonitwą za nową atrakcyjną damską znajomością.

Nocą buntowałem się najwięcej. Nie chciałem przyjmować darów tego świata: tej pseudoopieki, politowań, czułości na pokaz. To był gwałt zadany moim planom życiowym. I ja chciałem pojechać do Japonii, do kraju kwitnących wiśni i podobno dobrych ludzi. Spytałem lekarkę, która najwięcej kręciła się przy mnie:

- Co będzie ze mną?

- Nic wielkiego.

- To dlaczego jestem w szpitalu? Co mi grozi?

- Mogę panu powiedzieć, że trochę wzroku jeszcze uratujemy. Jest taka szansa.

- Przecież ja widzę!

- To prawda i w tym jest nadzieja.

- Nadzieja?!

- Niech pan śpi... - i odeszła w cichość dyżurnego pokoju.

Ale nie spałem. Przeżywałem swój nocny film życia. Mógłbym dać mu tytuł: „Królestwo nocy”. Tylko jeden kadr nie podobał mi się wcale. Powaga ceremoniału, idący konsul, który może nie był żadnym konsulem, ale przedstawicielem firmy był,

pełnomocnictwa miał. Sprawdziłem odpowiednio wcześniej. Błyski w oczach wszystkich, bo to wróżyło wiele dobrych zjawisk.

Wizja dolara, ba więcej - wszak jen japoński to waluta twarda, twardsza od dolara. I te perspektywy: zazdrość sąsiadów, znajomych, kuszone powiewem pięknego banknotu cudne dziewczyny w kawiarniach luksusowych hoteli. Oczy obecnych na sali mogły z gorąca podpalić cały budynek.

- Czemu pan nie śpi? Mogę dać panu tabletkę - przerwała mi myślenie kategoriami mojego filmu nocy lekarka, która jednak opuściła swój pokój dyżurny. Może niespokojny pacjent nie dawał i jej spokoju.

- Dziękuję...

- Mam jedno pytanie, skoro i tak sen nie kusi pana. Czy kiedyś nie został pan czymś uderzony w głowę?

- Nie pamiętam.

- Może jednak? Widzi pan, piszę pracę naukową na tematy zbieżne z pana chorobą? Szukam przyczyn?

- Mnie to już i tak nie pomoże - odpowiedziałem oschle.

- To prawda, ale przypomni pan sobie.

Spojrzałem na nią. Z oczu patrzyło ciepło. Może i ona chce pomóc nie tylko mnie. Nie miałem nagle ochoty na dalszą samotną noc.

Spytała:

- Gdzie pan w młodości pracował?

- W kopalni.

- W kopalni?! Może jednak?

- Ach, tak, rzeczywiście, miałem pewne zdarzenie, ale to nic wielkiego..?!

- Może pan opowie.

I opowiedziałem. Rzeczywiście miałem niezbyt silne uderzenie w hełm.

Miałem jednak oczy krwią zasnucone od impetu uderzenia. Trochę bolał kark od nagłego, może i szkodliwego wstrząsu. Byłem u lekarza zakładowego.

- I co? - pytała lekarka.

- Nic, po prostu nic, kazał iść do pracy, a nawet dziwił się, że z takiego błahego powodu wyjechałem na powierzchnię.

Lekarka nie skomentowała mojej wypowiedzi.

- I długo miał pan oczy poplamione krwią?

- Nie pamiętam. Na pewno dłużej niż tydzień. Dziewczyna pogniewała się na mnie, że nie przychodziłem. Wstydzilem się czerwonych oczu..

Lekarka milczała i po chwili wezwała na długie, długie badania.

Przechodziłem od jednego aparatu kontrolnego do drugiego. Był to istny maraton dla pacjenta.

- Czy ten dawny niewielki wypadek ma jakiś związek z obecną moją chorobą? - spytałem.

Lekarka nie odpowiedziała, pogłaskała mnie po głowie jak chłopca.

Nazajutrz miałem operację. Oczy i ja podczas operacji nie istnieliśmy.

Nie istniałem, nie byłem obecny. Ocknąłem się na łóżku w sali. Na oczach opatrunki i kompletna ciemność, tak więc istnieje królestwo ciemności.

Czarno, czarno, ale jak zmobilizowałem swoje myśli to było inaczej.

Królowały myśli barwne i barwny przeistaczał się świat. Wyobraźnia wzbogacała się coraz bardziej z każdą chwilą. Następowало przekonanie, że ja nie chcę istnieć w drugim świecie. Dlaczego to miał być świat drugi?

Inny, gorszy, taki na marginesie pierwszego, pełnego tęczy i codziennego wschodu słońca. Ja nie chcę opuszczać pierwszego świata. Zedrzyć z oczu opatrunki. Jakie fatum mnie tu dobrowolnie przeniosło, z pierwszego świata do szpitala, będącego przedsionkiem, przesłaniem do drugiego świata.

Uciekać, uciekać jak zwierz i ukryć się. Tak zwierzęta czynią. I człowiek tak teraz czyni w lęku, ucieka, a uciec nie może...

A jeśli mu się zdaje, że ucieka, to jest to powrót do miejsca początku, nic więcej. Bo ucieczki człowiek nie ma, jedynie widnieje przed nim droga, którą musi iść mądrze, dobrze, udolnie, nieudolnie lub koślawo. Może w przyszłości będzie się człowiekowi wydawało, że ucieka, bo miejscem docelowym będzie nam nieznana planeta w innym układzie słonecznym. A i to będzie pozorne. Człowiek zawsze tworzy wokół siebie świat jednak, a różnice wynikają stąd, że jakaś barwa zaakcentuje się silniej, soczyściej... Ale ja zapragnąłem ucieczki, zdjęć opatrunki i zwiać, zwiać..

Usłyszałem głos lekarki:

- Jak pan się czuje?

Milczałem, bo i co tu można było mówić. Ucieszyłem się jednak. Tak cieszy się człowiek w królestwie dźwięku. Każdy dźwięk, szmer jest wizytówką, przedsmakiem innej obecności. To już był drugi świat.

- Ma pan wizytę... - Tylko proszę nie przemęczać chorego.

To był Kunk. Zapachniało kwiatami, obłudą, radością, sielanką, wszystkimi barwami tęczy, które sobie ludzie co dzień przekazują - gestem, dotykiem, zniecierpliwieniem w głosie, uśmiechem, udawaną mimiką twarzy, wesołą, smutną, lub kwitującą to wszystko pstrykiem w nos drugiego.

- W firmie wszystko gra. Pierwsza ekipa już wyjechała do Japonii.

Ucieszyłem się, dobrze, że mówi o Japonii.

- Franczewski wyjechał ze swoimi ludźmi jako pierwszy...

- Tak. - To dobrze, tak było w moim planie.

- Teraz kolej na Malidę. On zna angielski..

- Malida, Malida... - zaszeptał Kunk, przycichł. Po chwili, jakby nigdy nic nie było powiedziane o Malidzie, powiedział:

- Powróci pan do zdrowia, powróci. Rozmawiałem z ordynatorem. Odpoczywaj, pan. Wszystko załatwimy..

- Co załatwimy? - wpadłem w jego słowa.

Kunk nie odpowiedział. Zamilkł. Odsapnął. Taki był jego zwyczaj, kiedy poczuł się zagubiony, przyłapany na czymś nie tak. Słyszałem jak haustem łapał powietrze. Usłyszałem.

- Wie pan, ta Lusia, to niczego sobie kasek - zmieniał temat.

- Pewnie, pewnie, ale ja chciałem... - usłyszałem szurnięcie nogami.

Znak, że odchodzi. Poczulem szelest przy prawej ręce. Żegnał się.

- Proszę za mną do zmiany opatrunku i na badania - pielęgniarka prowadziła mnie ostrożnie. Siedziałem w ciemności. Kunk oddalił się. Nawet nie miałem sił krzyczeć, wrzeszczeć, sponiewierać kogoś lub zdemolować ścianę. Widziałem jednym okiem i to niewiele. To było widzenie szczątkowe.

Podniosłem rękę, zakryłem twarz. Płakać. Usłyszałem za plecami:

- Jest pan uratowany - to ordynator, suchy jak patyk jegomość, szczyjący się mówieniem prawdy w oczy.

- Uratowany?!?!

- Następny atak i już nie widziałby pan ładnej dziewczyny. Ratowaliśmy pana i resztki widzenia. Wszystko jest dobrze. Po kolei podchodzili lekarze i patrzyli, patrzyli w oczy, które nie pragnęły widzieć otaczającego świata. Powoli, przygarbiony ciężki w nogach wlokłem się na salę.

Zrozumiałem niewiele z wywodów ordynatora, że podobno bólu w oczach, tych gwałtownych napadów już nie będzie, że jeszcze podejmą, podejmą... a to oznacza, że szpital będzie często moim domem. Młoda pielęgniarka paplała coś bez sensu, zapewne były to jej

zawodowe szczyty. Szukałem jej całej postaci, bioder nie mogłem ocenić. Rumiankowy zapach włosów wędrował za mną. Szukałem jej twarzy, oczu. Znalazłem. Blond włosy falowały od licznych szpitalnych przewiewów. Twarz widziałem, cofnąłem się do tyłu, kierując w dół spojrzenie, takie męskie odwieczne spojrzenie..

- Niech pan patrzy mocniej w podłogę. Tutaj będzie silne światło. Nie wolno patrzeć panu wprost w światło...

Tylko przez chwilę jestem pokorny i słucham rad pielęgniarki. Patrzą wprost przed siebie. Ani w lewo, ani w prawo, patrzą, jakbym miał na nowo osiemnaście lat. Nie uznaję rad, poleceń, rozkazów. Korytarz wiruje światłami. Światła biegną w moją stronę. Oczy mam wolne od opatrunku. Chcę patrzeć szczątkowo, widzieć światło, cienie, rozkołysane wdzięczne biodra kobiece, pragnę, aby kusił mnie świat potęgą swojego istnienia.

- Co pan robi! Proszę patrzeć w dół! Na drugi raz założę opatrunki! Tutaj jest silne światło! Mówiłam! Proszę pana, proszę...

Wpycha mnie do sali. Tutaj jest łagodne dzienne światło, pozbawione jaskrawości słońca. Okna są przesłonięte zasłonami. Miałem wrażenie, że światło z korytarza biegło za mną, cicho, bezszelestnie, ale wpychało się przez szczelinę w drzwiach. Może chciało mówić - wracaj do nas - nie wstępuj w królestwo nocy - szczątkowe widzenie - to początek królestwa nocy...

Zwalilem się jak kłoda na łóżko szpitalne. Cisza. Wkoło noc. I znowu ze szczeliny w drzwiach biegnie w moją stronę niczym krasnoludek snopeczek światła. Biorę go w dłonie. Trzymam. Nie ucieka. Przenika mnie i znika w moim wnętrzu. Czuję go. Niech mieszka jak najdłużej, stale. Jak wyjdę ze szpitala, będę witał własne jasne poranki codziennie, w sobie. Kunk nie pojawił się już. Raz w roku przysyła pozdrowienia. Nie czytam ich, są takie same jak tysiące czy miliony przesyłanych między ludźmi. Rzadko tam spotkać własne, od siebie, słowo. Ma już innego doradcę. Kunk rzeczywiście wszystko załatwił. On pozostał w królestwie dnia, a ja wstępuję w królestwo nocy.

Tylko światelko mieszkające we mnie domaga się, abym był nadal obecny w pierwszym królestwie. I muszę przyznać, że to rada niezwykle trafna. Muszę z niej korzystać jak najdłużej.

Renata Krzyżaniak

”Każdemu wolno kochać”

III nagroda (ex aequo) w kategorii prozy literackiej

Już prawie godzina minęła jak pociąg wyruszył ze stacji, a szczupła, jasnowłosa dziewczyna w przedziale wciąż siedziała nieruchomo, zapatrzona w okno. Nie było tam nic niezwykłego. Łąki z łaciatymi, powolnymi krowami, zielone lasy, jakieś zabudowania i krzątający się obok ludzie, pola z dojrzewającym zbożem - wszystko to, co zawsze "Wielkopolanin" mijał na swej drodze, spieszenie podążając na południe. Później, przed Katowicami krajobraz się zmienił. Ale to był już końcowy etap podróży. Na razie złociste słońce i barwna przyroda cieszyły oczy dziewczyny. Sprawiała wrażenie tak zaabsorbowanej oglądającymi widokami, że w przedziale nie zwracano na nią uwagi. Ona jednak, wbrew pozorom, nie zapomniała o przysłowiowym "bożym świecie", dobrze orientując się, co robią jej towarzysze podróży. Prawym ramieniem wyczuwała co jakiś czas bezwładnie opadające ramię drzemiącego sąsiada, a dwie panie, siedzące obok niego, wytrwale obgadywały koleżanki z pracy. Miejsca po przeciwnej stronie zajmowali: młody człowiek w wojskowym mundurze, pochrapujący raz po raz i starsze małżeństwo, zjadające z apetytem przygotowany na drogę posiłek. Po przedziale rozchodził się zapach gotowanych jajek i mocno naczosnkowanej kielbasy."Dlaczego ludzie muszą brać takie rzeczy w podróż? Czy nie mogliby się obyć bez tego przez kilka godzin" - zastanawiała się niejednokrotnie Donata. Węch, słuch i dotyk miała szczególnie wyostrzony, gdyż jeszcze niedawno wszystkie te zmysły zastępowały jej wzrok. Teraz, kiedy znów mogły spełniać wyłącznie swoje funkcje, one, jakby niedowierzające tej zmianie, po dawnemu uważnie wszystko rejestrowały.

Dlatego dziewczyna nie musiała odwracać głowy, aby wiedzieć, co się dzieje w przedziale. Poza tym nie miała ochoty na przypadkową rozmowę. Lubiła, a właściwie nauczyła się lubić samotność."Lecz przecież nie mogę siedzieć tak przez cały czas. Jeszcze ktoś pomyśli, że jestem nienormalna" - uświadomiła sobie Donata i odwróciła się w stronę leżącej na siedzeniu czarnej torebki. Wyjęła z niej czasopismo. Nie był to "Twój styl", "Uroda" czy jakieś inne wydawnictwo tego typu. Było to "Credo" - miesięcznik dla słabo widzących i niewidomych, czasopismo wydawane w czarnodruku i w brajlu. Cieszyło się dużą popularnością w tym środowisku. Dziewczyna położyła "Credo" na kolanach i w zamyśleniu popatrzyła na okładkę, gdzie w lewym, dolnym rogu oznaczono datę: VIII.1992. Po chwili zaczęła przerzucać kartki, aż dotarła do odpowiedniej strony. Tekst знаła prawie na pamięć, ale chciała jeszcze raz przypomnieć sobie przed oczekującą ją rozmową.

„Zapewne do wielu czytelników dotarła wiadomość o cudownym uzdrowieniu nieuleczalnie chorego (sclerosis multiplex - stwardnienie rozsiane, epilepsja, silna niewydolność wzroku) Ugo Festy, 39- letniego robotnika włoskiego, poprzez wizerunek

Chrystusa Miłosiernego w dniu 2 sierpnia 1990 r.” - czytała Donata.”Przypomnijmy jego wyznanie-świadectwo...”

Wejście konduktora przerwało dopiero co rozpoczętą lekturę i obudziło śpiących pasażerów. Po kolei podawano bilety do sprawdzenia, a ponieważ wszystko zgadzało się, wkrótce konduktor, z grzecznym ”do widzenia”, opuścił przedział. Można było wrócić do przerwanych zajęć...”Byłem w wielkim kryzysie duchowym i moralnym. Przybyłem do Rzymu z pięcioma ikonami Miłosierdzia Bożego, aby prosić Ojca Świętego o błogosławieństwo. Ojciec Święty polecił mi modlić się do Miłosierdzia Bożego przez wstawiennictwo Sługi Bożej s. Faustyny. (...) Nie chciałem brać udziału w tych modlitwach, wydawały mi się przesadne. Prosiłem tylko Pana Jezusa, aby wybaczył mojej matce.” - czytała dziewczyna dalej.”Zostałem opuszczony przez matkę, nie znałem matczynej miłości, nie potrafiłem być wdzięczny mojej matce za życie. Pan Jezus chciał, żebym jej podziękował za takie właśnie życie i zaczął kochać. (...) Tym przebaczeniem zaczęło się moje uzdrowienie fizyczne.” Popatrzyła na zdjęcia znajdujące się na sąsiedniej stronie.

Jedno przedstawiało młodego człowieka na wózku inwalidzkim na audyencji papieskiej, a na drugim ten sam człowiek stał przed Ojcem Świętym i zdawał sprawozdanie ze swego uzdrowienia. Zamknęła gazetę i spojrzała na siedzących obok ludzi.”Ciekawe, jaka byłaby ich reakcja na opisany tutaj przypadek, a gdybym powiedziała im, że ja w podobny sposób odzyskałam wzrok? - pomyślała dziewczyna.”Oczywiście, najpierw zdziwiliby się.

Później zobaczyłabym na ich twarzach niepewność, zakłopotanie lub nieufność, pomieszane ze zwykłą, ludzką ciekawością. Na pewno znaleźliby dziesiątki argumentów, aby w to nie uwierzyć, by nie uchodzić za naiwnych.

Przecież jest koniec dwudziestego wieku, a nie zacofane średniowiecze, kiedy niewykształconemu ludowi można było opowiadać podobne historie. A jeśli by już uwierzyli, ciekawe, które świadectwo byłoby dla nich bardziej wiarygodne, odzyskanie wzroku przeze mnie, czy uzdrowienie tego Włocha?” - zastanawiała się Donata.”Nie ulega wątpliwości, że w przypadku Karola liczy się tylko to pierwsze albo... A ”Credo” może być moją ”podpórką”.

Dlatego nigdy nie rozmawiałam z nim na tak kontrowersyjne tematy. Czekałam na niepodważalny argument, na taki dzień jak dzisiaj... Długo to trwało, ale doczekałam się. Chociaż, prawdę mówiąc, nie ma w tym żadnej mojej zasługi... Przecież, wcale nie musiało się tak stać.” Lekko poprawiła się na siedzeniu, nieznacznie do przodu wyciągając swoje długie, zgrabne nogi.

Złożyła czasopismo i schowała do torebki, z której wyjęła teraz żółtego banana. Jadła powoli, jakby z namaszczeniem. A skończywszy, wrzuciła skórkę do śmietniczki i znów

spojrzała w okno. Po kilku minutach odwróciła się i napotkała zaciekawiony wzrok siedzącej naprzeciwko, pulchnej kobiety.

Przymknęła więc powieki i, udając, że zmorzył ją sen, zatopiła się we wspomnieniach. Karola poznała w Szwecji, sześć lat temu. Był to okres istotnych przemian społeczno-politycznych w kraju, czas przygotowań do pierwszych demokratycznych wyborów. Wyjazd za granicę był wtedy ogromną atrakcją - oczywiście, jeśli miało się już za sobą załatwianie takich formalności, jak na przykład paszport i wiza. Zaproszenie na dwumiesięczny pobyt we Vrigstadt przysłała szwedzka fundacja IM, pomagająca ludziom w trudnej sytuacji życiowej. Ona finansowała cały wyjazd, łącznie z podróżą.

Adres fundacji otrzymała od koleżanki, często przebywającej w Szwecji. Była mile zaskoczona pozytywną odpowiedzią IM. Tym razem jechała z mamą. Kiedy znalazły się już w Szwecji, ogarnęło ją uczucie nierzeczywistości.

Życzliwość i uprzejmość obcych ludzi, porządek na każdym kroku: w pociągach, na ulicach, w ogródkach. Sklepy wypełnione najróżniejszymi towarami - wszystko to znacznie odbiegało od polskich norm i obyczajów. Na tym tle kilkunastoosobowa grupa Polaków, odpoczywających w we Vrigstadt, prezentowała się niezbyt korzystnie. Gdy podawano atrakcyjniejsze potrawy lub rozdzielano odzież, Donata nieraz musiała się wstydić za rodaków. Ich zachłanność, wzajemna zazdrość i lizusostwo wobec Szwedów przerażały dziewczynę i wzbudzały w niej wstręt. Niewielu w tej grupie myślało podobnie jak Donata. Do tych wyjątków należał Karol. Przyjechał ze swoim przewodnikiem w dwa tygodnie później, na początku maja. Donata nie od razu zwróciła na nich uwagę. Po niedawno skończonej historii z Arturem unikała męskiego towarzystwa. Nie zależało jej na zawieraniu nowych znajomości.

Chciała odpocząć, a jeśli by się udało, to i zapomnieć... Jednakże któregoś dnia matka podprowadziła ją do stołu, gdzie posilali się dwaj nieznajomi. Jak to najczęściej bywa w takich sytuacjach, nastąpiła wymiana imion, uśmiechów, informacji o Fiach miejscowości, z których pochodzili.

Zaproponowano też dziewczynie, aby zobaczyła, jak wygląda Karol. Z odrobiną lęku zaczęła długimi palcami oglądać wielką, czarną czuprynę chłopaka.

Delikatnie musnęła jego twarz i nie wiadomo dlaczego, mimo ogólnej zachęty, zrezygnowała z poznania wspaniałej brody Karola. Cały czas czuła na sobie jego uważny i wyczekujący, a zarazem roześmiany wzrok. Następnego dnia znów spotkali się przy posiłku, a później na spacerze. Rozmawiali już dłużej...

I tak zaczęła się ta znajomość, która wkrótce, zgodnie z ich obawami, przerodziła się w miłość. Od początku była ona skazana na niepowodzenie.

Teraz, po latach, Donata wiedziała o tym. Rozumiała, że to uczucie nie mogło przetrwać w trudnych, polskich realiach. Ale wtedy, zakochana po uszy, ufna w pomoc niebios i życzliwych ludzi, optymistycznie patrzyła w przyszłość. Co prawda na początku, gdy uświadomiła sobie, co się dzieje z jej sercem, chciała jak najdalej stamtąd uciekać. Lecz był to tylko pierwszy odruch i na dodatek - rzecz trudna do zrealizowania. Pogodziła się więc z zaistniałą sytuacją, mając nadzieję, że mimo wszystko będzie dobrze.

Innego zdania był Karol. Mówił nieraz: - Jak ty to widzisz, dwoje niepełnosprawnych, zależnych od innych ludzi? Tutaj we Vrigstadt mamy optymalne warunki, lecz w kraju będzie inaczej, gorzej.

Bardziej doświadczony i pogodzony ze swoim losem, krytycznie oceniał sytuację. Jeden nieudany skok do wody zdecydował o całym jego życiu. Z powodu rozległego paraliżu, obejmującego kończyny dolne i część klatki piersiowej, od dwunastu lat poruszał się na wózku. Ręce też miał nie całkiem sprawne a inne, mniej widoczne dolegliwości dopełniały obraz jednostki chorobowej zwanej kompresyjnym złamaniem kręgosłupa. Jednak Karol nie skarżył się. Był człowiekiem towarzyskim i lubił żartować. Chętnie pomagał innym, wykorzystując do tego swoje rozległe znajomości i życiowe doświadczenie. Dużo czytał. Interesował się, nie tylko teoretycznie, muzyką i malarstwem. A ona, Donata...? Od małego dziecka chorowała na cukrzycę i przyzwyczajona była do lekarzy, zastrzyków i różnych ograniczeń. Lecz największe z nich przyszło, gdy w wieku 22 lat, w skutek długotrwałej choroby tarczycy, utraciła wzrok. Stało się to nagle. Zaskoczyło, zarówno zrozpaczonych rodziców, jak i lekarzy. Dziewczyna dość szybko nauczyła się żyć inaczej, starając się nie myśleć o tym, co utraciła. Największą trudność sprawiało jej poruszanie się na obcym terenie. A poza tym, co prawda, wolniej radziła sobie ze wszystkim. W odróżnieniu od Karola, zdążyła jeszcze wyuczyć się zawodu. Ale cóż z tego, kiedy nie mogła go wykonywać. Była bowiem bibliotekarką. Wciąż widząc przed oczami czarne, drukowane litery, długo nie mogła przemóc się do Braille'a. Bardzo lubiła ruch, więc często podróżowała... Gdy powróciła ze Szwecji, myślała o Karolu. Wraz z Grechutą zastanawiała się "czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?" Wiedziała, że osoby niepełnosprawne, bardziej niż inni, potrzebują ciepła, zrozumienia i serdeczności. Ale uczucie, które ich łączyło było czymś więcej; jakby mieszanką przyjaźni, koleżeńskiej pomocy, wzajemnej sympatii i miłości. Nikt dotąd nie wydał się jej tak męski jak ten wysoki, dobrze zbudowany chłopak - a właściwie młody mężczyzna - na wózku. Donata bowiem, w odróżnieniu od wielu ludzi, trochę inaczej

pojmowała męskość. Czas spędzony w Szwecji, mimo krępującego zainteresowania ogółu, był jednym z najszcześniejszych okresów w życiu dziewczyny. Przede wszystkim dlatego, że tyle czasu mogła spędzać z Karolem. Najczęściej spotykali się przy posiłkach, na organizowanych przez gospodarzy wycieczkach i różnych imprezach oraz w jego na czas pobytu - szwedzkim domu. Wieczorami, popijając herbatę, prowadzili mniej lub bardziej poważne rozmowy. Okolica była ładna i wraz z pogodnym niebem i budzącą się do życia przyrodą, zachęcała do zwiedzania i długich spacerów.

Często jeździli nad jezioro i do lasu. Albo na pobliskiej polanie wygrzewali się w ciepłych promieniach majowego słońca. Przy całym pokrewieństwie dusz, jakie wciąż na nowo odkrywali w sobie, mogli też jak gdyby uzupełniać się fizycznie. Kiedy prowadziła wózek po asfaltowych alejkach lub krzątała się przy kuchence, gdy uczyli się angielskiego albo wykonywali niezbędne ćwiczenia rehabilitacyjne - Karol był jej oczami, a ona zastępowała jego nieposłuszne nogi. Unoszący się w powietrzu zapach kwitnących drzew, krzewów, kwiatów i świergot ptaków oraz chwilowa beztroska, dodawały uroku tym spotkaniom, które nieubłaganie zbliżały się ku końcowi. Ponieważ Karol przyjechał w późniejszym terminie, mógł jeszcze zostać cały miesiąc we Vrigstadt. Ale Donata z mamą musiała wrócić do kraju. Oboje bardzo przeżywali to rozstanie, chociaż wiedzieli, że przed nimi jeszcze wiele podobnych chwil. Mieszkali bowiem daleko od siebie - ona w Jarocinie, a Karol w Limanowej. Również o tym, o dzielących ich kilometrach myślał chłopak mówiąc, że w kraju będzie trudniej. Kiedy przyszła pożegnać się w ten ostatni poranek maja, Karol już nie spał.

Zdjęła kurtkę i podeszła do tapczanu. Przytuliła się do ciepłego, jeszcze nierozbudzonego ciała. Długie, silne ramiona Karola objęły ją mocno i przyciągnęły do siebie. Całowała gwałtownie, pośpiesznie - jakby na zapas.

On, jak zawsze opanowany, powściągliwy, oddawał pocałunki spokojnie i rozważnie, lecz z nie mniejszym uczuciem. Rozmawiali cicho, trochę chaotycznie; o sobie i czekającym ich rozstaniu, o drobiazgach i o bardziej zasadniczych sprawach. A gdy zapukano do drzwi, Donata wstała, wzięła kurtkę i powstrzymując napływające do oczu łzy, wyszła. Starła się nie myśleć o tym, że Karol zostanie tutaj, każde miejsce będzie mu przypominać wspólnie spędzone chwile.

Po powrocie do kraju, zgodnie z umową, dwukrotnie dzwoniła do Vrigstadt, a później radośnie powitała Karola w Świnoujściu. Wtedy dał jej list, który napisał w Szwecji i, z sobie wiadomych powodów, nie wysłał, a także sympatyczną, szwedzką maskotkę. Kilka godzin przegadanych na dworcu, wspólna podróż do Jarocina i kolejne rozstanie - tak wyglądała ich

pierwsza randka w kraju. Następne nie były dużo łatwiejsze. Gdy dziewczyna czuła się dobrze i znalazła chętną przewodniczkę, a u Karola też wszystko było w porządku, jechała do Limanowej. Niestety, zdarzało się to tylko dwa, trzy razy w roku, gdyż niełatwo było znaleźć dogodny dla wszystkich czas. Trudy dziesięciogodzinnej podróży, angażowanie osób trzecich, niechęć rodziców Karola i brak aprobaty ze strony jej najbliższych nie zniechęcały dziewczyny. Chciała wszystkim - również od początku sceptycznie nastawionemu Karolowi - udowodnić, że ludzie niepełnosprawni też mają prawo do miłości i że ta miłość potrafi pokonać wszelkie przeszkody. Poza tym potrzebowali siebie nawzajem. Ona mówiła o tym wprost. On, wiedząc, że według przyjętych powszechnie norm i utartych pojęć - niewiele ma jej do zaoferowania, starał się nie okazywać uczuć.

Czasem nawet mówił: "Poszukaj sobie innego, sprawnego. Ja jestem skończony." Jednak wrażliwe ucho dziewczyny wyczuwało w jego głosie lekką niepewność... Trzeba było wiele wnikliwości i dużo dobrej woli, aby poprzez zakładaną przez Karola maskę twardziela i człowieka zadowolonego z siebie, dojrzeć inną, ukrytą prawdę. Od jego siostry dowiedziała się, że kiedyś Karol wytrwale walczył o swoje prawa do osobistego szczęścia. Wiele razy kochał i miał nadzieję. Mówił wówczas: "Dlaczego miałbym zrezygnować również z tego?" Jednak tak długo "wybijano mu z głowy" owe marzenia, że w końcu zrozumiał i poddał się. Donatę ciekawiło, kto chłopakowi oddał tę przysługę, której owoce teraz zbierała. Gdyby Karolowi rzeczywiście nie zależało na tej znajomości, już dawno zrezygnowałby z niej. Spośród liczego grona przyjaciół i znajomych jedynie Karol nauczył się brajla, by móc z nią korespondować. Mimo swej awersji do rozmów telefonicznych często dzwonił do dziewczyny. Były to ich "mini-randki telefoniczne", w czasie których starali się nie mówić o dokuczającej tęsknocie i niemożności.

Cieszyli się, że mogą z sobą porozmawiać, słysząc swoje - niekoniecznie spokojne i pogodne - głosy. Co prawda, po odłożeniu słuchawki pozostawało uczucie niedosytu, lecz mimo wszystko rozmowy te bardzo pomagały w oczekiwaniu na kolejne spotkanie w Limanowej. Poza tym Karol przysyłał jej najróżniejsze nagrania muzyczne, ulubione kosmetyki oraz potrzebne, a trudno dostępne leki. Ona rewanżowała się własnoręcznie robionymi swetrami.

Nigdy nie zapomiała, jak wielkim oparciem był dla niej Karol, kiedy jej matka zachorowała, gdy ona sama stanęła przed decyzją o jednej, a następnie drugiej, operacji. Jego słowa otuchy i głębokiego zrozumienia, ciepłe i mądre, dodawały sił do pokonywania tych trudności, a jednocześnie uspokajały. Toteż po każdym wyjściu ze szpitala, gdy tylko zdrowie i pozostałe okoliczności pozwalały, wsiadała w pociąg i jechała do Karola.

Tuląc się do niego z oddaniem zapominała o minionych przeżyciach. Podobnie było po ostatnim, najdłuższym, leczeniu. Ulubiony Grechuta zaśpiewałby, że „lekkie, wesoło (...) szła na umówione spotkanie”, gdy w sierpniowe, ciepłe, południe usłyszała: „Nie, nie kocham ciebie.” W pierwszej chwili nie przejęła się tym zbyt, ponieważ oboje nie lubili wielkich słów i jeszcze w Szwecji umówili się, że nie będą ich używać. Lecz dalsze jego zachowanie - obojętność wobec Donaty i stanowczość podjętej decyzji, aby tę znajomość ograniczyć do przyjaźni - przeraziło dziewczynę. Osłabionej podróżą i przebytymi chorobami, łzy napłynęły do oczu. „Biegła po serca rozgrzanie”

„wierzyła w piękny magnetyzm dusz” - a tutaj...

Tego dnia mieli wyjątkowo dobre warunki do rozmowy. Nikt im nie przeszkadzał. Bowiem zazwyczaj pełno ludzi, którym rzadko przychodziło do głowy, że Karol może potrzebować ich pomocy, kręciło się po domu. Ale już nie miała siły, aby polemizować, przekonywać Karola, że jest tak samo wartościowym człowiekiem jak inni, i że ona potrzebuje jego miłości.

Chciała tylko wiedzieć, co się stało i czy jest ktoś inny. Odpowiedział, że nie ma innej. Później mówił coś o nieumiejętności kochania, ranieniu innych, o odpowiedzialności i o zmęczeniu. Słuchała go uważnie, ale niewiele z tego rozumiała. Była zbyt roztrzęsiona i przybita. To prawda, że ostatnio Karol też dużo chorował. Poza tym miał trochę kłopotów w domu.

Mógł czuć się zmęczony. Jednak to nie było tylko chwilowe znużenie. Kiedyś w radiu usłyszała taką wypowiedź: „z miłością i odległością jest tak jak z ogniem i wiatrem. Jeśli duży ogień - to wiatr go rozdmucha, a gdy niewielki - to zegrałam. Oni mieli rację... Ale nie żałuję tych kilku lat. Byłeś jedynym mężczyzną, za którego mogłabym wyjść za mąż.” Po powrocie do domu przez długi czas unikała ludzi. Matka podsumowała tę wizytę inaczej.

Powiedziała: „Córeczko, on prawdziwie ciebie kocha i pragnie twojego szczęścia. Jest człowiekiem odpowiedzialnym. Wie, że nie może dać tobie tego, co chciałby.” Donata nic na to nie odpowiedziała. Wyjeżdżając z Limanowej postanowiła nigdy tam nie wracać, chociaż Karolowi zależało na utrzymywaniu dalszych, koleżeńskich, kontaktów. Chyba, że... odzyska wzrok.

Przecież medycyna była bezradna wobec jej przypadku. Już nie pamiętała, ilu krajowych i zagranicznych okulistów ją badało, ilu ziołarzy i bioenergoterapeutów próbowało wyleczyć. Jako katoliczka wierzyła, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. Wierzyła w uzdrowienia, których ludzki umysł nie potrafił wytłumaczyć ani objąć. Zarazem myślała: „To dobrze, że Kościół - i tak często atakowany, jest taki ostrożny, jeśli chodzi o wszelkie

objawienia i uzdrowienia. Gdyby nie świadectwa lekarskie i dokładne, najczęściej prowadzone przez zakonników zapisy - sama zastanawiałabym się czy nie jest to tylko ludzka fantazja, emocje i pragnienia.”

Od wielu lat prowadziła walkę jakby dwupłaszczyznową: najpierw o swoje zdrowie, później matki i Karola. Odwiedzając gabinety lekarskie i wysyłając listy do znanych klinik, jednocześnie pielgrzymowała do mniej i bardziej znanych sanktuariów maryjnych. Tak było do czasu, kiedy częste pobyty w szpitalu i kontakty z lekarzami uświadomiły dziewczynie ich bezsilność, a czasem nawet ignorancję i obojętność. Ostatecznie straciła zaufanie do wiedzy medycznej. Wtedy - zbiegło się to z ostatnią wizytą w Limanowej - zrezygnowana i zniechęcona do ludzi, ”postawiła” na Boga. Całkowicie zawierzyła Jego miłosierdziu. Cierpliwie, aczkolwiek nie biernie, trwała w oczekiwaniu. Wiedząc, że On wybiera czas i miejsce - jeśli taka będzie Jego wola - wypełniała dni najprzeróżniejszymi zajęciami. Były to ”wszelkie prace domowe, czytanie w brajlu i słuchanie kaset, robótki ręczne, spotkania z przyjaciółmi. Przypadkowo wpadło jej do ręki ”Credo” sprzed dwóch lat, gdzie zamieszczono świadectwo uzdrowionego Włocha. To dodało dziewczynie sił. Pomyślała o Karolu, z którym nie zerwała zupełnie kontaktu. Karol był niewierzący, więc ten artykuł nie zrobiłby na nim wrażenia. Ale jej bardzo pomógł.

O tym, co się stało później, pewnego lipcowego popołudnia - dziewczyna nie umiała myśleć spokojnie. Ze świetlano-szarej mgły, jaką przez trzynaście lat miała w oczach, zaczął się wyłaniać świat dawny, trochę już zapomniany... Początkowo osoby i przedmioty były zamazane, oddalone.

Wkrótce jednak nabrały wyraźnych kształtów i barw. Na dodatek ludzie poruszali się normalnie.”A więc to nie może być kolejny sen” - pomyślała dziewczyna. Obejrzała się, za nią stała matka. Poznała ją po szarych dobrych oczach. Dotknęła jej ramienia, a matka spojrzała pytająco.”Nie, zdecydowanie to nie był sen.” Jeszcze tego samego dnia zadzwoniła do Karola i opowiedziała mu o tym, co się zdarzyło. A teraz jechała do niego, aby „zobaczyć na własne oczy...” Nagle przypomniała sobie słowa Karola, wypowiedziane jeszcze na początku ich znajomości:”Gdybyś była osobą sprawną, nigdy nie pozwoliłbym tobie tak bardzo zbliżyć się do mnie.”

Poczuła się dziwnie, niepewnie. Słyszała, jak ludzie w przedziale powoli przygotowywali się do wysiadania, ale nie mogła wstać.”Przecież ja teraz jestem ”normalkiem” i on mnie będzie tak traktował” - pomyślała gorączkowo.

„Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej? Z tej radości, zapatrzona w siebie, zapominałam, że u niego przecież nic się nie zmieniło, więc... Po co ja tam jadę?” - Proszę

pani, niech pani nie śpi, Kraków”, usłyszała nad sobą czyjś głos, otworzyła oczy. To sąsiad, który prawie całą drogę spał, uprzejmie informował ją o końcowej stacji.”Dziękuję bardzo. Trochę się zamyśliłam.” - odpowiedziała i sięgnęła po żakiet. Zarzuciła na ramię torebkę i wyszła z przedziału.

Jolanta Kutyló „Wesele”

III nagroda (ex aequo) w kategorii prozy literackiej

Nie lubię zimy, choć znajomi twierdzą, że to jedna z najpiękniejszych pór roku. Dla mnie jest ona tylko zimnym trupem lata. Rozrasta się jak niepotrzebny chwast i nie można jej wyplewić. Tak właśnie było wtedy, w dniu decydującym o moim życiu. Mróz rozpanoszył się na dobre, śnieg sięgał po kolana. Drogowcy, jak zwykle, zapomnieli o obecności zimy, która tylko na krótki czas pozwoliła nam od siebie odetchnąć.

Wstałam dość późno. Zimna pogoda i napięcia nerwowe spowodowały zakłócenia w spaniu. Przeciągnęłam się leniwie jak kotka, wsunęłam nogi w miękkie pantofle i poczłapałam do łazienki. Z kuchni unosiła się woń smażonych gęsi i kaczek pomieszana z domieszką aromatu ciast - woń mojego wesela. Zaproszono około dwustu osób. Oprócz dań zamówionych w okolicznej restauracji, matka chciała popisać się przed rodziną przyszłego zięcia wybornymi potrawami ściągniętymi z ”Kontynentów” i innych tego typu gazet.

Oprócz jej rodziny mieli być także bracia nieżyjącego już ojca. Zapowiadała się pompa nie z tej ziemi. Mikser zawzięcie kręcił nowe ciasto, a w stołowym pokoju ciotka kończyła moją suknię, uszytą według projektu artystki z ”Mody Polskiej”. Coś rewelacyjnego!

Zamknęłam się w łazience. Wlałam do wanny trochę płynu do kąpieli i puściłam nań duży strumień wody. Zanurzałam się w miękkiej piance i pogrążyłam w głębokiej zadumie. Lada dzień mam przekroczyć próg małżeńskiego pożycia, ale to przecież żadna sztuka. Wystarczy coś podpisać, wyklepać słowa jakiejś przysięgi, zebrać furę prezentów. A jakże! I co dalej? Co będzie, gdy z szalonej panny przeobrażę się w sztywną mężatkę? A Kamil? Czy wciąż będzie czuł jak dotychczas? Tak mnie całował, pieścił: - Och, jesteś moja! Tylko moja! Będę cię wielbił, kochał do końca życia - powtarzał. Ale tak naprawdę to my się wcale nie znamy. Gdy dwoje ludzi spotyka się ”na umawianego” można do perfekcji wyćwiczyć tak zwane dobre maniery, nauczyć się min gestów. Czułe słówka sypać jak z rękawa. Takie życie to zwyczajna zabawka. Moje siostry sprzeciwiały się małżeństwu. - Jesteś głupia. Ja z moim

Jaśkiem już rady dać sobie nie mogę, a miał być złotym mężem. Myślisz, że małżeństwo to spacer? Do ołtarza możesz się przejść. Czemu nie? Lecz zaraz zacnie się wspinaczka pod lodową górę obowiązków i nieprzewidywanych sytuacji. A gdy sobie wypije, będziesz po nim sprzątać? Przecież ty nie widzisz. On może cię oszukiwać - drwiła Lidka. Jagoda też mi nieźle dokuczała: - W łóżku to może i umiesz fikać nogami. Trzeba jednak nauczyć się prawdziwego gospodarzenia. Co z tego, że umiesz poruszać się po mieście i gotować? To nie jest jeszcze wszystko. Co z tego, że ukończyłaś ten twój kurs. Twój mąż nic z tego nie będzie mieć. A gdy urodzisz dziecko, jak sobie poradzisz? Ufajdasz się i tyle. A mama żyć wiecznie nie będzie - gderała. Matka do niczego się nie wtrącała, bo to przecież nie ona wychodzi za mąż, tylko ja. Jakie będzie to moje życie? Czy rzeczywiście dam sobie radę? Szczególnie boję się kłopotów ze zdrowiem. Mój Kamilek może tego nie przeżyć i z pewnością odejdzie. Dlaczego jednak miałabym pozostać panną? Czy nam, niepełnosprawnym, nic od życia się nie należy? Chłopiec wygląda na człowieka wyrozumiałego...

- Aniu, wyjdź tu! - przerwało te refleksje napomknięcie matki.

Wypuściłam wodę z wanny. Wytarte do sucha ciało nasmarowałam jakąś egzotycznie pachnącą emulsją. Owinęłam się miękkim szlafrokiem i pospieszyłam do kuchni na śniadanie. Matka krzątała się, mruczając coś pod nosem. Kolejna blacha z nowym ciastem wyjechała z gorącego piekarnika. Po zmyciu naczyń ubrałam się szybko i zaczęłam szykować do wyjścia. Wyjęłam z szafki podręcznik do nauki brajla Droga do książki, piktowską maszynę, włożyłam ciepły płaszcz i bez słowa wyszłam z domu.

Klatka schodowa przeraźliwie cuchnęła psim i kocim moczem. Przed wejściowymi drzwiami nadepnęłam na coś śliskiego. Aż mną zatrzęsło z obrzydzenia. Tej nocy mróz trochę zelżał, śnieg też przestał padać. Główne ulice miasta oczyszczono, mogłam więc iść swobodnie. Nawet biała laska nie ślizgała się jak to zwykle bywało zimą. Umówiłam się z Kaśką, że będę uczyć ją brajla. Nie wypada nie dotrzymać słowa. Droga do książki - to wspaniały podręcznik. Są w nim brajlowskie oraz wypukłe obrajlowane czarnodrukowe litery. Toteż można się z niej łatwo uczyć. Wykorzystałam na to czas rozłąki z Kamilem. Wyjechał do Krakowa, by przed ślubem uregulować, jak mówił, wszystkie swoje sprawy finansowe. Potrwa to pewnie parę dni.

Początkowa droga na Aleję Ogrodową, gdzie mieszkała Kaśka, wiodła przez główną ulicę, co było łatwe do przejścia. Gorzej z dalszą trasą. Musiałam skręcić nad rzekę, a potem brnąć przez park, dokąd odśnieżarki nie docierają. Bo po co? Niech ludzie męczą się z nie sprzątniętymi zaspami.

Żeby ominąć plac zabaw, musiałam parę drzewek lekko stuknąć laską. To taki mój osobisty punkt orientacyjny. Jeszcze tylko pagórek wyslizgany przez dzieci i znów znalazłam się na czyściutkim chodniku. Kilkakrotnie zahaczyłam o naturalne przeszkody, czyli samochody stojące przed budynkami.

Potem minęłam słup i nareszcie wkroczyłam na podwórze. Otworzyły się ciężkie drzwi bloku. Schody. Najpierw jeden, potem drugi stopień. Jakiś pan podał mi rękę i pomógł wdrapać się na pierwsze piętro.

- A dokąd to panna podróżowała? - zagadał przyjaźnie.

- Donikąd. Ta walizka to tylko maszyna brajlowska. Do pisania - poinformowałam go.

- Świetnie sobie radzisz. Ale wiesz, tutaj stoją worki z piakiem. Ja wyszedłem, aby ci pomóc. Widziałem cię z okna. Miałem iść do miasta po sprawunki, bo moja żona zachorowała, ale wróciłem. - Poklepał mnie po ramieniu.

Podziękowałam mu. Uścisnął moją dłoń i podprowadził do celu. A potem zszedł powoli po schodkach i znów trzasnęły ciężkie drzwi.

Złożyłam laskę. Ręką odszukałam guziczek dzwonka i nacisnęłam trzy razy według umówionego znaku. Zaraz drzwi wewnątrz mieszkania cichutko skrzypnęły. Odgłos człapiących kapci świadczył o tym, że ktoś był w domu.

Zgrzyt zamka. W progu stanęła kobieta pachnąca tanimi perfumami.

- Pani do kogo? - spytała oschle.

- Do Kasi - jęknęłam.

- Kasiu! Kasiu! Ktoś do ciebie przyjechał - zawołała nieznajoma.

Chciałam już wejść do środka, lecz ona zabarykadowała mi drogę ogromnym brzuchem. Moja przyjaciółka coś szepnęła, bo wnet ustąpiła.

- Ciociu, nie bój się. To koleżanka z ogólniaka. Niewidoma. Ania - uspokajała kobietę.

W małym przedpokoju zdjęłam płaszcz i buty. Na nogi włożono mi za duże kapcie i po chwili zasiadłyśmy do stołu. Ciotka Kaśki przyniosła kawę i swojej roboty ciasto. A potem zostawiła nas same. W towarzystwie cichutkiej muzyki rozpoczęłyśmy pierwszą lekcję. Myślałam, że nauka pójdzie nam opornie, jednak moja kursantka okazała się dziewczyną pojętą. Gorzej było ze mną. Nie mogłam się skupić. Błądziłam po Krakowie, dokąd udał się mój narzeczony. To znów atakowały mnie lęki, co też w przyszłości ze mną będzie. Nawet ciasto przestało mi smakować.

Kaśka zaużyła moją niemoc:

- Ee! Ee! To już niedługo. Co posiadałaś, to musisz zebrać. Ciesz się, że będziesz mieć widzącego męża. Na pewno pomoże ci w rozwiązywaniu wielu problemów. Wystarczy, że zobaczy plamę na twojej sukni, oczyści ją, przeczyta jakieś pismo lub list. Bo napiszesz już sobie sama, na maszynie.

W końcu nie ty jedna natrafiłaś na takie szczęście - pocieszała.

Ale to mnie wcale nie uspokajało. A może popełniłam błąd, wychodząc za męża? Kto ma rację: czy ja czy moje siostry? Wycofać się? Nie! Tego zrobić nie mogę. Przecież goście są zaproszeni... i ja naprawdę go kocham. Muszę dać sobie radę. A gdy zajdę w ciążę, pójdę do szkoły rodzenia. Tam mi pokażą, jak postępować. Co robić w czasie porodu, jak pielęgnować dziecko.

A siostry, Lidka i Jagoda, też okażą się lepsze, niż myślę. A Kamil będzie wzorowym ojcem i wyrozumiałym mężem. A jak sobie wypije, to nic się nie stanie. Jest mężczyzną! Kiedy wreszcie będę mężatką? Nie mogę się doczekać tej upragnionej chwili. Ale skończą się dyskoteki, będę musiała być sztywna i sztuczna. A co będzie, gdy mąż pęknie z zazdrości? Moi koledzy pójdą w kąt i zostanę sama z piramidą obowiązków i zgryzot. Co się ze mną stanie, gdy otrzymamy nowe mieszkanie? A jeśli przyjdzie się tłamsić z rodziną Jagody i mamą?

- Coś dziś nie kontaktujesz - stwierdziła Kaśka.

- Być może - nie zaprzeczałam. - Serce pęka od tych rozterek. Obawiam się, że z tym zamążpójściem za bardzo się pospieszyłam, chociaż łązimy na dobre już cały rok. Ty jesteś mądra. Możesz robić, co zechcesz. Mnie przyjdzie żyć pod dyktando, niczym w niewoli.

Przyjaciółka śmiała się i gładziła mnie po głowie, dodawała otuchy.

Ciotka przyniosła następną porcję ciastek i dzbanek kawy. Z pracy wróciła mama Kasi, ubrałam się więc szybko i wyszłam z mieszkania. Po schodach sprowadziła mnie ciotka. Biadoliła, że ciemno, że nie trafię do domu, bo znów zaczęło padać. Uspokajałam ją, jak mogłam, twierdząc, że niewidomemu wszystko jedno: jasno czy ciemno. Nie musi się martwić, że pobłądzi pod warunkiem, że pójdzie sam, drogą wybraną przez siebie. Pożegnałyśmy się.

Trzasnęły za mną drzwi, a potem podwórzowa brama.

Tym razem wracałam do domu wolno, pod wiatr. Zimne śnieżne punkciki, zwane przez widzających płatkami, smagały mnie po twarzy. Drogę pokrył miękki, lecz uciążliwy puch. Brnęłam w zaspach. Przez jezdnię też sunęłam z trudem, bo laska zaczęła się ślizgać, a i maszyna stała się taka ciężka.

Wiatr zerwał mi czapkę z głowy. Ogarnęła mnie straszna rozpacz. Zaczęłam krzyczeć, ale ostry gwizd wichury zagłuszył wołanie. Postawiłam maszynę na ośnieżonym chodniku. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo pod warstwą puchu nie wyczułam krawężnika. Podwinęłam pod siebie płaszcz, by na kolanach rozpocząć poszukiwanie zguby. Zdjęłam rękawiczki i zaczęłam grzebać w śniegu. Zgrabiały mi ręce, a czapki wciąż nie było. Łzy napłynęły mi do oczu. Wtem ktoś dotknął mojego ramienia i bez słowa podał mi znaną rzecz. Chciałam podziękować, lecz zniknął tak szybko. Zażenowana ruszyłam w dalszą drogę.

W parku zabłądziłam. Znajome drzewa, tak często opukiwane laską, jak gdyby na złość zmówiły się i gdzieś umknęły w dal. Nie wiem, jakim cudem trafiłam na plac zabaw. Kręciłam się w kółko, obijałam o drewniane ścianki altanek. Wreszcie za odgłosami samochodów skierowałam się w stronę ulicy.

Wtem przeraziło mnie coraz głośniejsze chrupanie śniegu pod stopami. Ktoś podszedł i zatrzymał się obok. Słuchałam.

- Aniu, mama czeka z obiadem. - Usłyszałam znajomy głos Lidki. Siostra wybuchnęła śmiechem, co mnie zdenerwowało, aż się trzęsłam.

- Nie bądź zła, Anka. Cały płaszcz wysmarowałaś o samochody. Trzeba zanieść go do oczyszczenia. Chyba nie pójdziesz na własny ślub w takim brudnym. Chodźmy tędy, dookoła.

- Nie chcę! To tak daleko. Nad rzeką bliżej. Nie pójde z tobą, pomylimy drogi - buntowałam się.

- Idź, głupia. Chcę ci zrobić niespodziankę - sumitowała się.

To mnie wcale nie pocieszyło. Cóż? Trzeba jednak poddać się, i ulec siostrze, która, jak zwykle, coś knuje. Ciekawe, co też ona wymyśli?

Wsunęłam zgrabiałą dłoń pod jej ramię i skręciliśmy w prawo. Wspinałyśmy się właśnie pod górę, a tu noga podwinęła się, i już leżymy w śniegu. Za chwilę powtórka. Lidka pękała ze śmiechu.

- I ty chcesz być mężatką, kiedy tak upadasz? - kpiła.

Ogarnął mnie smutek. A może by tak rozstać się z tym otoczeniem? Pożegnać głupie siostry i odejść tam, gdzie przysłowiowy pieprz rośnie. Jeśli tego nie zrobię, będę pośmiewiskiem sąsiadów, stanę się ofiarą całego miasta...

A nad mężem uniesie się powłoka litości. Jego ludzie otoczą żalem, że taki biedny, bo ożenił się ze ślepą. W takiej dziurze, jak nasza, dobrzy znajomi pokrzyżowali, a raczej ukrzyżowali, niejedno małżeństwo. Co jest tego przyczyną? Głód sensacji czy pospolita zazdrość? Trzeci upadek. Tym razem bolesny. Przycupnęłam na drodze, roztarłam stłuczone

kolano i ruszyliśmy dalej. Mostek. Budynek cegielni poznałam po charakterystycznym wzniesieniu.

I piekarnia. Już stanęliśmy pod kioskiem.

- Jaką masz dla mnie niespodziankę? - szepnęłam.

Siostra nie zwróciła na mnie uwagi. Kupowała właśnie papierosy.

Powtórzyłam pytanie. Milczała. Idiotka! Egzaminuje mnie. Bada moją wytrzymałość. Wichura rozszalała się na dobre. Znow podmuch ściągnął mi czapkę z głowy, lecz tym razem Lidka natychmiast ją znalazła i mocno nacisnęła. Ominęliśmy jakąś bramę, skąd doleciał niemiły fetor.

- Jagoda odebrała telefon. Dzwonił twój narzeczony. Z finansami uporał się wcześniej, niż się spodziewała i dziś tu będzie. Zaraz. Pewnie za jakieś pół godziny. Przyjedzie taksówką. Wiesz przecież, że postój jest tuż pod naszymi blokami. Nawet nie warto wchodzić do domu. Lepiej poczekajmy - odezwała się.

Ciężka dotąd maszyna stała się lekka jak piórko. Przestał mnie drażnić wiatr, uderzenia śniegu były mniej bolesne. Zatrzymałyśmy się obok bloku.

Od czasu do czasu podjeżdżał jakiś samochód. Postawiłam maszynę pod murem i oparłam się na lasce. Rozboleła mnie głowa. Pewnie zaszkodziły mi smrody spalin. Znow coś nadjechało. Jakaś taksówka stanęła na chwilę i zawróciła.

Lidka dygotała z zimna.

- O! Taksówka! Taksówka znow jedzie! - zawołała.

Mój Kamil, mój jedyny! Jeszcze trochę, jeszcze parę minut. Już będziemy razem. Będę mężatką, będę mężatką - przemknęło przez myśl.

Fiat. Poznałam po pracy silnika. Przejechał obok nas. Napięcie rosło.

Czułam rumieńce na twarzy.

- O! Druga! Druga! - zawołała siostra.

Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale zamilkła. Ogarnęło mnie przerażenie.

- Lidka! Lidka! Odezwij się! Co jest? Jest? No powiedz coś! - błagałam ją...

Taksówka zwolniła bieg i zbliżyła się w naszą stronę. Wiatr zmienił kierunek. Ulicą szły jakieś dziewczyny, zanosząc się od śmiechu.

- Co? Jest Kamil? Przyjechał? Dlaczego nic nie mówisz?! - jęknęłam. Nawet nie zorientowałam się, że na postoju obok nas stało więcej osób.

Taksówka skręciła w lewo i podjechała bliżej. Zamarłam. Trzask otwieranych drzwiczek wyrwał mnie z odrętwienia.

- Czy ktoś z państwa zechce skorzystać z usług taksy? - zawładnął ciszą uprzejmy głos kierowcy.

Tam na przystanku zapadałam się w sobie. Mówili do mnie, a ja nie reagowałam. Targało mną złe przecucie. Trwało to, nie wiem jak długo...

W domu zamieszanie. Przychodzili goście i odchodzili. Domownicy starali się być taktowani. Na wszelki wypadek nie odzywali się do mnie. Mama przesuwiała się obok mnie jak chodząca boleść. Wyczuwałam to, lecz nie miałam siły reagować.

Podali mi brajlowski tekst, do którego przeczytania zabierałam się od wczoraj, wreszcie zmogłam się. Był to list od Moniki, koleżanki z Lasek: „Wyobraź sobie, kochana - donosiła Monika - że wychodzę za mąż”.

- Gratuluję, Moniko! Może tobie się uda! - mówiłam do siebie.

„Mój narzeczony - pisze Monika - to wspaniały człowiek. Przekonasz się sama, kiedy go poznasz”.

- Mój Kamilek też był wspaniały, Moniko! - krzyknęłam na głos.

„Jest z Krakowa” - chwaliła się Monika.

- Mój także pochodził z Krakowa. Może okaże się lepszym krakusem - dyskutowałam z listem Moniki. Nawet bawiło mnie to i przynosiło chwilową ulgę.

„Nazywa się Kamil Krasucki...”

Sparaliżowało mnie kompletnie.

- Mój także, Moniko. Mój także - mamrotałam półprzytomnie.

Stanisław Machowiak „Szaleństwo wspomnień”

Wyróżnienie w kategorii prozy literackiej

- Nie szalej - mówił Adam - nie szalej!

- Kochany mój, czy wiesz, że tylko ty mi zostałeś? Wiem, że niepotrzebnie tak ciebie kochałam, ale była to moja młodość. Dziś z miłości ku tobie umiera już moje serce. Popatrz, to już ostatnie moje dni i chwile. Zostałeś mi tylko ty. Nie mogę, nie potrafię wymówić twego imienia. Wiem, że Ty także mnie kochałeś. Staraleś się uciec ode mnie, bo nie mogliśmy się pobrać. Uciekłeś, aby oddalić się od naszych spraw, nosiłeś się z zamiarem wstąpienia do klasztoru, było to jednak niemożliwe. Zatrzasnąłeś za sobą drzwi, ale potem powróciłeś ukradkiem w moje strony.

Nie szalej, nic między nami nie było i nic nas nie wiąże. To nieprawda.

Mój miły, przed kilku dniami zmarł mój mąż, dzieci są już poza domem, a moje serce jest przy tobie. Miałam naście lat, kiedy wyjechałeś z rodzinnej wsi. Nigdy jednak nie zapomniałam o tobie. Kiedy ślubowałam mężowi, ty byłeś przy mnie. Kiedy żyłam z mężem, ty byłeś przy mnie. W każdy dzień, w każdą noc ty byłeś przy mnie. Urwałam naszą miłość, aby tobie nigdy nie szkodzić.

Mój miły, ja wiem, że jesteś szczęśliwy, że może nawet mnie nie pamiętasz. Spójrz chociaż raz w moją stronę. Tak często wracasz do mojego miasta, mijasz mnie i spoglądasz w inną stronę.

(Nie szalej, nie przysyłaj mi listów, to nie ma sensu. Miłość to coś tak wspaniałego, że nie można jej powtarzać. Miłość jest, ona trwa, nie można jej traktować tak sobie. Miłość jest jak płomień, a wiesz doskonale, że nie można igrać z ogniem.

Mój miły, uciekłeś od moich dziewczęcych uczuć, uciekłeś od siebie, od swoich marzeń i zamiarów. Szamotałeś się z sobą, nim osiadłeś na swojej wyspie. Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć teraz, w tak trudnym dla mnie czasie?

Zapomnę ci wszystko, zapomnę nasz czas i ten okres, który był poza nami.

Nie chcę wchodzić w twoje życie i burzyć twojej miłości. Proszę cię tylko o jeden uśmiech, o odrobinę miłości. Moje dni, moje godziny są już policzone, gdybyś nie zdążył, to wiedz, że zabrałam z sobą także twoje uczucia.

Zabiorę to wszystko, co jest piękne i co łączy ludzi.

Mój miły, tak trudno mi odchodzić, bo wiem, że ty na mnie czekasz.

Odchodzę jednak, bo wzywa mnie Pan.

Dymitr Nikołow: „Niewidomy”

Wyróżnienie w kategorii prozy literackiej

Szedł krokiem zamyślnego niewidomego. Jego kroki kreśliły bezmyślną krzywą po głównych ulicach. Ocierał się o ciała i łokcie, które hałasowały i potrącały go. Szedł dokąś. Spotykał znajomych i odpowiadał machinalnie na ich powitania. I znowu się wgłębiał w swój wewnętrzny niepokój. Na każdym skrzyżowaniu zmieniał kierunek. Uciekał od swoich myśli.

... potrącił jakiegoś typa:

- Nie widzi pan, do diabła!

Zauważył dziewczynę. Błądą i bardzo kruchą. Przestraszył się, czy przypadkiem, nie przełamał czegoś w niej.

Nieoczekiwanie wpadł w sferę nieznanego sobie stanu. W dalszym ciągu szedł wolno i niepewnie jak dziecko, które stawia pierwsze kroki. Aż doszedł do brzegu morza. Nie był w stanie iść dalej.

Patrzył, jak światło tonie na zachodzie i roztopia się w wodzie. Niebo ciemniało. Wiatr wieczorny poganiał samotne ptaki...

I dopiero wtedy zauważył zapomnianą rękę:

- Dlaczego pani poszła ze mną?

- Mama powiedziała, że się spóźni. Nie znoszę samotności. Ty przypadkiem mnie potrąciłeś i kiedy chwyciłeś moją rękę, zrozumiałam, że jesteś ładny.

Szłam z tobą, ponieważ było mi przyjemnie...

Te pięć palców, długich i białych jak woskowe świece... były bardzo ładne. Ona cała była jak czysta świeczka, która się spala. Było mu trudno wyznać przed sobą, że jest piękna. Bał się trywialności tego pojęcia.

- Jesteś bardzo czysta...

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie boisz się mnie?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła odpowiedzieć. Usiedli na ciepłym piasku. On milczał, ponieważ czuł się wiedzący, ona - bo była czysta.

- Opowiedz mi o słońcu!

- Słońce jest większe od księżycy i... świeci bardzo mocno...

- I mama nie może zrozumieć słońca. Ono przede wszystkim jest bardzo dobre. Daje mi życie. Zmusza do uśmiechu. Mówisz, że świeci, a to nie jest najistotniejsze. Dziwię się, że wy, którzy widzicie słońce, nie możecie go zrozumieć!

- Ja... po prostu nie myślałem o tym.

- Wieczorem albo w długie deszczowe dni, kiedy nie ma słońca, czuję się bezbronna...

- Jesteś bardzo piękna. Dopiero teraz zdołałem ci się przyjrzeć.

Długo tak siedzieli. Bał się poruszyć, żeby się nie obudzić. Zamknął oczy. Wydawało mu się, że tak ją widzi lepiej...

Prawie nie poczuł delikatnego dotknięcia jej szczęśliwych palców...

„Bez Boga”

Homo automobilis jest najmądrzejszą częścią samochodu. Jego duszą. Cały napięty w ukierunkowanym pośpiechu. Hamulce krzyczą ze strachu. Twarda siwa woda biega pod samochodem. Droga jest zmią, która się wije zagrażająco.

Droga hipnotyzuje. Ruch jest celem samochodu. On do tego jest stworzony.

Lica domów bieleją ze strachu. Nie chcą przeszkadzać, ale to nie do nich należy. Ich istota jest betonowa i gdyby w nie uderzył, zabiłyby go. I uspokoiłyby swoje sumienie. Nieruchome, mają twarde dowody.

...nie jest jedyny. Zauważa to, kiedy ktoś go mija. Tak, jedzie za nim i nagle go mija i wyprzedza.

„A, znaczy tak...”

I się zaczyna...

Żeby kogoś wyprzedzić, musisz umieć manewrować, co oznacza, że musisz być również mądry. Udało mu się... Wchodzi w kolumnę. Tam, gdzie jest dla niego miejsce. Niezbyt daleko od pierwszych. Tak mówią ci z umiarkowanym samopoczuciem. Po nich można wszystkiego się spodziewać na zakrętach... Oni są zawsze gotowi zboczyć w imię prostego celu. Żeby szli za nimi. Do chwili, kiedy zasady ruchu...

... ludzie dążą do luzu, lecz przeszkadzają im żelazne klatki, w których są zamknięci... Każde zbliżenie grozi wypadkiem. Najgroźniejsza jest względna dal. Zderzenie przychodzi nagle. Rozbitkowi każdy pomaga, bo jest związany potrzebą holowania...”

Czerwone światło.

Stop!

„Ach, jaka dekadenska filozofia! Tracę miarę. To znaczy...”

Na chodniku widzi kobietę.

- ... - mówią jej oczy.

- Proszę! - zgadza się On. Po męsku.

Ona wsiada. Ładna. Mądra. Na pewno opuszczona. Lecz szanująca się. A takie kobiety pierwsze opuszczają mężczyzn, skoro poczują, że niebawem będą opuszczone przez nich. Kobięcy szacunek do samej siebie często boli. Można go poznać po podkreślonym śmiechu. A ona podkreślała właśnie swój śmiech.

„Mężczyźni się znają tylko na podkreślonych kobiecych atrybutach. Chcą dojść do nich. Lecz nie doszedłszy, wysnuwają wniosek, że wszystko u kobiety jest okrągłe, miękkie i ciepłe...” - myślała Ona.

Zielone.

On rusza.

Ona się uśmiecha oczami.

- ... - mówi Ona.

- ... - mówi On.

„Przy takiej rozmowie wszystko jest niedomówieniem.” - pomyślała Ona.

„Z kontekstu naszych dusz jest wypompowany każdy sens.” - pomyślał On.

Kierował pewnie. Ona sama dawała mu tę pewność...

Dwukierunkowa autostrada.

Zieleń ma smętne kształty. Powodem jest jej fikcyjna ucieczka do tyłu.

Kłamliwy efekt. Autostrada się skończyła. Droga, wydrążona przez potrzebę.

„Ziemia, która jest przyzwyczajona do tego, że depta ją każdy...” - myślał On.

„... a za oponami pozostają dwie szare fale. Uderzają w szybę, brudzą ją, łączą się z brudną chmurą nad dachem, która wisi w powietrzu. Później się włączy po świetle i go zabrudza...” - myśli Ona.

„To jest ludzkie. Partnerstwo i...” - myśli On Stop!

Czy to las? Dekoracyjny. Drzewa w szeregach jak żołnierze.

„Chwała Bogu! Jeszcze nie potrafimy produkować sztucznych drzew.” - myśli Ona.

„A bażanty hodowane są w kurnikach i potem myśliwi:”Bam” - z bliska...” - myśli On.

„Wśród przyrody, a nie na tylnym siedzeniu...” - myśli Ona.

„Co za romantyka!...” - myśli On, kiedy...

...a trawa jęczy w milczeniu. Dlatego jej nie słyszą. Zresztą ona jest przyzwyczajona do samodzielnego powstawania...

...a potem znów idą, obejmując się. Teraz gra miłosna może tylko dobrze o nich świadczyć. W naszych czasach miłość rozpoczyna się po środku i kończy się w połowie drogi ku końcowi. Wiek dynamicznych indywidualności w...

Głód nie poddaje się rozwojowi ewolucyjnemu. Zwraca samochód ku „Myśliwskiemu spotkaniu”. Okrągłe stoliki z ”ludowymi” pokrywkami. Krzesła wygodne do siedzenia na długą metę. Ceramiczne naczynia w fabryczno-ludowym stylu. Róg myśliwski wiszący na ścianie. Chyba z masy plastycznej.

Strzelby. Ładownica. Myśliwskie plecaki. Prawdziwy wypchany jeleń. LAMPY gazowe z żarówkami. Mebli nie widać. Można się ich tylko domyślać. I dwóch dekoracyjnych myśliwych przy stole. Zupełnie prawdziwi. I ich strzelby. I ich psy. I ich historie.

I dopóki łowcy słuchaczy mówią, On i Ona jedzą, nawet nie zauważywszy ich istnienia. Żadne historie nie mogą zainteresować współczesnego cywilizowanego człowieka. Co innego, jeśli ktoś zaproponuje "intelektualną" rozmowę. To pomaga w trawieniu.

- ...lecz jeśli weźmiemy na przykład...
- ...indywiduum, rozpatrywane jako stereotyp...
- ...ilość skonsumowanej informacji...
- ...dziwnej współczesnej poezji...
- ...według futurologii pesymistycznej...
- ...białe plamy na mapie będą oznaczać rezerwy dla...
- Za najbardziej oryginalne rezerwy! - wznosi toast On.
- Na zdrowie! - odpowiada Ona.

Już są pijani. Mają mało czasu do...

- Już! - mówi On.
- Już! - potwierdza Ona. - Ale nie chcę żeby bolało...
- No to co chcesz?

Ona:

- Nic...
- Cha - cha - cha! - On dodaje gazu.
- R - r - r! - ryknął wściekły samochód.

Oszalał!

...a drzewa stały się szybko biegnącą zasłoną za szybami samochodu. Ona jest koło niego. Tuż. Jej niedomyślne ciało ciągle szuka jego bliskości i przeszkadza w kierowaniu samochodem. Ale to już jest bez znaczenia...

- Kiedy...? - pyta Ona.
- Jeszcze nie przyszła chwila!

Nad nim zwisa góra, a z drugiej strony drogi jest coś, czego się nie da zobaczyć.

- Zbliża się zakręt!...
- Już! - mówi Ona i się rzuca na jego wargi.

Samochód nie skręca.

- Nie!

Nie skręca.

- Nie - e - e!

Nie skręca.

- Nie - e - e - e!!!

- ...e - e - e... - odpowiada echo.

Bo jest banalnie opowiadać jak...

”Wiszące ogrody Semiramidy”

Ogród ma rozmiary cztery na metr dwadzieścia. Wisi z ósmego piętra nad ulicą. Goździki to wiśniowe węgieliki, które tlą w świetle niezliczonych decybeli. Cytrynowe drzewko na próżno wychyla kwitnące gałęzie, żeby były opylone przez ogromne metalowe motyle, które orzą białe bruzdy po niebie.

Zurbanizowane lilie bronią się zapachem przed benzynową agresją nad ich istotą.

Oto i blada, zmęczona Semiramida, królowa swojego ”ogrodu” i kota, zalecającego się do niej ogonem.

Jej myśli milczą. Pali papierosa, nawet nie zauważywszy tego faktu. Serce milczy, kiedy głaszcze leniwego kota. Wiatr przekartkowuje książkę na jej kolanach: Kultura państwa Nowobabilońskiego. Przerwa w świadomości, którą ona tak bardzo lubi. Być może to jest ta jedyna rzecz, którą Semiramida jeszcze lubi.

- Halo, Semi, odezwij się!

- Trak! - słuchawka.

„Dlaczego miałabym się odezwać? Ach tak... Żebyśmy poszli z nim na dyskotekę... potem tańce... Potem... Czy to jest konieczne?”

I Semiramida wraca do wiszącego ogrodu. (Przerwa w świadomości.)

- Z - z - z!

„Szuka mnie... Otworzę...”

- Z - z - z!!!

„Szuka mnie człowiek... Tak, muszę wstać... Przejść przez korytarz...”

Nie, najpierw pokój, potem korytarz... Potem... Teraz, natychmiast muszę wstać! Teraz, właśnie w tej chwili...”

- Z - z - z...

„Już naprawdę pójdę!... Offf... Już idę... Dlaczego? Niech zadzwoni jeszcze raz...”

- ...

„Nie zadzwonił więcej. To nic... Pójdę przynajmniej włączyć muzykę.

Wstać?... Będę słuchała siebie, to znaczy milczenia we mnie. U - u - u!

Nie, to nie ja sama z sobą... Jest to suma wszystkich miejskich szumów, jakby kilku radiostacji, które nadają na falach krótkich blisko siebie i wzajemnie sobie przeszkadzają...

Odgłosy miasta... Znów zrobiłam dziurę w szlafroku... To nic... Kupię nowy! Nie ma sensu, żebym cerowała ten... Co nie ma sensu?... Nic...”

„Co mi powiedział dzisiaj szef? Ach, tak...”

„Semi, dlaczego jesteś nie w sosie ostatnio?”

„Ostatnio?... Co ostatnio?...”

A on się śmiał. Bo nawijała na palcu taśmę od maszyny.

- Nakręciłam bilans kwartału!

On popatrzył na nią jak...

- Czy chcesz wziąć urlop, Semi?

- Co mam z nim zrobić?

- Wyjedziesz z miasta...

- Dlaczego? W górach tracę orientację. Tam jest monotonia. Drzewa...

Drzewa... Nie...

- To jedź nad morze!

- Nie umiem pływać. Zresztą co to za przyjemność smażyć się na gorącym piasku?...

(I znów przerwa w świadomości. Nie ma myśli. Nie ma zmysłów nawet. Taśma, która się kręci bez nagrania na niej. I tak, dopóki się nie skończy. Chyba że jakaś ręka ruszy i dotknie klawisz magnetofonu... Nikt nie umie czekać bardziej milcząco od maszyn, które są tak dobrze przystosowane do ciepłości... Do początkowego popędu jakiejś zewnętrznej inicjatywy...)

„Jestem pusta... Dlaczego nic się nie zarejestruje na moją duszę? Nic mi się nie chce... Nic. Nic. Nic! Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość...”

Nic mi się nie chce...

Tu nie przychodzi zachód słońca. Słońce nagle spada za blokiem naprzeciwko. A gdy cień bloku raptem spada na mój wiszący ogród, kwiaty natychmiast czernieją...

Semiramida wreszcie idzie do kuchni żeby zaparzyć sobie kawę. Na kolację je ciastka z kawą, bo nie chce jej się nic robić. Rozbiera się powoli, z ceremonialnymi przerwami. Kładzie się na łóżko, nieuporządkowane od rana. I przyciska klawisz pilota. W ciemności wyraźnie słychać strzały. A potem ekran błyska chorobliwie - niebieskawym odcieniem.

„Szkoda! Nie mogłam zobaczyć, bandytę czy policjanta zastrzelono...”

Tylko kot został na balkonie. Pilnuje wiszących ogrodów Semiramidy. Leży na ciepłym krześle z zapalonymi oczami.

Czy myśli?

Alojzy Podleśny „Człowiekiem być, to...”

I nagroda w kategorii prozy literackiej

Do ogródka piwnego przy ”Gazdówce” pana Pindora schodziło się w upalnym lecie wielu miłośników najczęściej tu serwowanego ”gronia” lub „książęcego”. Oprócz gazdów przychodzili też na piwo cepry, nierzadko całymi rodzinami, tymi powiązanymi sakramentem czy też ad hoc skleconymi, wczasowo. Przejedni także zatrzymywali się dla pokrzepienia.

„Gazdówka” pana Pindora cieszyła się ustaloną renomą. Był to pierwszy w okolicy zajazd nawiązujący do staropolskiego wystroju i gościnności. Pod solidnie obelkowaną powalą można było swobodnie zasiąść przy dębowym stole na takowej ławie bez obawy, że lada pierdnięcie obali stolik i rozpieprzy krzesło z listewek. Przed ”Gazdówką” ławy i stoły z litych pólgni zapewniały jeszcze większe bezpieczeństwo i wygodę. Na tak solidną konstrukcję możesz runąć, kiedy zaprzestajesz trzymania się pionu, całym ciężarem, choćby i licznymi nadkilogramami, pewien, że pod tobą nic się nie rozpierniczy. Taką wygodę cenią sobie goście dalibóg najbardziej, wszak nic gorszego jak niepewny, chybotliwy grunt pod człowiekiem. A i do rachunku nie doliczą za zdemolowany mebel, najwyżej za rozsypane szkło. A szkoda.

Kajże te czasy, kiedy solidne metalowe kufle z wieczkami stały na stołach?

Takim kuflem mogłeś cisnąć w najbardziej chromskiego chroma, a one ostawały bez szwanku. Niestety!

Dla gości, nie mających ochoty zaknajpiczyć się w ciasnych ciemnawych izbach, po drugiej stronie ulicy szeroka swoboda pod zielonym dachem koron roślących drzew - ogródek piwny z trunkami, flakami, krupniokiem oraz podejrzanego pochodzenia, choć smacznymi, frytkami. W kiosku przy piwie były też dla paniczek i dzieciek wszelakie napoje na orzeźwienie i frykasy.

Słowem, można było na świeżym powietrzu w ogródku piwnym popić, zjeść i pomaszkiecić. Każdy wychodził stąd zadowolony, chociaż niektórzy usiłując wiatru się trzymać.

Józa przyprowadził psa. Młody, okazały, dobrze zapowiadający się wilczur.

Cóż to, pies u gazdy? Zwyczajne bydlę jak każde inne. A właśnie, nie każde inne. Zwierzęta domowe i drób hodują z myślą o korzyści. Z psa nie ma w gospodarstwie widocznego zysku. Jest pożytek, że przed złodziejem i drapieżnikami ustrzeże. Ponadto dobry pies to honor i sława gazdy na całą dziedzinę. Tak jak wiedzą ludzie, kto ma dobrego konia

lub byka. Choć dzisiaj już nawet dobry byk nie liczy się jak dawniej. Dzisiaj gazda Janiuk przyjeżdża na motorku i robi za byka. Pies to co innego. Wprawdzie nie potrafi tego Józka wytłumaczyć, ale czuje to coś wszystkimi zmysłami. Ludzie opowiadają o psach wiele anegdot, legend i ciekawych historyjek, w których pies zawsze górą i dobrze się o nim mówi jako o przyjacielu człowieka. Ale co to tak naprawdę znaczy, co się za tym kryje, nie ma Józka pojęcia. To takie jakieś niemrawe, jak dajmy na to, miłość do Boga. Boga można kochać i to o każdej porze w każdej godzinie inaczej, bo potrzeba tej miłości zawsze inna. A tak w ogóle to trudno zrozumieć miłość do kogoś, kogo na oczy nigdy się nie widziało. Czyżby człowiek był też dla psa takim niby bogiem, wszak Panem dla niego jest i o jego losie całkowicie i wyłącznie decyduje?

Potężnym, niedostępnym, nieprzeniknionym! E tam! Józka lubię ździebko pomedytować. Nauczył się tego jeszcze, kiedy całymi dniami samotnie w lesie z Kubą, koniem pracował. Wtedy to też nauczył się głośno do siebie gadać, zwłaszcza do konia. Odezwał się może nieprzymilnie, tak po swojsku, od serca. Pozostało do tej pory. Bywa, że ryknie na krowy. Ludzie myślą, że przeklina, a on tylko mówi tak, jak umie, najlepiej. Inaczej też Józka miłuje te gronie, kierym wierny pozostanie do śmierci. To już niedługo, jako że już leci z górki, po pięćdziesiątce. Ba! Ile to nałaził się już po tych górkach? Zna wszystkie ścieżki i zakamarki. A ile nocy przeklinal w lesie z końskim brzuchem zamiast poduszki pod głową? Ta miłość do Gronia mierzy się inną miarką - podziw i respekt. Bywa, że piorun huknie, aż chałupa podskoczy, a Groń wychodzi z tego bez szwanku. Po intensywnej w ostatnich latach chemioterapii, chociaż nie słyszał o chorobie nowotworowej gór, Groń mocno wyłysiał i kto wie czy starzyki przyznałyby się do niego.

Drzewiej bywało, że las - myśmy go nazywali Brodą Pana Gronia - podchodził pod samą chałupę, a zwierzyna jak grzyby sama wpadała do garnków. Bóg jeden wie, ile "faunów leśnych" przetrwały chłopskie żołądki. Bóg może wiedzieć, władza nie, bo prawem zabronione. Ale prawo nie zabrania wynoszenia z lasu chrustu na podpałkę, więc Broda Pana Gronia ogrzeje zziębnięte kości w długie zimowe wieczory. Taka babcia Sikorzyno zaliczyła dziewięćdziesiąty krzyżyk, a co dzień targa na własnym grzbiecie chrust spod Gronia albo worek oskórzyn, które pozostają po drwalach. Babcia Kisiałowa, także grubo po dziewięćdziesiątce, zamieszkiwała samiuteńka do końca życia w drewnianej chałupce, ostatniej pod Groniem. Nie była sama, wszak miała liczną rodzinę w nowych murowanych domach w dziedzinie. Oni radzi sprowadziliby babcie do siebie, aby nie musieli codziennie gramolić się pod Groń doglądać starowinkę. Babcia Kisiałowa ani rusz nie chciała o tym

słyszeć, więc wszyscy musieli podporządkować się jej woli. Także ksiądz, któremu przyszło Pana Boga pod Groń wysoko targać, ponieważ samochodem nie sposób dojechać.

Takie twarde postanowienia mają ludzie z gór, których charaktery ukształtowały twarde warunki koegzystencji z surową naturą. Kto mówi, że babcia Kisiałowa była sama? Tej rozśpiewanej gromady fruujących przyjaciół pozazdrościć może każdy, zwłaszcza miastowi. A tych sarenek jadających z ręki czy tej lochy ufnie podchodzącej z gromadką warchlaków pod samą chałupę? Kto mówi, że babcia Kisiałowa była sama? To trzeba widzieć na własne oczy, tego trzeba doświadczyć. Zwariowana jest ta miłość ludzi do gór, do ojcowizny, do tradycji, do niegdysiejszych kolorów człowieczego przemijania.

Józa nie umie pisać ani czytać, ale nie jest głupi, niedorozwinięty.

Przeciwnie. Józa nie podpada swoimi szkolnymi brakami. Jest wesoły i myśli logicznie, bawi znajomością niepretensjonalnej filozofii życia, a w temacie konioznawstwo nie ma sobie równych nie tylko w tej miejscowości. Nie na darmo małego Józka zamiast do szkoły ojciec zabierał do końskiego interesu.

Chłopiec, nie przez głupiego księdza chrzczony zaliczał semestry na uniwersytecie pana Gorkiego, chociaż indeks i dyplom kajsik zapodział.

Józa miał psa, o jakim od dawna marzył. Wprawdzie młody, więc głupi jeszcze, ale się tym gazda nie przejmował, bo wiedział, jak temu zaradzić.

Takiego psa trzeba w odosobnieniu trzymać, żeby z ludźmi się nie skundłował, najlepiej w ciemnicy, żeby zdziczał, nie przekarmiać, żeby nie zleniwił i zawsze był zły. Póki co nie zawadzi pokazać Harnasia ludziom, przejść się z nim po dziedzinie, poparadować. Z tym zamiarem nosił się od jakiegoś czasu, dlatego też wcześniej zaopatrzył się w porządny kaganiec, bo to większy szpan. Psa odpchlił i wyszczotkował, żeby wyglądał na zadbanego. Wszystko szło, jak sobie umyślił. Ludzie wybałuszali gały na widok Harnasia, którego dla lepszego szyku prowadził krótko przy nodze.

Niektórzy cmokali, podkręcali wąsa lub głowami z wrazenia kiwali. Józa był kontent z siebie i dumnie wyprostowany przedefilował przez wieś niczym na dożynkach.

W ogródku piwnym pana Pindora koleśiom kolejkę postawił, potem już tylko rewanżowe kufle wychylał. Honor gazdy tego wymaga. Po którymś z kolei piwie Józę opuszczające zaczęły siły i kumple też się rozmyli. Pozostał sam przy stole z nie dopitym kuflem, wiernym druhem Harnasiem i echem dudniącym w uszach zachwyty i pochwał. Być może, tego dnia Józa ździebko przeholował, bo jakosik słabo mu. Myślał, że po następnym piwie wzmocni się i poprawi samopoczucie, ale rozkładało go coraz bardziej. Głowa ciężała od coraz większej ciężkości, że musiał ją co chwila opierać o stół. Wilczur

biegał między posadzonymi na ziemi ławami z żerdzi i takimiz stołami, pocącymi się odorem piwka, zaczepiany raz po raz przez podchmielonych gości i znudzone dzieci, spragnione zabaw i przygód. Między odpływem a przyływem świadomości Józka zreflektował się, że jego do niedawna podziwiany i chwalony pies nie może kundlować bezpiecznie po ogródku, ryknął więc co sił w piersiach.

- Pódziew, Harnaś!

Ucichły rozmowy przy stolikach. Ludzie spoglądali w stronę Józka. Pies podbiegł niezwłocznie do pana, przysiadł na tylnych łapach i cierpliwie czekał dalszych poleceń. Józka mamrotał coś do Harnasia, czego zapewne sam nie rozumiał. Wnerwił się i zerwał mu kaganiec, po czym znowu ociężałą głową przykleił się do stołu, tuż obok kufla, i oddał się kojącemu falowaniu świadomości manipulowanej przez odpływ i przyływ. Pies widocznie spokoił bełkot swego pana, bo zaraz capnął kłami pierwsze zbliżające się dziecko. Chłopczyk przeraził się, więc krzyczał nie tyle z bólu, co na wszelki wypadek. Zrobiło się małe zamieszanie. Poddenerwowanie udzieliło się także przy innych stolikach. Rodzice oglądali uważnie rączkę dziecka.

Kilka osób zadeklarowało chęć pomocy bądź służyło dobrą radą.

- Nie becz! - powiedział mężczyzna do chłopczyka. - Nic się nie stało.

Ten pies tylko złapał cię za rączkę. Mogło być gorzej. W przyszłości nie zaczepiaj byle psa.

- Ale czemu ten pijak zdjął psu kaganiec? - głośno zadawała pytanie kobieta. - Tak nie wolno. Co to za zwyczaj, żeby przyprowadzać psa do publicznego miejsca, w dodatku bez kagańca?

Zdenerwowanie kobiety udzielało się chłopcu, z kolei płacz malca nie działał bynajmniej uspokajająco na kobietę.

- Taki duży pies może następnym razem odgryźć dziecku paluszek albo rączkę.

Na samą myśl, że mógł stracić rączkę, maluch rozbeczał się na dobre.

- Karol! Idziemy stąd! - rozkazała podniesionym głosem kobieta. Mężczyzna dopił piwo i ruszył do wyjścia za kobietą i dzieckiem.

Bronek nie znosił płaczu dzieci, zresztą jak większość dorosłych ludzi.

Płacz dziecka wywołuje każdorazowo u Bronka taki jakiś wewnętrzny, bliżej nieokreślony ból, jakby to on sam płakał. Chociaż Bronek nie ma własnych dzieci, a może właśnie dlatego? Powiadają ludzie w dziedzinie, że Bronek ma dobre serce i wielka szkoda marnować taki skarb na starokawalerstwie.

Bronek wstał od swego piwa, podszedł pod siatkę ogrodzeniową i przywołał psa.

- Harnaś! A dyc pódziaw chromie do mnie!

Pies podbiegł do Bronka, przyjaźnie merdając ogonem. Broniek głaskał psa po gęstej sierści za sterczącymi uszami, prawą zaś dłonią masował Harnasia po grzbiecie. Nagle pewnie złapał psa za sierść u nasady łba, a drugą ręką za ogon, błyskawicznym ruchem poderwał jak sztangę na wyprostowanych ramionach i natychmiast spuścił jego cielsko do jeszcze nie skoszonego za ogrodzeniem owsa. Manewr był tak efektowny i szybki, że spadanie psa do zboża zdało się trwać o wiele za długo - jak na zwolnionym filmie.

- Nie do wiary! - krzyknął zachwycony pan Domniepodobny. - Ma krzepę chłop! - Po chwili dodał: - Ale czy to w porządku?

Broniek wrócił do swego piwa. Kolesie rechotali z uciechy i gratulowali.

Byli też tacy, co to nie omieszkali potarmosić całującego się ze stołem Józę.

- Cha! Cha! Zbudź się, gazda! Cha! Cha! Ty mosz psa. Widziołeś, jak go Broniek przez płot majtnął?

- Co? Mojego psa? - Józka z trudem zbierał myśli. - Mojego psa, chromy? A kajże on?

- A tam, za płotem - informowali chichocząc celem większego wnerwienia gazdy.

Józka oprzytomniał w okamgnieniu.

- Chromy! Kaj mój pies? - ryknął pełną piersią, aż głosy przy stolikach pocichły i przeszły w szmer.

Józka wstał z ławki i usiłował utrzymać się na nogach. Rozejrzał się.

Harnaś międlął się w owsie. Chwiejnym krokiem zbliżał się do stolika, przy którym Broniek udawał spokój, pozorując popijanie z kufła piwa. Przycichła natrętnie głośna melodia z kasety: "Gdybym się na świat narodziła..."

Ucichły też gwary przy zalanych piwem stołach. Oczy wszystkich skierowały się na tych dwóch mężczyzn. Rosła ciekawość. Józki oczy, zwłaszcza szczęki zdradzały ogromne wzburzenie. Usiłował powiedzieć coś do Bronka, ale nie mógł albo nie wiedział, co powiedzieć. Ręce dyndały bezwładnie po bokach.

Broniek pilnował tych rąk, czuwał. Przy słowach: "na mych skrzypcach pięknie grał, a grał", Józka zrezygnował, skierował się do wyjścia.

- Nerwus - pomyślał półgłosem pan Domniepodobny, nie przestając obserwować gazdę.

Józka skierował się za płot do psa. Harnaś ogłupiałymi ślepiami wpatrywał się w balansującą sylwetkę pana. Zatrzymała się przed skulonym ze strachu psem.

- Taki wstyd, Harnaś! - wykrztusił półgłosem. - Tako gańba, chromie jeden!

Po policzkach Józka spłynęły łzy. Mężczyzna runął na kolana.

- Widzisz? Klęcza przed twoim pyskiem, chromie zatracony. Widzisz to? Jak jeterozki pokażą się na piwie u Pindora? Tako gańba!

Pies ostrożnie przybliżał łeb, delikatnie obwąchiwał mężczyznę, jakby próbował odgadnąć myśli i zamiary pana. W przepaszającym geście długim jęzorem oblizwał twarz pana.

Józa uronił znowu kilka łez.

- Żoł mi ciebie, boś jeszcze taki młody i głupi. Tako gańba. Mówił do psa powoli a dobitnie. Ostatnie słowa wywołały gwałtowny napływ do twarzy nerwicy. Oczy pomętniały od wściekłej gorączki. Pies w przeczuciu najgorszego odskoczył, schowawszy ogon pod siebie.

- Stój! - rozkazał pan.

Pies odwrócił się. Jego ślepia poweselały na chwilę nadzieją. Pomachał ogonem na wietrze i przyczołgał się do pana. Józa zwinęłą pięścią walną psa w szczękę. Pies zamarł w bezruchu, fałszem zerkając na swojego pana.

- Tako gańba! - ryczał Józa niczym ranny. Pies przeczuwał zagęszczające się przeznaczenie. Zwinął ogon pod siebie, łeb nisko zwiesił i potulnie jak skazaniec trwał w oczekiwaniu na to, co ma być. Józa doskoczył do psa.

Harnaś zamarł pokornie w bezruchu, nie chciał jeszcze bardziej wnerwiać pana próbą ratowania się ucieczką, czymkolwiek.

Józa lewą ręką złapał psa za tylne łapy. Pies nie wrywał się, opuścił łeb jeszcze niżej. Mężczyzna naprężył się. Silnym ciosem karate walnął psa poniżej uszu. Pies ani jęknął. Wybałuszyl ślepia i z wielką pokorą przyjął wyrok Pana. Nie chciał lamentem jeszcze bardziej denerwować tego, którego miłował nade wszystko i uwielbiał. Odchodził godnie, jak przystało na rasowego psa. Gazda Józa zarzucił dogorywające ścierwo na plecy i powłókl się chybotliwym krokiem ku chałupie.

- Dlaczego on to zrobił? - zachodził w głowę pan Domniepodobny. - Przecież wydawało się, że lubi tego psa. Dziwni ci tutejsi ludzie!

Kazimierz Sowirko „Rusek”

Wyróżnienie w kategorii prozy literackiej

W sierpniu 1944 roku, kiedy wojska sojusznicze - idące ze wschodu - przystępowały do wyzwolenia Sandomierszczyzny spod okupacji hitlerowskiej, Maria Stokowska skończyła

właśnie dwadzieścia lat. Była zatem jeszcze całkiem młodą dziewczyną. Wyglądała jednak jak jabłoń, która wiosną zapowiada się dorodnie i zielono, a żółknie i marnieje latem pod wpływem suszy. Wojna i okupacja zrobiły swoje.

Mieszkała nadal w domku (na przedmieściu Sandomierza), który był niegdyś w miarę wygodny i dostatni; dopóki żyli w nim obydwój rodzice...

Odchodzili kolejno i dom stopniowo podupadał. Teraz brakło w nim przede wszystkim rodzinnego ciepła - wszak nie było już rodziny. Samotną dziewczynę dom straszyl ogołoconymi pokojami, pustawą kuchnią, chłodem i głodem. Postrzelony w ostatniej kampanii, ukazywał słońcu szpetotę jasnych tynków, upstrzonych niby piegami dziurami od kul. Z poszarpanym przez pociski dachem zawodził z wiatrem nad swoim losem, a monotonną modlitwą w ulewach upraszał deszcze, by nie powiększały rozmiarów zacieków na sufitach i ścianach pańskich pokojów. Epitet "pański" przyłgnąć miał odtąd w opinii nowych władz do tej resztki świetności budownictwa "burżuazyjnej Polski" i będzie też ciągle wtykany do rodowodu Marysi. Matka bowiem pochodziła z rodziny ziemiańskiej, zasobnej i bogatej, ojciec - z dziada pradziada inteligent - być może dlatego z łatwością piął się po szczeblach kariery wojskowej, aż w sierpniu 1938 roku doszedł do stopnia kapitana. Jak przystało na głowę rodziny, ojciec zginął najpierw - w 1940 roku. Z historii wynika, że walczył krótko. We wrześniu 1939 ze swoją jednostką cofał się pod naporem wojsk niemieckich z zachodu na wschód; doszli aż na Wołyń. Tu omal nie wpadli w ręce bolszewików, którzy parli ze wschodu na zachód. Cudem wyrwali się z okrążenia i przez Rumunię przedarli się do Francji. Zasilili organizującą się tam właśnie polską Brygadę Strzelców Podhalańskich, z którą potem wyruszyli do Norwegii, pod Narvik. Zginął nad Bejsfiordem. Był jednym z pierwszych Polaków poległych, w walce pod Narvikiem.

Żona dowiedziała się o śmierci męża dzięki konspiracji. Od roku wyprzedawała sprzęty i meble, aby przeżyć, teraz zdecydowała się ostatecznie: zaczęła szmuglować ze wsi rąbankę i słoninę, a z czasem przenosić również zakazaną "bibułę". Dwa lata trwał ten proceder; wychodziła cało z każdej opresji. Już zaczęła wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę, aż pewnego razu, zmuszona do przemykania się do domu po godzinie policyjnej, wpadła wprost na patrol niemiecki. Nie zatrzymała się na wezwanie, próbowała uciekać; padła od pierwszego strzału. O znalezionych przy zabitej gazetach patrol zawiadomił Gestapo. Panowie spod znaku trupiej główki zabrali trefny materiał, a zwłoki kobiety pozostawili na przynętę.

Polacy, kimkolwiek by nie byli, zwietrzyli zasadzkę. Po kilku dniach i nocach bezskutecznego czekania gestapowcy nakazali służbie miejskiej sprzątnąć trupa nieznaney osoby i pochować.

Ostrzeżona córka nie poszła nawet na prowizoryczny grób matki w obawie przed wpadką. Być może, ocaliła w ten sposób wówczas własne życie, oszczędziła cierpienie sobie i innym. Nie pozostało jej teraz nic innego, jak pójść w ślady matki. Z bibułą udawało się, z handlem było gorzej. Nieraz cierpiała głód. Żarły ją wszy, aż przyprawiły o tyfus; zmagiła się ze śmiercią, która czyhała na nią w chorobie. Pomagali jej ludzie i uratowali.

Było to zaledwie kilka miesięcy temu. Snuła się po mieszkaniu nazbyt słaba i wycieńczona jeszcze, by się mogła zająć czymkolwiek na serio, gdy w gorące sierpniowe dni 1944 roku nastąpiła ofensywa i rozszalały się nad miastem moce piekielne. Gdy po kilku dniach walki ustały i do rozkołysanego hukiem domu wdarła się znienacka cisza, wraz z nią wtargnęli wyzwolicieli.

Ilu ich było, nie wie. Szorowali po pokojach jak szczury w poszukiwaniu żarcia. Węszyli, co by zwędzić i darli wszystko, co wydawało się wartościowe. Przekrzykiwali się przy tym i klócili. Jej zagrozili automatem i kazali otwierać szuflady i skrytki. Popychali ją i poszturchiwali. Nagle, w jednej chwili, została kopniakiem zwalona na podłogę; jakby ją kosą ścieli. Pociemniało jej w oczach, w skroniach uczuła ostry ból. Zanim zdążyła wyczuć ciepły strumyk krwi na twarzy, już zdarli z niej sukienkę, jednym mocnym szarpnięciem rozerwali majtki; dwóch brutalnie rozdzierało kolana. Szarpała się konwulsyjnie - bezskutecznie... Zabrakło sił! Któryś z oprawców butem rozgniatł jej piersi i przygwaźdżał do ziemi, aż zabrakło tchu. Oczy zasnuwała czerwona mgła, bolała głowa, uwierały miażdżone piersi... Ogarniała ją ciemność. Przez moment dojrzała czyjeś połyskujące bezwstydnie jądra nad własnym krocem i w tej właśnie chwili usłyszała wystrzał, który zlał się z czyimś krzykiem: "A wy, szto, swołocz?!" - Jeszcze jeden wystrzał i głos, który zakrzyknął: "Paszli won!" Tupot kroków, odgłosy szamotaniny i... dziewczyna zemdląca.

Gdy się ocknęła, poczuła, że ktoś pomaga jej wstać i okryć nagość, po czym zawiadomił ją, że w tym domu przyjdzie mu przebywać aż do wyruszenia dalej na front, bowiem tu przydzielono mu kwatery. Oświadczenie owo zrozumiała dopiero w jakiś czas później, jak i to, że jest rosyjskim oficerem i nie chce jej krzywdy. Pozostawał w jej domu przez cztery tygodnie. Swoją czarnooką, jak nazywał Marią, opiekował się tak dobrze, że najpierw pozbawił ją cnoty (trzeba przyznać, zrobił to o wiele delikatniej niż zamierzali żołdacy), a potem hołubił jak żonę.

W jakiś czas po jego odejściu dziewczyna stwierdziła, że jest w ciąży.

Owszem, cztery tygodnie to spory szmat czasu, by nie polubić (a może i pokochać?) młodego, przystojnego Andriuszę. Była mu zatem powolna do końca.

- Co jednak teraz począć? Wstyd i hańba! I ludzie obniosą na językach jeszcze bardziej niż dotychczas! Za radą kobiety, która się nią opiekowała w zimie, w chorobie, spróbowała typowych babskich sposobów spędzenia płodu.

Gdy nie przyniosło to spodziewanych rezultatów, ogarnął ją strach. Popadała w panikę. W chwilach największego zdesperowania próbowała popełnić samobójstwo; podciąć sobie żyły, utopić się, powiesić - nigdy jednak nie starczyło jej odwagi, by zamiar przeprowadzić do końca.

Pod koniec maja 1945 roku przyszedł na świat Andrzejek. Nazwała go tak przez pamięć jego ojca, którego mimo wszystko oczekiwała (kiedyś przyrzekł jej, że powróci do Sandomierza). Właśnie skończyła się wojna. Biegły dni, tygodnie, miesiące. Andriusza nie powrócił, ślad po nim zaginął. Nie wiedziała gdzie i jak go szukać. Zresztą po co - uniosła się w końcu ambicją. Tymczasem Andrzejek rósł. Z trudem dawała sobie radę, gdyż czasy powojenne były ciężkie, a ona nie miała żadnych źródeł utrzymania; nie miała pracy, zarobkowała dorywczo. Nie dostała renty po ojcu; był oficerem sanacyjnym i w dodatku walczył na Zachodzie - powiedziano jej. Matka przed wojną nigdzie nie pracowała, by córka mogła liczyć na rentę po niej. Ludzie już jej nie pomagali, pomni na to, od kogo ma bachora. Zdecydowała się prosić o wsparcie powstające organa opieki społecznej. Owszem, dano jej niewielką zapomogę w naturze (żywność z paczek amerykańskich), ale musiała się najeść tyle wstydu, opowiadając o swoim związku z Rosjaninem; tak wymownie patrzyły na nią urzędniczki, iż więcej o pomoc nie prosiła.

Bywało, że jej dziecko ssało cukier (jeśli go miała) zawinięty w szmatkę, gdy matce nie starczało pokarmu. W domu wyzierał głód z każdego kąta. Po nocach nosiła na rękach rozwrzeszczane maleństwo, które poiła wywarami z pokrzyw i rumianku. Z resztek mąki piekła na blacie kuchennym owsiane i jęczmienne placuszki, którymi dziecko zaspokajało jako tako głód, gdy w buzi były już ostre ząbki, gotowe gryźć wszystko, co nadawało się do jedzenia. Pomna na metody matki, tarła na tarce jak najwięcej owoców i warzyw, którymi opychała siebie i dziecko (przynajmniej tych było sporo na grządkach - dbała o to - i w sadzie). Słowem, radziła sobie, jak mogła.

Wpierw pomagała, w czym i komu się dało, za łyżkę stawy i kawałek chleba - rzadziej za mizerne grosze. Później, gdy synek bardziej podrosł, brała go z sobą do domu ludzi, u których sprzątała, szorowała podłogi, bielila ściany, malowała drzwi i okna. Bywali jeszcze bowiem i tacy ludzie pośród powszechnej pauperyzacji społecznej. Zajmowały się

wtedy Andrzejkiem dzieci, których matki dawały mu czasem lepsze kąski, starą zabawkę, zbędną odzież. Gorzej było, gdy matce wypadło iść w pole do któregoś z okolicznych gospodarzy, u którego najmowała się do pracy. Co prawda, zapłata była lepsza niż przy posłudze w mieście, ale wtedy nie miał kto zajmować się Andrzejkiem i ten zazwyczaj albo przeszkadzał matce w pracy, albo wyczyniał harce w polu i psocił. Dostawał więc częściej klapsa, lecz wtedy na ogół beczał - dlatego matce było wstyd bić dzieciaka.

I tak się z nim męczyła, zmagając z własnym złym losem i niedolą, aż chłopak podrośł. Przyszło mu iść do szkoły. Początkowo uczył się dobrze, jakby zaciekawiony nowością swojego zajęcia, ale stopniowo obrzydzał sobie naukę i nauczycieli. Coraz bardziej szukał okazji, aby zbroić w szkole, podbić komuś oko, dać kuksańca, podstawić nogę itp. Z tego powodu nie był lubiany przez dzieci, a karcony przez nauczycieli, którzy zaczęli wzywać do szkoły matkę. Ta wysłuchiwała z pokorą "kazań" na temat swojego syna, a w domu starała się tłumaczyć mu, na czym polegają jego złe uczynki, o które nauczyciele mają doń pretensje. Chłopak najczęściej w ogóle matki nie słuchał. Miał inne zajęcia: bieganie za szmacianą piłką, którą chłopcy rozgrywali mistrzostwa pomiędzy ulicami i dzielnicami najbliższej okolicy miasta, penetrowanie cudzych ogrodów i piwnic dla zdobycia cennych rupieci, wojny Indian, podchody wojskowe, zasadzki, batalie i inne poważne czyny.

Chłopak rozbrykał się do tego stopnia, że nie chciał w ogóle słuchać matki, której połażanki nazywał wręcz babskim głędzeniem. Gdy w przyływie gniewu łąpała za miotłę, on łąpał jej drugi koniec i wrywał oznajmiając, że bić nie wolno. A przy tym często stawał koło niej, by udowodnić, że jest taki wysoki jak ona, a będzie jeszcze wyższy i... silniejszy.

Jakoż istotnie, doszło najpierw do tego, że ją przerósł. Pewnego razu wezwano ją do szkoły, by powiadomić, że Andrzej nałogowo pali papierosy i zaczyna zaglądać do kieliszka, a w każdym wypadku interwencji zachowuje się arogancko wobec uczących. Po powrocie do domu urządziła synowi awanturę: zamachnęła się na niego miotłą. On wyrwał ją ze złością matce i uderzył w twarz. Policzek nie bolał zbyt, więcej bolało matczyne serce, gdy uświadomiła sobie, iż syn udowodnił swoją przewagę fizyczną. Zrozumiała, że poniosła porażkę. Zastanawiała się tylko, od którego momentu zaczęła z nim przegrywać. Gdzie popełniła błąd w wychowaniu?! Na ile Andrzej jest uświadomiony przez ludzi, kto jest jego ojcem i dlaczego nie ma go przy nich?! Kiedyś przecież zapytał ją (był wówczas chyba w drugiej klasie), co znaczy słowo "bękart". Zbyła jego pytanie byle jaką odpowiedzią, zamiast wyjaśnić sprawę do końca. Wiedziała, że nie zapytał bez powodu, że chciał poznać ich sytuację rodzinną, usłyszeć od matki o swoim ojcu - być może, szczuty przez dzieciarnię

lub... dorosłych. Spłoszył ją tym pytaniem, a ona stchórzyła i jak ślimak wlała do swojej skorupy! Czy nie byłoby lepiej zapewnić chłopcu męską rękę w wychowaniu?

Właśnie nadarzała się okazja: w czerwcu 1954 roku poznała Zenka, swojego rówieśnika, który poważnie o niej myślał i w końcu poprosił ją o rękę. - Dlaczego nie wyszła za niego? Czyżby powodem odmowy było tylko to, że obawiała się, by Andrzej "nie wlał" kiedyś ojczymowi, który był dość mizernej postury i przy tym muchy by nawet nie skrzywdził?! Był taki inteligentny, czuły i delikatny - i kochał ją! A ile razy potem, gdy mu już raz odmówiła, prosił ją, by się zastanowiła względem ślubu. Oczywiście, kochali się, kilka razy mieli coś ze sobą! Ją tak ciągnęło do Zenka... Bała się jednak zająć w ciążę. Bała się języków ludzkich i... Andrzeja. A może byłoby lepiej, by chłopak miał rodzeństwo?! Pytania mnożyły się, a ona nie znajdowała na nie odpowiedzi. A zatem i sprawy wychowawcze pozostawiła teraz własnemu biegowi, a syna - własnemu losowi. Owszem, opierała go i prasowała bieliznę, doglądała ubrań, dbała, by miał co jeść, ale przestała się troszczyć, by nie przychodził zbyt późno do domu i by nie było czuć od niego alkoholu, co i jedno, i drugie, coraz częściej mu się zdarzało. Sama podjęła pracę zarobkową w biurze Gminnej Spółdzielni "Samopomoc Chłopska".

Sprawiło jej to satysfakcję osobistą, dawało stały dochód. Mogła wreszcie odłożyć grosz na remont domu, w którym dotąd jedynie po trosze łątała dziury wojenne. Kiedyś, przed wojną, rodziców nobilitowało pochodzenie, obecnie ich córkę - praca. Była urzędniczką! Wprawdzie czasem koleżanki w pracy dawały jej odczuć, jaki stosunek do niej mają, ale - pal je lichy - jeść jej przecież nie dawały.

Andrzej już był w szóstej klasie, gdy wynikła afera na większą skalę: syn wraz z drugim chłopakiem z klasy włamali się do cudzego mieszkania, ukradli pieniądze ze znanego im dobrze schowka (wcześniej - jak zeznali na milicji - obserwowali dom), kupili za nie dwie piłki nożne oraz trampki i koszulki dla drużyny, która miała reprezentować ich dzielnicę w potyczkach z innymi drużynami. Epilog sprawy miał miejsce w sądzie dla nieletnich. Andrzej dostał dozór kuratora sądowego na rok, kolega taki sam dozór przez pół roku, obu zaś matkom (jak się okazało, współnik kradzieży też był półsierotą) w odrębnej sprawie cywilnej zasądono (solidarnie) zapłatę kwoty, będącej przedmiotem zaboru. Tym razem nie próbowała już utarczek słownych z synem, spokojnie zachowywała się wzywana też nieraz do szkoły w związku z jego złym zachowaniem. Przegrała z nim bowiem na całej linii. Gdy był w siódmej klasie - dobrze to zapamiętała - kiedyś wrócił do domu z podbitym okiem (chyba w bójkę - pomyślała od razu) i nastraszony. Nie chciał obiadu! Milczał długo, aż wreszcie zapytał matkę ostro i bez ogródek: - Co znaczy Rusek?! - Kim był mój ojciec wtedy... i gdzie

on jest?! Chyba nie powiesz, że to Ruski?! - Przerażonej matce dorzucił jeszcze wyjaśnienie, nieco spokojniej, że tak nazywają go koledzy.

Odpowiadała wykrętnie, że ojciec chłopca zginął na wojnie tuż przed jego przyjściem na świat. - Nie p...! - warknął ordynarnie. - Kim on był naprawdę? - Ten jego ruski ojciec! - Gdzie są jego jakieś fotografie, pamiątki czy w ogóle coś, co mogłoby go przypominać? - Przemilczała pytania, nie miała bowiem na nie żadnych sensownych odpowiedzi.

Wtedy wybuchnął: Myślisz, że nic nie wiem, bo jestem głupi... Jestem bękartem! Słyszysz, jestem bękartem! Mój ojciec to Ruski, a ty jesteś dziwką, boś się z nim k...ła! I za tym drugim, potem, też łażyłaś jak suka! Ty, ty..." - Ani się spostrzegła, jak dostała w twarz, raz i drugi, a potem kopnął ją w podbrzusze i zakrzyknął: - Możesz się poskarżyć władzy na własnego bękarta! - Albo lepiej - idź z tym do kierownika GS-u! Przecież przewracasz gały za nim! Co, nie..."

Cóż miała mówić? Zwinęła się z bólu na podłodze, potem wstała i przemyśla twarz, nakładając na nią zimny okład. Popłakiwała tylko z cicha na niesprawiedliwość losu - najbardziej bolało ją posądzenie o kierownika.

Podobał się. To wszystko! Nazajutrz w pracy ciekawym koleżankom opowiadała jak to wpadła w ciemnościach na niedomknięte drzwi. Tego dnia syn wyszedł z domu trzasnąwszy drzwiami ze złości i wrócił na tyle późno, że nie słyszała jego powrotu; zasnęła wcześniej, splakana.

Skończył się dozór kuratora dla syna, on zaś sam dostał się do szkoły średniej. Widać, nie był taki głupi! Do tematu swego ojca nie powracał więcej. Ale za to w nowej szkole, gdzieś od drugiej klasy, zaczęły się nowe z nim kłopoty. Kiedyś wieczorem przyprowadził do swojego pokoju trzech kolegów. Ich rodziców znała z widzenia: ojciec jednego był dyrektorem banku, drugiego - sędzią w wydziale karnym, trzeciego zaś - wiceprokuratorem powiatowym (jego matka była działaczką miejskiego zarządu Ligi Kobiet). Wszyscy trzej zachowywali się dość powściągliwie wobec niej, sprawiali wrażenie nieco speszonych i zażenowanych. Jej syn natomiast zaczął od początku prosto z mostu: - Tą dziwką - tu wskazał na matkę - nie przejmujcie się wcale. - I dodał ostrzej, zwracając się do niej: - No, stara, nie wybałuszaj gał, zrób lepiej herbaty dla kolegów! Zasługują na uprzejme traktowanie, przynajmniej z uwagi na swoich ojców. - Zaśmiał się i dorzucił przez ramię: - Znajomość z którymś z nich, jest lepsza niż gruchanie się z kierownikiem GS-u, co? - Oblała się rumieńcem... Wprawdzie przespała się z nim kilka razy, ale nic poza tym! - Czy Andrzej coś podejrzewa, czy tylko blefuje? - myślała zmieszana. On zauważył to, więc dodał z sarkazmem: - Nie przejmuj się, każdy musi mieć jakiś fach. Widać, że cię twój Ruski dobrze

wyszkolił. A może i przed nim świętą nie byłaś, co? - Pytanie zawisło między nimi złowrogo. Koledzy syna zbyli je uśmiechami. Matka stała jak wryta i milczała. - Cóż miała począć?

Ochłonawszy nieco, odeszła do swojej roboty. Około jedenastej przypomniała chłopcom, grającym w karty, że jest późno i chciałyby się położyć spać, a i na nich też już pora. Syn wybuchnął: - Zamknij się! Idź do swego pokoju i śpij! - Odeszła.

Od tego czasu wieczorne posiedzenia syna i jego kolegów przy kartach (i alkoholu) powtarzały się dość często. Matka nie oponowała, bała się syna.

Gdy zaczęły bywać w jej domu dziewczęta, a ona mogłaby być niepożądanym świadkiem rozbieranych randek, syn przezornie zamykał ją w sąsiednim pokoju, gdzie przebywała pod kluczem do późnych godzin. Czasem stukała w drzwi dopiero rano. Wypuszczał ją, zaspany. W domu nie było już nikogo, panował za to nieład, czuć było dym papierosów i opary wina. Sprzątała.

Robiła sobie i synowi śniadanie. Szła do pracy, skąd wpadała często do szkoły, by usprawiedliwić nieobecność syna, który... (zawsze coś wymyśliła na poczekaniu). Bywało, że starała się o "lewe" zaświadczenia lekarskie dla niego, mające usprawiedliwić kilkudniową absencję w szkole. Zdarzało się nierzadko, że przychodziła tam z podbitymi oczyma i posiniaczoną twarzą.

Tak ją urządzał własny synalek! Nikomu z uczących, a już najmniej młodemu poloniście, wychowawcy klasy, do której uczęszczał Stokowski, nie przyszło do głowy, by posądzać chłopca o powodowanie sińców matki. Aż wylazło szydło z worka!

Swego czasu polonista zarządził klasówkę, wcześniej zapowiadaną. Okazało się, że Andrzej nie pisze - siedzi w ławce i drzemie. Kiedy "zamyślenie" chłopca przedłużało się, profesor podszedł do niego i zapytał o przyczynę „kontemplacji”. Andrzej milczał! Nie raczył nawet wstać! Podrażniony belfer zareagował ostro. - Chłopak wstał powoli, jakby z ociąganiem się, i nagle

... trzasnął nauczyciela w twarz. Ten, zaskoczony, oddał mu machinalnie sierpowym w podbródek i wyrzucił za bary z klasy. Chłopak wpadł do dyrektora ze skargą na krewkiego "Sowę" (tak przezywano polonistę).

Dyrektor wezwał uczącego i wysłuchał racji obydwu: pierwszy opuścić miał szkołę, drugi otrzymał upomnienie i przeniesiony został (decyzją władz oświatowych) do pracy w innej placówce. W ten sposób władza szkolna - za jednym pociągnięciem - pozbyła się i dobrego nauczyciela, i niezbyt dobrego ucznia. Przy okazji "śledztwa" wyszły na jaw domowe sprawy chłopca - po prostu jego matka nie wytrzymała nerwowo.

Wysadzony z siodła Stokowski był teraz panem sytuacji w całej rozciągłości. W domu pani Stokowskiej zbierali się nadal uczniowie i podejrzane panienki (właścicielka nie sądziła, by mogły to być uczennice); tańczyli, pili grali w karty. Czasem którąś z dziewczyn matka zastawała rano w łóżku syna. Robiła młodym śniadanie, sprzątała za nimi pomieszczenia, w których niedawno "urzędowali", i wychodziła do swoich zajęć. Nierzadko zmuszona była zrobić młodej parze obiad, gdy po przyjściu z pracy zastawała kochanków w rozgrzebanym łóżku. Ciekawiło ją, że żaden z rodziców nie zainteresował się, gdzie wieczorami lub nocą przebywa jego syn lub dorastająca córka. - Czyżby żadnego z rodziców nie obchodziło, że od ich synusiów i córeczek, wracających zbyt późno do domu, czuć zapach alkoholu?! Najmniej ważne było, że często widziano w pracy panią Stokowską posiniaczoną, że lekarz zakładowy coraz częściej udzielał jej pomocy i wypisywał zwolnienia lekarskie. Wszelkie indagacje o przyczyny obrażeń cielesnych wyglądałyby jak wtrącanie się w osobiste życie obywatela.

Milczano więc.

I tak czas biegł (powolnie i sennie) w mieście powiatowym, aż nagle powiało skandalą i sprawą kryminalną. Dowiedzieli się z nagłą mieszkańcy, że Andrzej Stokowski, po skończeniu osiemnastu lat życia, w "nerwach", spowodował śmierć swojej matki, wziął czajnik z gotującą się wodą i przymusem wlał ją matce do ust (tak zapisano w protokole z dochodzenia wstępnego, prowadzonego przez milicję). Świadców samego zajścia w zasadzie nie było, aczkolwiek ze Stokowskim przebywało wówczas kilka osób. Między nimi był syn pana prokuratora (ojciec zdążył już awansować), ale on ani nie słyszał, by denatka prosiła o coś syna, ani nie wiedział, po co ten wyszedł do pokoju matki. Później Stokowski nie opuszczał gry, aż do wyjścia świadka. Podobnie zeznawali dwaj koledzy Andrzeja, którzy pośrednio zaangażowali w sprawę sąd i bank narodowy; oni również nic nie widzieli, chociaż w rzeczywistości byli świadkami zajścia. Pozostali świadkowie wydarzenia (było ich trzech) obciążyli w zeznaniach Andrzeja, chociaż nie omieszkali dodać, że jego matka zachowywała się niestosownie wobec syna, gdyż była zbyt natarczywa. Jego czyn zaś usprawiedliwiali zdenerwowaniem oskarżonego i złością na matkę, która - jak sam relacjonował - robiła mu nieraz różne świństwa (jednak ani sprawca czynu, ani owi świadkowie nie potrafili określić, na czym te "świństwa" polegały).

Pani Stokowska, napojona wrzątkiem, doznała wewnętrznych obrażeń jamy gardłowej i krtani, a przede wszystkim dusiła się, co było przyczyną zgonu.

Nikt nie udzielił jej pomocy. Lekarz pogotowia przybył w dwie godziny (co najmniej) po zgonie; zaraz po odebraniu zlecenia wyjazdu od dyspozytorki pogotowia, które wezwał syn denatki. Sąd, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, głównie młody wiek

oskarżonego, wymierzył mu karę piętnastu lat pozbawienia wolności. Andrzej "odsiedział" lat dziesięć.

... Ów nauczyciel, wychowawca Stokowskiego, który "dzięki niemu" zmienił ongiś szkołę, niedawno odszedł z pracy w szkolnictwie z powodu częściowej utraty wzroku. Pracował od jakiegoś czasu w fabryczce, do której po „odsiadce” przyjęto też Stokowskiego - w zasadzie dzięki poparciu byłego belfra. Niegdyś przeciwnik "Sowy" zmienił się nie do poznania. Był cichy, pracowity, zdyscyplinowany. Obydwaj "bokserzy" spotkali się kiedyś na cmentarzu. Andrzej stał nad grobem matki, na którym leżały świeże kwiaty i paliły się znicze. - Kiedy on zdążył położyć płytę nagrobną, przecież dopiero niedawno musiał wyjść z więzienia? - Kto by to pomyślał... - medytował nauczyciel z niedowierzaniem. Dawny wychowawca obserwował „chłopaka” ukradkiem i w pewnej chwili zauważył łzy ściekające po jego policzkach. Andrzej zmieszał się i odszedł. Mogiła z przywiędłymi i świeżo przyniesionymi kwiatami, z migotliwym światłem zniczów w szarzącym mroku wieczora, świadczyła, że syn dba niezmiennie o grób rodzicielki. Polonista nieraz myślał o matce-polce z wiersza Mickiewicza i do tamtego obrazu kobiety z okresu powstania listopadowego przydawał postaci współczesnych Polek, takich jak matka Andrzeja, które - im tragiczniejsze losy je spotykały, tym większy wykazywały hart ducha i poświęcenie, a zwycięstwo często odnosiły dopiero za grobem.

Zofia Zamojska „Na przystanku”

Wyróżnienie w kategorii prozy literackiej

Było późne lutowe popołudnie, zmierchało już i wiał niemiły, zimny wiatr. Na przystanku byłam zupełnie sama. Tylko od czasu do czasu przebiegali obok mnie zziębnięci przechodnie. Było zbyt zimno, by przysiąść na drewnianej ławce, zresztą była brudna, a po obu jej bokach stały kosze blaszane, pełne śmieci, które wiatr rozdmuchiwał dokoła.

Nadeszła z lewej strony, od głównej ulicy. Nieduża, szczupła, niemłoda i biednie ubrana. Postawiła na ławce starą torbę i pochyliła się nad jednym z kubłów. Poszperała w nim przez chwilę i wyjęła dwa kubki po kefirze. Z uwagą i namaszczeniem oglądnęła je, a potem pomału podniosła do ust.

Najpierw jeden, potem drugi. Znów obejrzała i stwierdziwszy widzieć, że są zupełnie puste, wrzuciła na powrót do kubła. Zadowolonym z siebie gestem obtarła obie dłonie o płaszcz i usiadła na środku ławki obok starej torby.

Gdy odchodziłam spłoszona z przystanku, usłyszałam jeszcze, że mówi coś do siebie.
Ale nie wiem, co...

Luty 90

Krystyna Bożnowska „Kaczeńce”

Wyróżnienie w kategorii wspomnień

To było naprawdę zdumiewające i zdumiewa mnie jeszcze dziś. Jak to było w ogóle możliwe, że zdołałam zapamiętać tyle ważnych szczegółów dotyczących wydarzeń tamtego dnia. Miałam przecież zaledwie cztery lata. A jednak moja pamięć przechowała wszystko to, co wtedy było mi tak drogie.

Moi rodzice, ja i moja starsza siostra mieszkaliśmy wówczas w niedużym miasteczku, leżącym na pograniczu Śląska i ziemi krakowskiej. Było to związane z pracą mojego ojca. W latach dwudziestych na przedmieściu tego miasta wybudowano fabrykę. Projektantem i realizatorem tej inwestycji był mój ojciec. Dzięki nowoczesnym urządzeniom i pomysłowemu inicjatywom przedsiębiorstwo rozwijało się pomyślnie.

Dom, w którym mieszkaliśmy, znajdował się na uboczu. Była to willa z niedużym ogrodem. Rodzice prowadzili dom otwarty. Zwłaszcza w dni świąteczne i niedziele był pełen gości. Zazwyczaj przyjeżdżali krewni i znajomi z terenów Górnego Śląska. Możliwość spędzenia choćby kilku godzin poza zadymionymi Katowicami była zbyt kusząca, aby z niej zrezygnować.

Toteż nie rezygnowano prawie nigdy. Okolice miasteczka były bardzo malownicze, więc chętnie organizowano wycieczki. Były również spacer, na które zabierano dzieci.

Ja szczególnie lubiłam drogę, przechodzącą obok naszego domu. Wystarczyło zatrzasnąć furtkę od ogrodu i już widziało się pola uprawne. Potem zaczynały się rozległe podmokłe łąki, sięgające aż do ciemniejącego w oddali lasu. Droga łagodnym łukiem skręcała w prawo i gubiła się między drzewami zagajnika.

Wiosna tego roku zaczęła się wyjątkowo wcześnie. Kilka słonecznych dni sprawiło, że wszystko zazieleniło się nieomal w oczach. Zbliżała się Wielkanoc. W domu wyczuwało się wyraźnie tę nieuchwytną i niepowtarzalną atmosferę nadchodzących świąt.

Ale nie tylko dlatego, że wszystko odświeżano, odkurzano, polerowano, nie, na pewno nie dlatego. To było przecież normalne o tej porze roku. Ja wyczuwałam w tym jakąś inność, coś bardzo radosnego, przyjaznego... Jednak byłam, zbyt mała, aby umieć to sobie

wytłumaczyć. Dziś spróbowałabym to wyrazić w kilku słowach: - To było spełnienie oczekiwań.

Nie lubiłam zimy. Przez długie zimowe miesiące zanudzałam wszystkich pytaniem: - Kiedy wróci wiosna? Każdego ranka, zaraz po obudzeniu, biegłam do okna, by zobaczyć, czy śnieg jest jeszcze w ogrodzie. A kiedy przekonałam się, że nic się nie zmieniło, wracałam niepokieszona i pełna żalu. I teraz, gdy wszystko się spełniło, nie posiadałam się z radości.

Całe dni spędzałam, oczywiście, w ogrodzie, biegałam po alejkach i próbowałam pomagać przy porządkowaniu trawników.

Pamiętam ten pogodny, kwietniowy dzień. W to niedzielne przedpołudnie w domu było gwarno i wesoło. Do obiadu pozostało jeszcze sporo czasu.

Potanowiono, że pójdziemy na spacer.

I tym razem wybrano moją ulubioną drogę. Pobiegłam więc do dziecinnego pokoju, bo niania miała mnie przebrać. Okna były szeroko pootwierane. Było ciepło. Już od rana świeciło słońce. Ale to nie było to lipcowe, letnie słońce, które obezwładnia i zmusza do ucieczki. Ono było radosne i zapraszało. Ubrano mnie w kremową sukienkę i sweterek, w jasne pończoszki i buciczki. A ja poprosiłam o mój ukochany, czerwony fartuszek. Rzeczywiście, był bardzo ładny. Niania, zapinając go na guziczki, uśmiechała się.

Fartuszek na przodzie miał przyszytą dość dużą kieszeń. Na niej kolorowymi nićmi była wyhaftowana kaczka. Haft był śliczny, a kaczka miała zabawną minę. Wydawało mi się, że mruga figlarnie do mnie swoim jednym okiem.

Wszyscy w domu wiedzieli, że mój fartuszek nazywam "śmiejąca się kaczka".

Wkrótce wszyscy byli gotowi do wymarszu. Zbiegliśmy szybko po schodach.

Po chwili cała grupa szła drogą, rozmawiając i żartując. Ogrody i domki zostały poza nami. Mijaliśmy pola, gdzie zaczęto już pierwsze wiosenne prace, gdy nagle ktoś wesoło zawołał: - Kaczeńce kwitną! Przyspieszono kroku. Zaraz potem rozległo się głośne, przeciągłe: - Ooo...

Zatrzymałam się na skraju drogi. Patrzyłam, patrzyłam bez słowa. Przede mną w wiosennym słońcu złocił się szeroko rozłożony na łące dywan kwitnących kwiatów. Ta żywa, delikatna tkanina była urzekająco piękna.

Bujność zieleni budziła zachwyt, a rozrzutność natury wprost oszałamiała.

Kwiatów było tak dużo, tak dużo...

Swoją dziecięcą wrażliwością wyczuwałam, że ten nowy, odkrywany przeze mnie świat jest najwspanialszym spełnieniem moich wiosennych oczekiwań. Nie mogłam oderwać

wzroku od kwitnących kaczeńców. Chciałam być tuż, tuż przy nich, chciałam je dotknąć, mieć w rękach. Kwiaty rosły tak blisko.

Wystarczyło przecież tylko zejść z drogi i zacząć je zrywać.

Chęć ich zdobycia była tak silna, że wtedy poza nią nic więcej nie istniało. Zrywane kwiaty układałam w kieszonce fartuszka. Nie było to wcale takie łatwe, bo śliskie łodygi wysuwały się z niej. Narwałam już tyle, a jeszcze niosłam kaczeńce w obu dłoniach.

Teraz dopiero mogłam nacieszyć się swoją zdobyczą. Przytulałam kaczeńce do twarzy. Płatki były delikatne, a główki, przyjaźnie otwarte, przypominały małe słoneczka. Ich zapach był zapachem młodości. Jeszcze dziś poznałbym go wśród tysiąca innych kwiatów. Stałam na drodze z twarzą wtuloną w zerwane bukiety. Nie wiem, jak długo to trwało.

Byłam szczęśliwa...

Być może chciałam się z kimś moją radością podzielić, bo rozejrzałam się wokół. Nikogo nie było. To mnie nie przetrzaszyło. Kaczeńce były ze mną i to było najważniejsze. Jednak znowu rozglądnęłam się, trochę uważniej.

Pusto... Ogarnął mnie niepokój, który narastał z każdą chwilą.

Myślę, że właśnie wtedy dała znać o sobie ciężka choroba moich oczu, o której jeszcze nie wiadomo. Las wydawał mi się bardzo odległy, jego obraz zamazany. Otaczająca mnie przestrzeń stała się nieprzyjazna, a droga, którą tak dobrze znałam, wydała się nagle, jakby obca. Bałam się... Bałam... Nie wiedziałam, co robić. Czy iść w kierunku domu, czy stać i czekać. Drżałam nie tylko ze strachu, lecz również z zimna. Poczułam, że bućki i pończoszki są mokre. Kwiaty wypadły mi z rąk. Nie wiem, jak to się stało.

Widocznie dłońmi chciałam przetrzeć oczy, a one mi przeszkadzały. Nie płakałam, chociaż przejmował mnie ogromny strach.

Nagle usłyszałam jakiś dźwięk. Nasłuchiwałam. Dźwięk się powtórzył. To był śpiew. Poznałam znaną melodię. Wtem ktoś zawołał mnie po imieniu. To chyba moi wracają. Uchwyciłam się tej myśli. Nie poruszyłam się. Siostra podbiegła do mnie i wzięła mnie za rękę. Czekano na nas z obiadem, więc wszyscy w pośpiechu wracali do domu. Byliśmy już blisko. Nikt nie zauważył, kiedy przez szeroko otwarte drzwi werandy wpadłam do mieszkania. Nie odpowiadałam na pytania domowników. Szukałam niani.

Znalazłam ją w pokoju przyległym do jadalni. Była zajęta wyjmowaniem nakryć stołowych z kredensu. Zauważyła mnie, a ja podbiegłam i wtuliłam się cała w fałdy jej sukni. Niania pogładziła mnie po głowie, pytając, co się stało. Milczałam. Łzy płynęły mi po policzkach. Jej obecność i troska sprawiły, że powoli przestawałam się bać. W tej chwili w drzwiach pojawiła się matka, podeszła i uwolniła łagodnie nianię z moich objęć. Potem

przybiegła siostra. O co zapytała ją niania, nie wiem. Matka całowała mnie, odpinając guziczki mokrego fartuszka. I w tym momencie ja się nie tylko rozplakałam, ale rozkrzyczałam. To był bunt i protest. Wciąż powtarzałam: - Kaczeńce, kaczeńce, nikt nic nie wie, sama opowiem... Kurczowo zaciskałam na kieszonce dłonie, zanosząc się od płaczu, nie pozwalałam, by zdjęto fartuszek.

Ktoś poprosił mamę do jadalni. Nie było wtedy czasu na moje małe smuteczki. Życie domu musiało biec ustalonym trybem. Matka, stojąc w drzwiach, powiedziała: - Dziecko jest przestraszone. Nie wiem, co się stało. Proszę ją uspokoić. - I wyszła, zabierając siostrę.

Nie pamiętam, co było dalej. Wiem tylko, że w nocy się obudziłam. Nie wolno mi było wychodzić z dzieciennego pokoju. Okazało się, że miałam gorączkę.

Od tej pory nigdy nie ubierano mnie w czerwony fartuszek. Byłam już dużą dziewczynką, gdy zupełnie przypadkowo znalazłam czerwony fartuszek na dnie jakiejś szuflady. Przyglądałam mu się przez chwilę zamyślona. Rzeczywiście, był bardzo ładny. Ale to już nie była ta moja dawna śmiejąca się kaczką.

Lata mijały. Doświadczeń przybywało. A ja nieraz myślę, dlaczego tak dramatycznie przeżywałam tę moją dziecięcą, wiosenną przygodę. Wszystko przecież skończyło się szczęśliwie. Znalazłam się w moim domu bezpieczna między swoimi.

Dzisiaj wiem. To było ogromne poczucie winy i żal, że nie umiałam obronić tego, co było mi tak drogie.

W życiu może nie jeden raz trzeba było pogodzić się z wieloma stratami i niepowodzeniami. I to nie z własnej winy. Jednak zawsze w mojej podświadomości były i są obecne, leżące na drodze zmięte, zapomniane przeze mnie, nikomu niepotrzebne...

Moje Kaczeńce.

Józef Franczyk „Moje spotkanie ze sztuką”

Iii nagroda w kategorii wspomnień

Właściwie to trudno byłoby określić, kiedy rozpoczęła się historia mojego spotkania ze sztuką. Począwszy od najmłodszych lat zawsze pragnąłem w sposób plastyczny ukazać to, co czuję oraz przedstawić swój obraz świata.

Podobnie jak u innych ludzi obdarzonych pewnym talentem plastycznym, tak i u mnie już w szkole podstawowej ujawniła się potrzeba plastycznej ekspresji. Wyrażało się to, od samego początku, bardzo prostym, dziecięcym jeszcze, obrazowaniem otaczającego mnie

świata, zarówno tego najbliższego, czyli rodziny, jak świata zewnętrznego, to znaczy rzeczy zauważonych podczas drogi do szkoły, otoczenia szkolnego - koleżanek, kolegów, nauczycieli - oraz przyrody i przedmiotów np. domów.

Pochodząc z niezbyt zamożnej rodziny, ze środowiska o niewyrobnym smaku - napływowa ludność robotnicza o niezbyt wygórowanych potrzebach przeżycia estetycznego - byłem jakby skazany na indywidualny tok samokształcenia, albo raczej, jeszcze wtedy, jedynie głębszego zainteresowania dyscyplinami plastycznymi, jak rysunek, malowanie farbami szkolnymi, lepienie z plasteliny. Jako uczeń szkoły podstawowej z możliwością kształtowania swojej wyobraźni jedynie na lekcjach wychowania plastycznego (w skromnej ilości 2 godzin tygodniowo), starałem się pogłębiać wiadomości z zakresu plastyki szeroko rozumianej. I tak toczyła się moja początkowa droga poznawania sztuki. Aż do momentu świadomej już, i w pełni przemyślanej, decyzji o podjęciu nauki w Liceum Plastycznym w Krakowie, gdzie mogłem liczyć na w pełni profesjonalne i trafne uwagi.

Z dniem rozpoczęcia nauki w liceum nastąpiła we mnie zmiana podejścia do sztuk plastycznych. Powód był prosty: do tej pory, żyjąc w miejscowości o tradycji robotniczej, bez jakichkolwiek zabytków czy obiektów o znaczącej wartości artystycznej, byłem jakby na uboczu wydarzeń artystycznych. A od tego momentu, czyli od chwili przyjazdu do Krakowa, nagle jakby bardziej i szczerzej otworzyły mi się oczy na piękno. Moja wrażliwość artystyczna została jakby pobudzona ze zwielokrotnioną siłą oddziaływania (niemal szokującą), wywołaną zetknięciem się z miastem o tak dużej liczbie pięknych budowli, muzeów, kościołów itd. Nastąpił w mojej edukacji plastycznej pierwszy ważny etap. Miałem od tej pory bezpośredni kontakt z wielką sztuką, z ludźmi tworzącymi dzieła o dużej wartości artystycznej. Zmieniła się również metoda mojej nauki, gdyż do tej pory była to tylko niewinna, nieuporządkowana i raczej przypadkowa edukacja plastyczna. Od momentu podjęcia nauki w Liceum Plastycznym życie sztuką stało się codziennym faktem, i to dosłownie, poprzez codzienne rysowanie, malowanie. Z samego początku trudno było wejść w rytm nieustannego wykonywania prac plastycznych, gdyż były, oczywiście, także obowiązki związane z nauką przedmiotów ogólnokształcących. Ta codzienna praca rysunkowa i malarska składała się głównie ze szkicowego notowania zaobserwowanych wrażeń. Bardzo dużo prac wiązało się z tematem "Zabytki Krakowa". Z wielkim zapałem przystąpiłem do poznawania tajników i prawideł rządzących zasadami prawdziwej sztuki. Od pierwszych zajęć z rysunku i malarstwa cała klasa zaopatrzyła się w podstawowe i obowiązkowe przybory do pracy, czyli: bloki rysunkowe, ołówki, farby temperowe, akwarelowe, plakatowe, tusze itd. Duże wrażenie wywarło na mnie pierwsze spotkanie z

naszym profesorem rysunku i malarstwa, zresztą profesor wykładał również na Akademii Sztuk Pięknych.

Rozpoczęła się codzienność twórcza. Na wyniki nie trzeba było czekać długo.

Już po kilku miesiącach zauważyć można było wyraźny postęp. Rysunki czy prace malarskie stawały się coraz bardziej wnikliwe, zawierały coraz więcej treści artystycznych, cechowała je większa dojrzałość. Codzienny trud rysowania i malowania stopniowo znajdował właściwe i pozytywne odzwierciedlenie w efektach pracy. Muszę podkreślić, iż bardzo duże znaczenie miało na tym etapie mojej nauki fachowe prowadzenie przez profesora, który dokładnymi, trafnymi uwagami oraz swoją nieprzeciętną wiedzą i umiejętnościami pedagogicznymi potrafił wpajać nam coraz głębsze tajniki sztuk plastycznych. Cały okres nauki w Liceum Plastycznym stanowi bardzo istotne ogniwo w łańcuchu kształtowania mojej wrażliwości na piękno otaczającego mnie świata oraz uformowaniu mojego wewnętrznego zmysłu estetycznego. Pod wpływem uwag profesorów zdobyłem też podstawy technik plastycznych, dzięki którym mogę swobodnie operować materiałem plastycznym, zwłaszcza teraz, gdy wzrok mam bardzo osłabiony i często narażony na przemęczenie.

Po zakończeniu nauki w liceum planowałem kontynuować kształcenie na Akademii Sztuk Pięknych, ale stan zdrowia (nagła choroba) nie pozwolił mi na podjęcie tego wysiłku. Do chwili znacznego pogorszenia stanu wzroku starałem się pozostać wierny swoim zainteresowaniom. Wtedy zetknąłem się z nową sytuacją: znalazłem się sam na terenie działań plastycznych, bez kontroli nauczycieli. Ten moment zadecydował o tym, czy dalej będę się zajmował tworzeniem, czy też porzucę trud twórczego działania i wpadnę w wir "normalnego" życia. Użyłem słowa "normalnego", ponieważ uważam, że tworzenie jest trudną drogą życia, wymagającą od człowieka bardzo wyczerpującej dyscypliny, samokształcenia i kontroli charakteru. Myślę, że tak jest, gdy chce się tworzyć własną, poważną sztukę z zamiarem przekazania innym swojego poglądu na świat, na ludzi, na zachodzące dookoła nas zjawiska. Cały czas trzeba być szczerym i do końca konsekwentnym, aby sztuka nasza nie stała się sfalszowanym gniotem ani też pustosłowiem.

Będąc właśnie w takim okresie samodyscypliny, postanowiłem nadal iść drogą poznawania, a zarazem - zgłębiania środków wyrazu artystycznego, które pozwoliłyby przekazać moje plastyczne odczuwanie świata. Głównym tematem moich prac był człowiek, a celem ukazanie w portretach nie tylko zewnętrznego podobieństwa, ale przede wszystkim psychiki portretowanego. W uzyskaniu owych "walorów natury ludzkiej", ogólnie mówiąc, a

zwłaszcza, charakterystycznych cech danej osoby, pomaga mi rozmowa w czasie portretowania.

Wcześniejsze umiejętności techniczne, nabyte podczas nauki w liceum, pozwalają mi od momentu pogorszenia widzenia na ograniczone angażowanie wzroku. Pewne elementy rysunku czy też obrazu (te drobniejsze) wykonuję jakby mechanicznie - nawykowo, wiedząc, że w rzeczywistości tak wyglądają, albo, mówiąc inaczej, tak powinny wyglądać. Te umiejętności pozwalają mi na oszczędne posługiwanie się oczami, na ich szanowanie. Jednak cechą charakterystyczną moich prac, od tego momentu, jest coraz grubsza kreska, o bardziej zróżnicowanej gradacji. Coraz częściej sięgam po ołówki miękkie, grubsze, a tym samym rysunki stają się bardziej walorowe niż graficzne.

Innym powodem, który zadecydował o rysowaniu czy malowaniu portretów, całych postaci, było przebywanie w określonej grupie osób. Mogłem swobodnie zająć się portretowaniem, mając tak wielu chętnych do rozmowy, a przy okazji do poznawania. Szczególnymi okazjami były turnusy rehabilitacyjne, pobyty w szpitalach, w sanatoriach. Rysując twarze (z początku) zupełnie obcych mi ludzi i wgłębiając się w ich psychikę, coraz bardziej odczuwałem ich. Coraz częściej dawało mi satysfakcję obcowanie z nimi. Zaczynałem rozumieć istotę potrzeby bycia wśród innych osób. Rozumieć, że nie ma takich sytuacji życiowych, w których nie byłby pomocny drugi człowiek - człowiek dobry, szczerzy, otwarty, rozumiejący. Byłbym niesprawiedliwy w stosunku do tych uczciwych, gdybym nie napisał, że są również - niedobrzy, nieszczerzy, zadufani w sobie i widzący tylko swoje własne "ja", czyli że są wśród nas ludzie fałszywi i zakłamani. Wydaje mi się, że mogę się pokusić o takie stwierdzenia, gdyż, rysując i rozmawiając z tak wieloma ludźmi, uzyskałem niebezpieczną umiejętność wyczuwania ich osobowości.

Wbrew pozorom, można dość szybko zauważyć w człowieku cechy charakterystyczne, zwłaszcza podstawowe, elementarne aksjomaty natury ludzkiej. Tak więc, rysowanie ludzi dało mi też możliwość pogłębienia znajomości struktury charakteru ludzkiego w aspekcie psychologicznym. I tak przez kilka następnych lat utrwaląłem, ale również pogłębiałem wiedzę o sztukach plastycznych, zarówno praktycznie, jak i teoretycznie - w miarę możliwości. Moja edukacja teoretyczna opierała się głównie na czytaniu, albo raczej na słuchaniu kaset magnetofonowych z nagranyimi książkami. Muszę tutaj zaznaczyć, że w "naszych" bibliotekach, bibliotekach książki mówionej, jest niewiele pozycji na temat historii sztuki, estetyki, psychologii. Przeważają tytuły bardziej popularnych rodzajów książek, jak romanse, kryminały, powieści, co jest zrozumiałe, bo czytelników tego rodzaju literatury jest znacznie więcej. Jednak będę twierdził, iż szkoda, że nie popularyzuje się

pozycji mających wpływ na kształtowanie dobrego smaku estetycznego, co zapewne pozytywnie ukierunkowałoby szersze grupy społeczne i uwrażliwiło na piękno.

Chciałbym powrócić do głównego tematu tego eseju, jakim jest opisanie kształtowania zmian zachodzących w mojej świadomości estetyczno-artystycznej. Wpływu rzeczywistości, w jakiej się znalazłem, a która dość znacznie ulegała przemianie. Wielu z naszego środowiska słabiej widzących, a zwłaszcza takich jak ja (którzy do pewnego momentu życia bardzo dobrze widzieli) osłabienie wzroku postawiło w odmiennej rzeczywistości.

Z pewnych przyzwyczajzeń trzeba było zrezygnować, akceptując nowe uwarunkowania oraz nowy (mniej wyraźny, zamglony) świat. Znaleźć w nim swoje miejsce oraz określić sens działania.

Dla mnie osłabienie wzroku oznaczało zmianę poważną. Musiałem zrezygnować z pracy konserwatora dzieł sztuki, jaki miałbym wykonywać według uzyskanego dyplomu technika. Mimo słabszego wzroku siła mojej pasji jednak nie osłabła, w miarę możliwości starałem się cały czas "tworzyć dzieła". Po kilku latach wytrwałej pracy i uzyskaniu pewnej sprawności w tym, co robię, postanowiłem rozpocząć kolejny etap. Spróbowałem zorganizować pierwszą indywidualną wystawę w rodzinnym mieście (Jaworznie), a następnie w Katowicach i tak, co jakiś czas, staram się pokazywać swoją twórczość innym. I muszę przyznać, że zetknięcie się bezpośrednio z osobami, które wyrażają swój stosunek do moich prac, dało mi kolejny zastrzyk energii.

Uświadomiło mi sens takiego działania. Szczególnie duże wrażenie sprawia reakcja odbiorców ze środowiska słabo widzących i niewidomych. Oni, znając mnie, odnajdywali w tych pracach część mnie samego, cechy mego charakteru. Dużo by można pisać o wrażeniach z wernisaży, kolejnych wystaw.

Zdecydowanie ważne są takie aspekty pokazów, jak potwierdzenie wartości zawartych w pracach, w osobie twórcy, a zarazem uzyskanie energii do dalszego tworzenia. W czasie wystaw istnieje bezpośredni kontakt twórca-odbiorca, następuje zderzenie dwóch punktów widzenia. Pewne problemy, nie zauważane przez osobę tworzącą, stają się uchwytnie dzięki uwagom ludzi oglądających prezentowane prace.

Inną zupełnie sprawą, o wiele trudniejszą, jest zaakceptowanie twórców niepełnosprawnych przez społeczeństwo i docenienie ich wysiłku.

Niejednokrotnie osoby niepełnosprawne reprezentują wysoki poziom artystyczny, a sposób widzenia świata również bywa u nich głębszy, bo spotęgowany niepełnosprawnością oraz przeżyciami z nią związanymi.

Organizowanie wystaw prac, zarówno indywidualnych, jak i grupowych, ma zatem, według mnie, wielkie znaczenie; stanowi pewną formę resocjalizacji, czyli ogniwo łączące oddzielone sztucznie grupy społeczne. Ma również znaczenie drugie, równie ważne - pozwala na pokazanie twórczości ludzi o większej wrażliwości estetycznej.

Dla mnie, jak już zaznaczyłem, każda wystawa jest podsumowaniem pewnego (krótszego albo dłuższego) okresu. A jednocześnie motywuje i nadaje sens mojej twórczości. Ewidentnym dowodem na ciągłą pracę nad sobą było zdecydowanie się, w momencie ustabilizowania wzroku, na podjęcie zaocznych studiów plastycznych o kierunku wychowanie plastyczne. Ponownie, po dość długim okresie samokształcenia, zostałem poddany kontroli ze strony wykładowców na wyższej uczelni. Jest to krok, który pozwolił mi na poczynienie dużych postępów, pogłębienie poczucia przeżycia estetycznego i powiększył zakres mojej technicznej wiedzy, przydatnej w realizacji zamierzeń artystycznych. Udział w zajęciach, niejednokrotnie bardzo ostra korekta, uczestnictwo w plenerach uczelnianych zmusza do bardzo wytężonej i konkretnej, a zarazem efektywnej pracy. Przed moją wyobraźnią odkryły się kolejne, nie znane do tej pory obszary świadomości artystycznej. Muszę dodać, że w tym okresie o wiele więcej czasu i wysiłku poświęcam realizacji zadanych tematów, a i wymagania stały się bardziej wygórowane, by nie użyć tu słowa profesjonalne. Lata studiów stanowią dla mnie dopełnienie czaru działania twórczego. Stopniowo staję się dojrzały i bardziej świadomy procesów zachodzących w mojej twórczości. Mój sposób widzenia, odbierania dzieła sztuki diametralnie uległ zmianie. Został nasycony i zgłębiony do warstw poczucia artystyczno-estetycznego, wypełniony wrażeniem, wiedzą i doświadczeniem.

Obok studiów, nadal podstawą pozostaje indywidualne, nieskażone akademizmem spojrzenie, tworzenie rysunków, grafik, obrazów oraz pokazywanie ich co jakiś czas na wystawach, częsta konfrontacja. Równoległe z plenerami ze studiów, staram się, dla poszerzenia oraz urozmaicenia środowiska plastycznego, uczestniczyć w warsztatach czy plenerach osób niepełnosprawnych. Kontakt z tym środowiskiem (zaliczam się do niepełnosprawnych) daje mi możliwość ucieczki od akademickich nawyków moich kolegów ze studiów (w niektórych przypadkach już trochę zbyt wyrafinowanych i bez wyrazu). Chciałbym napomknąć tutaj o fakcie mojego uczestnictwa w festiwalach twórczości osób niepełnosprawnych (Wrocław 1987, Katowice - BWA 1990, Katowice 1993). Były to festiwale o zasięgu krajowym, a festiwal w Krakowie (1994) miał rangę ogólnoeuropejską. Dochodziło tam do spotkań ludzi tworzących od wielu lat, ludzi, którzy w swoich pracach potrafili ukazać, co dla nich jest najistotniejsze, co stanowi w wielu wypadkach sens ich

aktywnego bytowania, co sprawia, że przestają być osobami anonimowymi i zajmują należne im miejsce w naszej rzeczywistości. Znalazły się tam przede wszystkim osoby o niezakłamanej osobowości twórczej, chociaż nie brakowało pozorantów, których wszędzie, a zwłaszcza na tego typu imprezach jest wielu. Dla mnie te spotkania były ważne, gdyż mogłem poznać podobnych mi i chyba wartościowych twórców.

Równie znaczące są plenery plastyczne lub warsztaty twórcze przygotowywane przez różne instytucje i organizacje. Udział w tych imprezach niesie z sobą ładunek emocji oraz możliwość popracowania nad sobą poprzez kontakt z profesjonalistami, którzy starają się dokształcać twórców, często z niewielkich ośrodków. Do tej pory miałem okazję uczestniczyć w zjazdach twórców ze Związku Niewidomych. Pierwszy raz byłem na dwutygodniowym plenerze w Ciechocinku, w Ośrodku Wypoczynkowym PZN.

Podobnie jak ostatnio na plenerze w Bochencu koło Kielc (organizowanym przez Krajowe Centrum Kultury PZN, mieszczące się w WDK Kielce) uczestników było kilkunastu. Atmosfera twórcza, która całkowicie zawładnęła uczestnikami, świadczy o niezbędności takich działań. Wzajemne obcowanie, kontakty towarzyskie z osobami o większym niż mój problemie wzroku, częste rozmowy oraz szczerą postawą niektórych plenerowiczów, stworzyły niezapomnianą atmosferę oddania się sztuce. Efektem była końcowa wystawa prac.

Może się nasunąć pytanie, dlaczego nawiązuję do tych właśnie plenerów i czy te imprezy wywarły na mnie duże wrażenie. Odpowiedź jest prosta: każdy plener przynosi dużo korzyści, jeżeli się na nim w miarę dobrze i uczciwie pracuje. Każda praca artystyczna wymaga zaangażowania twórców, żąda od nich całkowitego oddania, bo jeżeli tego nie ma, plener pozostaje tylko wczasami i niczym więcej, no, może jeszcze oznacza zmarnowanie czasu...

Podkreślam ciągle swoiste, indywidualne zaangażowanie twórców w to, co robią - czy to w pracowni, czy w plenerze. Zawsze trzeba być sobą. Tylko człowiek uczciwy i bezwzględny w stosowaniu wobec siebie pewnych zasad, aksjomatów estetycznych, które budzą i utwierdzają dzieło, osiąga efekty.

Jako uczestnik plenerów, mając okazję do poszerzenia swojego widzenia i odbioru świata poprzez kontakt z innymi, starałem się nie tylko brać, ale również dawać i służyć w miarę swoich kompetencji, radami. Korzyść z takiej postawy jest obopólna, bowiem "dając, dużo bierzesz".

Korzyścią dla mnie było pogłębienie zrozumienia struktury materiału (głina) przez osobę niewidomą, kształtowanie wyobraźni na nowo; tłumaczenie tak normalnych rzeczy, jak

koło, kula, forma przestrzenna. Jakby były abstrakcyjną teorią, a nie dotykową rzeczywistością, praktyczną formą, używaną na co dzień. To jest niesamowite doświadczenie, które sprawia, iż w rzeźbie przestrzeń zyskuje dodatkowy wymiar i głębię. W rysunku i w malarstwie rzecz ma się podobnie, kreska i plama barwna również uzyskują pogłębioną intensywność odległości.

Moja droga do sztuki dowodzi, że każdy kontakt z różnymi jej dyscyplinami i każdą formą działania artystycznego niesie za sobą doświadczenie, które prowadzi do kolejnych kroków w edukacji plastycznej. Życzyć by można sobie i każdemu, aby te kroki nigdy nie ustały, aby zawsze było coś do odkrycia, zbadania, ukazania, przekształcenia w działanie twórcze dla twórców, a w przeżycie artystyczne - dla obserwatorów. Każdy etap rozwoju twórczości niesie ze sobą niepewność, zwiększa zapytania, stawia przed osobą tworzącą coraz większe wątpliwości. Każda odpowiedź na pytanie otwiera kolejną wątpliwość i zapytanie. Ta droga nie ma końca. Można by zacytować słowa filozofa: „Wiem, że nic nie wiem”, które świadczą o nieskończoności drogi wiedzy i twórczości, drogi świadomego kierowania własnym życiem i losem, a przynajmniej próbie takiego kierowania.

Ireneusz Morawski „Dlaczego nie zostałem pisarzem”

Wyróżnienie w kategorii wspomnień

Wstęp

Wiem, że konkurs jest dla tych członków Polskiego Związku Niewidomych, którzy zostali twórcami. Wiem, a mimo to postanowiłem spróbować przekonać jury, że ciekawa może być też i odwrotna strona medalu.

Był okres w moim życiu, gdy dużo czasu i sił przeznacziałem na tak zwaną działalność twórczą. Dużo czasu i sił, a jednak pozostało z tego tak niewiele...

Dlaczego???

Rozdział I

Gdy miałem 7 lat, a potem 8, jak wiele dzieci w tym wieku, wymyślałem wierszyki. Przecież w tym wieku to nieważne, że rymy miały częstochowskie, a więc: jeśli wiosna to radosna, a jeśli zima smutna, to okrutna.

W tej produkcji nieważny był skutek. Ważna była skłonność do składania wierszyków, a oddani mi ludzie mówili z dumą - Kto wie, może będzie pisarzem?

Do grona tych osób należała Danusia Simińska, - równieśnica mojego starszego brata. Ona podarowała mi notesik, śliczny taki, w drewnianej oprawie, a na drewnie, też z drewna, inkrustacje z szarotek i napis:

Krynica.

Wyrób był tedy jeszcze przedwojenny, miał służyć jako dziewczyński pamiętniczek, a stał się księgą do wpisywania pierwocin twórczych przyszłego geniusza.

W tym notesiku nie dało się pisać brajlem więc przyszły geniusz miał dyktować wiersze swojemu sekretariatowi, a tym sekretariatem była - jak zwykle w tych wypadkach - własna mama.

Sekretariat funkcjonował jedynie w letni czas wakacji, bo nie mógł funkcjonować, kiedy w ciągu roku szkolnego mama z torebką kruchych ciastek, sama głodna i biedna, jak biedni byli ludzie, którym wojna zabrała wszystko, z aktami urodzenia włącznie, szła do Lasek 7 czy 8 kilometrów od tramwaju w Boernerowie^{-*}-1 po słynnych kocich łbach szosy izabelińskiej, niesiona potęgą tej tęsknoty i miłości, jaką jej anioł stróż kochał mojego anioła, a czujność aniołów stróżów potrzebna była w czasie wojny jak nigdy przedtem i potem.

Zagrożenie dla życia mogło nadejść od wrogów, ale nie brakowało też napadów ze strony rodzimych bandytów, jak choćby tych, którzy rozwalili głowę pani Krauzowej^{-*}-2 tak, że przeżyła tylko dzięki natychmiastowej interwencji chirurgicznej doktora Cebertowicza.

Podczas tych jakże krótkich wizyt mamy w Laskach brakowało chęci i okazji na wierszyki i w pamiętniku Danusi zostało dużo nie zapisanych kartek.

Pamiętnik zaginał gdzieś przy ostatniej przeprowadzce i już się nie odnajdzie.

Rozdział II

Do napisania pierwszego opowiadania, o którym mówiono "twoja nowelka", przyznałem się, gdy miałem lat... chyba trzynaście. Powiedzmy, że opowiadanie bardzo podobało się Jerzemu Zawieyskiemu. Przyjeżdżał często do Lasek ten pisarz i myśliciel. Andrzejowi i mnie wolno było go odwiedzać. Podejmował nas serdecznie i z atencją na skromniutkim tarasie „Watykanu”, gdy na pierwszym piętrze szalał na fortepianie profesor Frieman, a pan Jerzy dmuchał na nas dymem holenderskich papierosów i miał to być środek przeciw komarom, którego te owady w ogóle się nie bały.

„Twoja nowelka” była naiwna na miarę naiwności lat trzynastu, ale pan Jerzy w czasie wakacji napisał do mnie list, w którym zwrócił uwagę na pewną właściwość stylistyczną tego tekstu. List przeczytały - rzecz jasna - wszystkie sąsiadki rodziców i powszechnie mówiono w okolicy, że ten niewidomy chłopiec stworzył nowy kierunek w literaturze.

A chłopiec odstąpił od tworzenia nowych prądów literackich i, będąc w dziewiątej klasie Pierwszego LO we Wrocławiu, powiększył plejadę producentów socrealistycznej twórczości. By dać świadectwo prawdzie powiedzmy, że w tym nurcie napisało się chłopcu tylko jedno opowiadanie.

Oto piękna, prawdziwie polska, pozytywna dziewczyna poznaje pewnego przystojnego, ale negatywnego bohatera i staje się negatywna, zaniedbuje naukę i na początku następnego roku szkolnego ma zdać dwa egzaminy poprawkowe, by ukończyć dziesiątą klasę. Wreszcie następuje w niej przełom, rozstaje się z owym negatywem, wyjeżdża dobrowolnie na akcję zniwną, w dzień wiąże snopki, a w nocy się uczy, zdaje poprawki, w pocie czoła zdrowieje ze źle ulokowanych uczuć i słynie potem z osiągnięć w nauce, a także z działalności w ZMP-6.

Z opowiadaniem pojechaliśmy do pana Jerzego.

Znów mu się podobało, choć mniej niż nowelka sprzed trzech lat.

Zrozumiałem wtedy, że pana Jerzego przepełnia tak dużo dobroci, iż nie ma szans na manifestowanie jakiegokolwiek niezadowolenia. Jerzy mógł co najwyżej zachwycać się więcej lub mniej i tym razem wybrał ten drugi wariant swoich możliwości. Mimo to powiedział na rozstanie: - No, chyba zostaniesz pisarzem, więc pełen otuchy przeczytałem to okropne opowiadanie na roboczym zebraniu Koła Młodych Literatów przy Placu Bankiera we Wrocławiu, na które uczęszczałem regularnie co środę, przynajmniej już od pół roku.

Pogrom był wielki, tym większy, że do pogromców przyłączyła się pani Haneczka - wszechstronna piękność Związku Literatów, która pięknie mówiła, pięknie czytała, przepięknie paliła papierosy i pięknie po prostu była światu na świecie. Trudno mi było zrozumieć, czemu tak jest. Oto od pół roku, co tydzień, prezentowano tu teksty kubek w kubek podobne do mojego, przybywali na zebrania studenci polonistyki i przekonywaliśmy się nawzajem, że szczekanie psa w noc księżycową winno być polityczne, bo i polityczne ma być kląskanie słowika, który żyje wyłącznie po to, by umilać odpoczynek budowniczym Nowej Huty i w ogóle Nowej Rzeczywistości. Pani Haneczka akceptowała twórczość moich kolegów, a ja stałem się grafomanem i jako grafoman nadal przychodziłem co środę na spotkania.

Nie zniechęciły mnie słowa potępienia, bo ów socrealistyczny tekst napisałem, by dostosować się do poglądów głoszonych w Kole Młodych, natomiast nocami - i nieraz do rana - w zimowym płaszczu, bo z kuzynem Jackiem mieszkaliśmy w pokoju, w którym nie było pieca, ba! nie było nawet miejsca pod piec, o chłodzie i głodzie, bo za ostatnie grosze kupowało się „paczkę mocnych i zapalki”, pisałem z głębi splotu potrzeb własnych płynącą

opowieść z życia wyższych sfer. I już nie pani Haneczka, ale co fajniejsi koledzy z klasy stanowili podziwiający mnie audytorium, a szczególnie bliski im był, na ich prośbę wielokrotnie przeze mnie odczytywany, rozdział pod roboczym tytułem "Gorąca noc dwu ciał".

W istocie trudno uwierzyć, że fragment ten powstał w zimową noc w pomieszczeniu, gdzie tylko dzięki gorącym, młodym oddechom jego mieszkańców temperatura była nieco wyższa niż za oknem.

Po maturze na całe cztery lata wyjechałem z Wrocławia, a gdy wróciłem, aby podjąć studia, zamieszkałem w tym samym pokoju. Stał tu już piec, ciepłutki, kaflowy, stała też moja szafa, ale jej zawartość gospodyni spaliła podczas mojej nieobecności. Dym walił wysoko, wysoko, bo przecież paliła się też opowieść z życia wysokich, wysokich sfer i palił się obraz ognistej miłości dwu ciał, spełnionej w letnią, gorącą noc.

Rozdział Iii Moje odkrycie nie wiąże się z żadnym wyraźnym momentem życia. Jest wynikiem i wiąże się z czymś, co można nazwać jakąś kategorią procesu dojrzewania, procesu powiadam, bo istniała w tym ciągu zmian jakaś płynność, która, zgodnie z prawem dialektyki, mianowicie tym o ilości i jakości, pozwoliła mi któregoś dnia dowiedzieć się, że nie napiszę już nigdy szanowanego przeze mnie tekstu w konwencji realizmu. Realistów będę czytał zawsze, ale dla przyjemności, niezależnie od charakteru przekazu i wartości poznawczych. Chcę jednak być dobrze zrozumianym.

My, artyści, płakaliśmy przecież jak bobry, kiedy Robert Jordan żegnał się z Króliczkiem, albo gdy doktor Ravik zamykał oczy Joanny Madou, ale mnie stawali się coraz bliżsi modelarze z niczym nieporównywalnych rzeczywistości, jak Kafka, Schulz (Bruno), Berent, Witkacy, Irzykowski, Ionesco, Beckett. Do nieprzytomności fascynował mnie też Faulkner i Styron.

W tej odludnej dziedzinie psychiki, którą zwą intuicją, czułem pogłębiające się braterstwo z tymi twórcami wielkich alegorii⁷, którzy nie hołowali zasadzie odtwarzania porządku świata. Inspirowany czerpanym z nich natchnieniem czułem chęć, potrzebę i możliwość wykorzystania wynikającej z mojej wyobraźni umiejętności modelowania innej rzeczywistości. Zatem nie odtwarzanie, lecz tworzenie stało się moim pragnieniem, ba! koniecznością, ponieważ wiedziałem, że muszę pisać, a wszelkie próby budowania opowiadań według czaso-przestrzennego lub przyczynowo-skutkowego porządku zdarzeń śmiertelnie mnie nudziły i jeżeli w trakcie pisania nie wyrwały się w stronę groteski, w końcu dawały efekt, który przemieniał się snadnie w dym z mojego nowego, kaflowego pieca.

Po prostu nie umiem być realistą!

To chyba powiedział André Breton: "Życ i przestać żyć - są to kategorie urojone. Istnienie jest gdzie indziej" *-8.

Rozdział Iv

Pierwsze moje opowiadanie pod bardzo banalnym tytułem Spotkanie z Marią za sprawą Andrzeja R. *-9 wydrukowano w "Kierunkach" jakoś w połowie stycznia 1957 roku. Prawie nie zauważyłem tego wydarzenia. Dnia 17 stycznia tegoż roku anioł stróż, który z torebką kruchych ciastek przychodził do mnie po kocich łbach szosy izabelińskiej, zerwał tę nić kontaktu z moim aniołem, a ta śmierć stała się katastrofą, która drapieżnie starła całą dotychczasowość mojego życia.

Ofiarowany mi przez Andrzeja R. egzemplarz "Kierunków" zgubiłem i dopiero po latach ktoś ukradł go dla mnie z annałów jakiejś biblioteki. Kiedy kazano mi palcem dotknąć mojego tekstu, powiedziałem: "Aha", ale miejsce to było obce i obojętne jak strzępki butów, które niegdyś lubiłem, a teraz zniszczyły się i wyszły z mody.

Całe honorarium przepiliśmy w restauracji "Klubowa" przy ul.

Franciszkańskiej we Wrocławiu w lutym 1957 roku.

Rozdział V

Do Wrocławia na dobre wróciłem w kwietniu 57 roku. Moim zdaniem głównym było przygotować się do egzaminu wstępnego na filologię polską po czterech latach przerwy od matury.

Andrzej *-10 - rzecz jasna - przyjął mnie z otwartymi ramionami.

Był to czas po słynnym październiku 56 roku. Na podobieństwo rakiet wybuchały wtedy rozmaite pomysły i koncepcje artystyczne, jak błyskawice pojawiały się talenty i osobowości, przeszczepiły się na naszą niwę kulturalną różnorodne kierunki i prądy z Zachodu, każdy coś pisał, coś malował, każdy coś czytał, każdy znosił jakieś kulturowe nowalijki, każdy coś organizował, a to teatr lub tylko teatrzyk, a to nowe czasopismo, a to jednodniówkę czy alamanach albo też szkołę poetów czy grupę artystyczną.

Andrzej był oczywistym przywódcą głośniejszej i słynniejszej we Wrocławiu grupy artystycznej "Dlaczego nie". Z jej prostym programem nie sposób się było nie zgadzać: Dlaczego nie pić?, Dlaczego nie palić?, Dlaczego nie kochać?,

Dlaczego nie pisać, co kto umie, nie czytać tego, co jest do przeczytania, nie drukować w drukarniach i periodykach, które będą gotowe nas propagować itd.

Andrzej, oczywiście, przygarnął mnie do grupy, ale w tym kręgu on jeden wiedział, że jestem piszący. Inni koledzy na zapleczu szeptali jak gdyby przeciwko Andrzejowi, że przekształca grupę artystyczną w Polski Związek Niewidomych. To było wiosną roku 1957.

Pierwszy mój wieczór autorski odbył się w sali OBOR, gdzieś na Podwalu.

Był to już chyba listopad 57 roku. Koledzy z grupy przekonali się, że Andrzej nie tylko z uwagi na naszą przyjaźń przyjął mnie do grupy, ale że prezentuję zadowalający ich poziom i własne postawy, przekonania i wartości artystyczne.

Zabawną satysfakcję stanowiło dla mnie takie oto wydarzenie. Po skończonym wieczorze, gdy piliśmy naszego ulubionego grzańca (wino podgrzane z przyprawami korzennymi), kolega Jan zaproponował mi całkiem serio odkupienie ode mnie kilku wspaniałych, jak twierdził, metafor.

Za każdą stawiał setkę gorzałki. Ponieważ oferta była serio, serio nie zgodziłem się, a szkoda. Czytane przeze mnie teksty nie zostały nigdy i nigdzie opublikowane, nawet nie doczekały się maszynopisu. W postaci brajlowskiego brudnopisu poszły pod piec, a ja stawiałem Janowi wódkę na pewno częściej niż on mnie. W każdym razie już po tym pierwszym występie zostałem zauważony wśród kolegów, następnie w szerszych kręgach, no i u dziewczyn, które towarzyszyły poetom. Niestety! Nie poprawiłem sobie opinii u pani Haneczki. Ona już dawno odstała od literatów. Po tym wieczorze przyszły inne. Niektóre odbywały się razem z Andrzejem. On pięknym barytonem recytował swoje porywające wiersze, bardzo melodyjne, z intrygującym rytmem, z wyszukаныmi rymami i asonansami, a nade wszystko ze zwalającą z nóg pointą, której wyrazistość i siła obrazu przenosiła, nie ma się tu co mądrzyć, jakąś część kochanego smutku, który po trosze mieszkał w nas, a trochę w modzie, na jakiś nurt egzystencjalizmu.

Nie przynosiliśmy z Andrzejem wstydu środowisku niewidomych, a myślę, że nawet przeciwnie. Na te zebrania przychodzili uczniowie starszych klas liceów, koledzy studenci, pracownicy naukowcy z instytutu filologii, nawet parę razy zauważono naszego ulubionego profesora^{-*}-11. Przychodzili ludzie bliżej nam nieznanymi i oczywiście powtarzające się grono emerytów. Potem organizowaliśmy długie, nocne czytania: powieści, esejów, wierszy i poematów, dysertacji - tych z teorii literatury i z filozofii, czytaliśmy wszystko, jak leci, bo po okresie socrealistycznej jednostronności wyrzucono nas na jasne słońce dostępności do różnych form, więc czytaliśmy pojeni grzańcem, albo i bez, z kawą i herbatą, ale z dużą ilością papierosów, bo cisza, noc i papieros to sojusznicy poetów takich jak my. A potem, zmęczeni dysputą, kiedy zjawiał się poranek przejrzysty pogodą i śpiewaniem ptaków,

wychodziliśmy na miasto poszukać innej kompanii, aby w gronie jeszcze szerszym niż teraz poszukać Grzańca, Rozmowy, Przyjaźni.

Tak wówczas żyliśmy i nikt tego nie zapisał, nie uwiecznił, tej atmosfery, a tu minęło już prawie czterdzieści lat, kilku z nas odeszło już tak daleko, że niczyje wołanie nie może ich przywrócić. Ale czas ucieka, a moim zadaniem bieżącym jest wszak opisanie, „dlaczego nie zostałem pisarzem” i w dodatku mam zmieścić się w ramach małej formy.

Przeto do rzeczy!

Rozdział VI

Już po raz kolejny zaczynam ten rozdział i nie mogę sformułować kawałków prawdy, którą chcę przekazać. Chcę mianowicie opowiedzieć o trzech moich potrzebach: po pierwsze - potrzebie odosobnienia, po drugie - potrzebie natchnienia, po trzecie - potrzebie niezapisywania.

A więc po pierwsze: do pisania potrzebowałem odosobnienia i z tym nie miałem trudności. Mieszkałem wtedy na Osobowicach, dzielnicy odległej od miasta i odwiedzały mnie co najwyżej jaskółki rano, a wieczorami zapachy maciejki, ćmy, nietoperze i komary.

Po drugie: potrzebowałem natchnienia. Na natchnienie się nie czeka. Jego się pragnie, a ono rozrasta się w nas jak nadonioślejsze uczucia, jak pycha! zazdrość! i poryw kochania! i wyraża się ono w narastającym pobudzaniu organizmu jak rozszerzanie się ognia i napinanie cięciwy, a skutkiem tych płomieni i napięć staje się wzbieranie słów gdzieś w ciemnościach gardła-przełyku i koncentracja myślo-obrazów w takich miejscach człowieka, że ani ich nazwać, ani odnaleźć, bo jest jak gdyby w mózgu i poza nim, i jest to w zaciskaniu się mięśnia sercowego, ale też i nie w sercu, to dźwiga się od wyłobień stóp aż do wrażliwości końcówek włosów - tak sobie przypominam pragnienie i przeżywanie stanu natchnienia.

A potem wynik natchnienia trzeba było zapisać, bo nawet największe dzieło, jeśli nie spełnione, to społecznie nieużyteczne, a jeśli dzieło jest społecznie nieużyteczne, to go po prostu nie ma. Więc żeby mogło przecież powstać to dzieło, bierzemy przybory do pisania i kończy się ten luby stan pobudzenia i inspiracji. Całość, która nie daje się nazwać cała i od razu zaczyna się rozpadać, rozłazić, rozmazywać, fragmento-zdanie-obrazy poszukują dla siebie lepszych i najlepszych miejsc, a to, co przed chwilą było tak jasne, wyraźne, oczywiste, zaczyna się gmatwać. Wszak każdą myśl można zapisać na tysiące sposobów, lecz tylko jeden z nich jest najdoskonalszy. Który???

Oświadczam, że! Kawałkowanie wizji, nazywanie kawałków i fabrykowanie łączników jest przeokropną częścią procesu twórczego, zamianą marzeń na cierpienie, zamianą swobodnego przepływu na warsztatowe montowanie ogniów, rezygnacją z tego, co boskie, na rzecz komunikowania się z drugą istotą ludzką. A jeśli u kresu tej drogi nie ma odbiorcy ani tych marzeń, ani tego cierpienia? Jeżeli tam, u kresu, jest jeno kosmiczna, czarna dziura, która jest brakiem rozumiejącej drugiej istoty ludzkiej, ale której siła przyciąga tak mocno, że aż na śmierć... to co???

Rozdział Vii

Oczekiwałem od moich utworów, że zawiadomią ludzkość o następujących fenomenach:

1. Jeżeli kawałek skromnej blaszki, zamieniony w membranę głośnika, potrafi odezwać się symfoniemi Beethovena i chórami Haendla, oznacza to, że w każdym zjawisku świata ukryty jest cały świat. Budulcem naszej rzeczywistości jest określony zasób jakości takich, jak: czerwień, słodkość, twardość, gładkość i barwność dźwięków, a zbudowane z tych jakości rzeczy i zjawiska różnią się między sobą ich zagęszczeniem i układem.

Mój bohater, Davison, miał być twórcą substancjalizmu, bo chciał głosić, że na końcu poznania materii napotykamy poznanie Ducha, a odejmując rzeczom i zjawiskom tego świata ich własności jakościowe, dotrzemy do istoty tych rzeczy i zjawisk, do substancji, w której te jakości są osadzone.

2. Wierzyłem w Równanie Świata. Jest to taki wzór matematyczny, z którego wynikną wszystkie istotne informacje o czaso-przestrzeni - od centrum wszechświata do Nieskończoności, która dzięki temu odkryciu stanie się poznawalna, a więc skończona, a jeśli sięgnięcie granic poznania jest możliwe w czasie, wątpliwy też staje się mit o wiecznym trwaniu wieczności.

3. Mój przyjaciel Davison - ludzki produkt zniszczony działaniem cywilizacji, posługiwał się aparatem, który był cywilizacyjnym apogeum wynalazczości. Za pomocą Fal Davisona, działających bezpośrednio na całą naszą psychiczność, kazał nam, odłączywszy nas uprzednio od tego wszystkiego, co jest otoczeniem, przeżywać na jawie szczyty rozkoszy i cierpień, zależnie od jego woli czy fantazji, a ostatecznie potężnych jak miłość i śmierć.

4. Wreszcie: lekcje i poglądy nie mogły być wykładane dyskursywną przemową, ale dzianiem się i stawaniem słowa, za którym w ślad podąża stawanie się ciała i faktu.

Takie mi przyświecały intencje. Intencje, to jest zbyt słabo powiedziane.

To były moje absolutne potrzeby, powiem więcej - moje przeznaczenie i los, z których nie byłem w stanie zrezygnować i zrezygnować, chyba że... Chyba że zrezygnować w ogóle z pisania. I zanim całkowita rezygnacja stała się faktem, pisałem nocami dalej i dalej, ciągle od nowa i ciągle nie to.

Skończyłem studia, uzyskałem tzw. absolutorium zamiast pisać pracę dyplomową, zamiast szukać pracy zarobkowej, zamiast martwić się o jutro, zamiast szukać pieniędzy przeciwko głodom i chłodom, zamiast miliona innych poczynań, pisałem teksty, które potem czytałem głośno w gronie trojga czy czworga przyjaciół, na ogół skazonych bakcylem tworzenia jak ja, poszukujących swego znaczenia i przeznaczenia. Nietrudno było mi w tym gronie zasługiwać na przychylność - czasem i słowa zachwytu, mam nadzieję, szczerego. I to mi wystarczyło, żeby znowu odgrodzić się na jakiś czas i budować światy moich upodobań, żeby nie powiedzieć - urojeń. Aż pewnego dnia...

Rozdział VIII

Jedna z moich wielkich przyjaciół - ta sama, która w kilka lat po moim ostatecznym zamknięciu napisała w "Odrze" felieton o pisarzu, który poszukuje krytyka, a parę lat później w tej samej "Odrze" obchodziła piętnastolecie pewnego debiutu, więc ta właśnie osoba rozesłała moje pisanie do różnych rzeczoznawców, żeby orzekli...

Chciała w ten sposób zachęcić mnie do dalszych wysiłków wierząc, że doczekamy się pozytywnego oddźwięku.

Nie doczekaliśmy się odpowiedzi, zresztą czego mielibyśmy się doczekać.

Moje idee nie były ciągle dopisane do końca, ciągle nie wyrażone, ciągle we fragmentach.

Przedostatnie moje spotkanie z publicznością odbyło się w 1962 lub 1963 roku w studenckim "Pałacyku" we Wrocławiu¹². Po prezentacji tekstów przez autora, pewna studentka mówiła o ukazaniu niedostępnych przeciętności stanów wewnętrznych, dodając parę słów aprobaty.

Ale mój wypróbowany przyjaciel na takie dictum powiedział, że to nie ukazywanie żadnych stanów, ale ich mazanie i dorzucił jeszcze parę gorzkich uwag.

Inspirowany racjami rzeczzonego przyjaciela wziąłem na warsztat rozmyślań jego refleksje i doszedłem do wniosków następujących:

1. Napisano na świecie miliony bardzo dobrych książek, więc na pewno ludzkość nie zauważy braku moich wynurzeń.

2. Jeżeli moje teksty wywierają jakiegokolwiek wrażenie na odbiorcach, to tylko w powiązaniu z moją osobą. Czytane przez nieznanymi, nie są przez nich zauważane.

3. Jestem człowiekiem za słabo przygotowanym, aby dobrze służyć nurtującym mnie przeświadczeniom ideowym, a poza tym nie umiem moim przemyśleniom nadać takiego kształtu, aby zainteresowały odbiorców.

4. Za dużo czasu i wysiłku wkładam w działania, które przynoszą nieporównanie mały efekt.

Wnioski negatywne można by jeszcze mnożyć, ale wreszcie trzeba wymienić najważniejszy: Dane mi było Chcieć, nie dane Móc, a mówiąc po prostu, nie otrzymałem talentu na miarę tego, co chciałem, co musiałem napisać.

Decyzja o zaniechaniu pisarstwa chyba nie zapadła od razu, ale dojrzewała od momentu, gdy zamilkłem i doznałem ulgi. Teraz, nie kontrolowany przez żadną zewnętrzną, mogłem w bezsenne noce napawać się radością olśnień i wzbierania słów, nie musiałem już pokonywać lenistwa, zrywać się z pościeli, zapisywać, a potem wyrzucać zapisane kartki, ponieważ kolejność doznań, być może, została źle ułożona, być może przegapiłem jakieś słowo czy myśl...

Brajl jest cudownym wynalazkiem, lecz nie nadaje się do dopisywań i skreśleń, więc uwiecznienie każdego dopisku wymaga przepisywania całych fragmentów na nowo.

Potem podjąłem pracę zarobkową i nie stać mnie było na bezsenne noce, potem założyłem rodzinę i nie stać nas było na popołudniową ciszę w domu... potem... nieważne, co potem... Teraz czasami, gdy jestem na urlopie i znowu mam prawo do odrobiny bezsenności, przypominam sobie, że kiedyś umiałem wywoływać w duchu nawałnice natchnienia, i...

Reszta niech będzie milczeniem!

Odnośniki:

1. Boernerowo - dzisiaj Bemowo, dzielnica Warszawy. W czasie wojny do Boernerowa dojeżdżało się tramwajem, a następnie do Lasek szło się piechotą. Droga powrotna była taka sama. Nie trzeba wyjaśniać, że w Laskach mieścił się największy zakład dla dzieci niewidomych, który podczas wojny nie przerwał działalności.

2. Janina Krauze - podczas wojny mieszkała w Laskach. Pewnego pochmurnego wieczoru w 1942 lub 1943 roku została napadnięta przy bramce do zakładu i mocno uderzona tępym narzędziem w głowę.

3. Jerzy Zawieyski - pisarz i myśliciel, częsty gość w Laskach. Zdaje się, że jest pochowany na laskowskim cmentarzu. Autor niniejszej wypowiedzi kilkakrotnie, już poza Laskami, nawiązywał z nim kontakty, zawsze serdeczne.

4. Andrzej - Andrzej Bartyński, wychowanek Lasek, poeta i pieśniarz.

Przyjaciel autora niniejszej pracy od dziecka.

5. "Watykan" - nazwa małego domku w Laskach, zlokalizowanego w zagajniku opodal kaplicy. Na pierwszym piętrze na stałe mieszkał prof. Witold Frieman - kompozytor i pedagog. Podczas wizyt w Laskach Jerzy Zawieyski mieszkał zawsze w "Watykanie" na parterze.

6. ZMP - Związek Młodzieży Polskiej, komunistyczna organizacja młodzieżowa w Polsce z czasów stalinowskich.

7. Wielu było twórców tzw. alegorii w literaturze. Za największego Polaka w tej dziedzinie można uznać Stanisława Lema.

8. Cytat przytoczony z pamięci, więc może być niedosłowny.

9. Andrzej R. - przyjaciel z młodych lat autora.

10. Mowa o Andrzeju Bartyńskim.

11. Profesor ulubiony - nie wymienia się nazwiska, ponieważ nie sprawdzono, czy profesor sobie tego życzy.

12. Ostatni mój wieczór autorski był bardzo sympatyczny, ale zgodziłem się nań tylko dla pieniędzy, których wtedy bardzo potrzebowałem. Za wcześniejsze występy nigdy nie otrzymałem żadnego honorarium, a więc ostatni był pierwszym dla chleba.

Aurelia Stachurka „Jaworzno, dobre miasto”

Wyróżnienie w kategorii wspomnień

Błądząc dziś myślami po swoim życiu, wspominając czasy odległe, coraz mocniej, wyraźniej mam przed oczyma obraz moich pierwszych lat w Jaworznie.

Lecz rzeczywistość ponoć nakazuje: nie odwracaj się, patrz przed siebie.

„Nie jest ważne to, co minęło” - słyszę dzisiaj na każdym kroku. To nowe hasło niesie nam nową rzeczywistość. Wszystko, co może mieć wartość materialną, staje się teraz najważniejsze. Czy aby naprawdę jest?

A ja jednak myślą z uporem wracam do tych lat po okupacji, kiedy sytuacja zmusiła mnie i moją rodzinę, aby tutaj podjąć pracę i egzystować - w trudnych warunkach.

Widzę jak na ekranie. Małeńki przystanek Jaworzno-Azot, rozmielone błoto i kałuże: pozostałość po ulewie. Wysiadłam. Tuż obok fabryka chemiczna „Azot”. Gdy po ulokowaniu się w małeńkim mieszkaniu prywatnym rozpoczęłam smutny żywot „przybłądy” (gdyż tak nazywano ludzi przybyłych z innych stron Polski), starałam się odnaleźć siebie - ja i moja rodzina - w otaczającej mnie rzeczywistości. Chcąc odwrócić uwagę „tubylców”, zrezygnowałam z wygodnych białych kapców zakopiańskich, ze sportowej wiatrówki, gdyż odwracano się od „gorola”.

Dzieci zaczęły uczęszczać do szkoły. Była to stara, dosyć zaniedbana szkoła z ciemnymi salami, mieszcząca się w budynku na Hucie. Pierwsze moje zetknięcie z nią wywołało we mnie pewien wstrząs. Zastanawiało mnie, jak moje dzieci będą przyjęte.

Nie czekałam długo.

Po paru dniach zostałam wezwana przez wychowawczynię, panią Marię Pawlik, która oświadczyła, że nie wie, jak będzie dalej, ale Władzia rozzuchwiała się do tego stopnia, że bije dzieci na przerwie, goniąc je po podwórku szkolnym. Na dowód podała mi pasek skórkowy mojej córki, nabijany sprzączkami góralskimi. Zaniemówiłam. Poprosiłam jednak, by pozwoliła mi w jej obecności zapytać o to córkę.

- Tak, to prawda - zaczęła z płaczem, tuląc się do mnie. - Wszystkie dzieci biegają za mną na przerwie i wołają: „Mikołaj!” Nie przyjdę tutaj więcej. Nigdy, nigdy. Zabierz mnie stąd. Co ja im zrobiłam?

Ponieważ była już zima, córka ubrana była w długi góralski kożuszek zakopański. Czapkę miała też kożuszkową. Wychowawczyni przygarnęła Władzię do siebie, mówiąc:

- Nie wiedziałam o tym. Wszystko dzieciom wytłumaczymy.

I wytłumaczyła, jak przystało na pedagoga. Był to mój pierwszy przyjaciel - i pozostała w mej pamięci po dziś dzień.

Czas płynął. Zaczęłam pracować w tutejszym szpitalu. Szpital Miejski - takie wówczas było jego miano. Po zmarłym doktorze Wiktorze Fedaku dyrektorem został dr Czesław Kalitowski. Pracę miałam bardzo ciężką i odpowiedzialną.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy przejmowałam magazyny żywnościowe szpitala, kiedy otwarto drzwi i długi mroczny korytarz okazał się prawdziwym korytarzem powięziennym, z ciężko okutymi drzwiami (miały wizjery tzw. judasze) i z okratowanymi małeńkimi oknami w celach.

Spojrzałam po ścianach, na których mimo pomalowania można było odczytać wciąż wyraźne dokładne dane personalne tych, którzy byli tu osadzeni podczas okupacji, w latach 1940-1944 i wywiezieni bądź rozstrzelani tu, na miejscu.

W celach, gdzie nie można było całkowicie zatrzeć śladów egzekucji, mieściła się obecnie komora chłodnicza. Czerń tej czeluści przerażała i przemawiała sama za siebie. Na drzwiach w blachach wyryte były nazwiska i wyroki osób skazanych: ludzi młodych, nawet liczących po szesnaście lat.

Tak pozostawili po sobie jedyny ślad dla potomnych.

Byłam wstrząśnięta. Sama przebywałam wcześniej parę lat w więziennym celach. Jako więzień. Czemu los przywiódł mnie tutaj, właśnie tutaj?

Kiedy po pewnym czasie ze względów sanitarnych trzeba było powtórnie zamalować pomieszczenia, młody wówczas lekarz, doktor Marian Kluczycki (składam dziś niski ukłon w jego stronę), spowodował, że zainteresowano się napisami i reporter którejs krakowskiej gazety wykonał zdjęcia, przekazane później jako dokument historykom. Były dowodem rzeczowym męczeństwa Polaków w tym miejscu.

Jak się okazało, Jaworzno ma więcej takich miejsc. Szpital Miejski funkcjonował w dawnym budynku policyjnym. W czasie okupacji miała tu siedzibę policja niemiecka.

W Szpitalu Miejskim w Jaworznie pracowali ludzie z różnych stron. Z różnych województw, nie tylko z ówczesnego krakowskiego. I wytworzyła się tu pomiędzy pracownikami atmosfera przyjaźni, koleżeńskości. Ogarniała wszystkich: personel wyższy, średni, niższy.

Uposażenia służba zdrowia miała najskromniejsze, ale pomagaliśmy sobie nawzajem. Prężnie działała kasa zapomogowo-pożyczkowa. Korzystając z własnej fundacji związkowej, wyjeżdżaliśmy bardzo często do teatru, operetki, na koncerty. Do Chorzowa i Katowic, do Krakowa też. Różnice pochodzenia regionalnego nas nie dzieliły; nikt nie czuł się przybłądą.

Wspólnie obchodziliśmy rozmaite uroczyste daty, jubileusze. Komu dopisywał talent literacki, ten układał wiersze, nawet dłuższe poematy. Recytowało się je, utrwalano na magnetofonie. Czuliśmy się sobie najbliżsi.

Z uśmiechem wspominam naszego "kierowcę", typowego furmana. Nie mieliśmy samochodu, wszystko, co potrzebne do funkcjonowania szpitala, przywoziliśmy furmanką. Nasz woźnica był niezwykle pomysłowy. Nieraz słyszałam:

- Nie mogę jechać, koń zgubił podkowę.

Dziwiło mnie, czemu ciągle odpada podkowa z prawej przedniej nogi. Aż wykryłam fortel. Podkowa była na śrubki, odkręcana.

Lubiłam swoją pracę. Pozwolę sobie przypomnieć tu siostry zakonne, pracujące wówczas w szpitalu: siostra Alodia prowadziła oddział dziecięcy, siostra Faustyna była instrumentariuszką, siostra Ludwika laborantką.

Na pierwszym piętrze mieściła się mała kaplica szpitalna z fisharmonią, na której w czasie Mszy świętej grał jeden z ordynatorów szpitala. Ksiądz dziekan dr Stefan Kowalczyk często odprawiał Msze święte dla chorych.

W latach siedemdziesiątych oddano nowy gmach szpitalny przy ulicy Chełmońskiego. Przewoziliśmy, co było przydatne do użycia, ze starego szpitala do nowej placówki. Mnie i naszemu kierowcy Marianowi w udziale przypadł zaszczyt przewiezienia urządzeń kaplicy. Była późna pora wieczorna. Kiedy podjechaliśmy do budynku szpitala, okazało się, ku naszemu zdumieniu, że na kaplicę nie ma tam lokum. Zjawił się właściwy pracownik administracyjny i zapytał:

- Z czyjego polecenia przywieźliście te rzeczy?

Kierowca spojrzał na mnie, potem na administracyjnego, wzruszył ramionami, a kiedy tamten odwrócił się w moją stronę, kierowca wymownie położył palce na ustach. Myśl przemknęła mi błyskawicznie. Odpowiedziałam, zresztą zgodnie z prawdą:

- Przez dwadzieścia lat inwentaryzowałam majątek trwały szpitala. Proszę spojrzeć - odwróciłam obraz z wizerunkiem Matki Boskiej - tu na ramie jest numer inwentarzowy z metryką szpitala. Wszystkie te rzeczy mają swój numer inwentaryzacyjny i nic nie może zginąć.

Przekonałam go. Nic nie zginęło, lecz ku mojemu zmartwieniu ulokowaliśmy wszystkie dobytek naszego małego sanktuarium na parę lat do schowka przy magazynie żywnościowym. I dopiero po latach trafił na właściwe miejsce.

Kolejnym dyrektorem szpitala był doktor Bolesław Spisek. Okazał się również dyrektorem zacnym i ceniono go. W czasie okupacji jako stażysta chirurg pracował w jednym z krakowskich szpitali (Bonifratrów czy Łazarza - dziś nie pamiętam dokładnie). Uczestniczył w akcjach wymiany więźniów.

Między innymi ksiądz Józef Kochan, wikary z Rabki, tak został ocalony:

Niemcy odbierali zwłoki zmarłych w szpitalu pacjentów zamiast pozostawionych tam chorych więźniów; w ten sposób ratowano więźniów przed śmiercią.

Doktora Spisaka wspominam zawsze ze wzruszeniem. Wiedział, że byłam karana, że kilka lat spędziłam w więzieniu. We wszystkich trudnych sprawach zawodowych pomagał mi. Był dobry.

O moich więziennych losach, których konsekwencją był przyjazd do Jaworzna, nie opowiadałam nikomu. Chciałam zapomnieć - choć wiedziałam, że tego się nie zapomina. A i teraz, kiedy minęło już pół wieku od tych trudnych lat, pamiętam dokładnie dni i noce spędzone w więzieniu Polski Ludowej.

Był styczeń 1947 roku. Mieszkałam w Chabówce. Mąż był w delegacji. Ktoś zapukał do okna. Zobaczyłam dwóch młodych zakrwawionych ludzi. Ranni, półprzytomni ze zmęczenia i z upływu krwi oczekiwali ode mnie pomocy.

Widząc moje niezdecydowanie, tłumaczyli się, że nie są bandytami. Należeli do AK. Ujawnili się, a potem uciekli, gdyż dowiedzieli się, że mają być rozstrzelani. Od Myślenic szedł za nimi pościg. W razie nieudzielenia im pomocy będą musieli popełnić samobójstwo.

Pomogłam. Bałam się. Miałam maleńką córeczkę, spodziewałam się drugiego dziecka.

Po kilku miesiącach - już zdrowi - opuścili Chabówkę. Jeden z nich miał na imię Kajetan.

W maju urodziłam drugie dziecko, w październiku zostałam aresztowana.

Zawieziono mnie do Urzędu Bezpieczeństwa w Rabce; tam bito, przesłuchiowano i wciąż bito. Trwało to dwanaście godzin. Potem więzienie w Nowym Targu.

Przesłuchiwanie, bicie, znów przesłuchiwanie - aż do utraty przytomności.

Wreszcie Kraków. Montelupich. Proces prowadzony przez sędziego Kiełtykę.

Oskarżał prokurator Jaśko. Dostałam pięć lat. Spędziłam te lata w więzieniu w Grudziądzu. Pracowałam w szwalni. Jadłam zupy z polnieckim suszem i robakami. Buntowałam się. Skandowałam wraz z innymi więźniami: Oświęcim, Oświęcim.

Przeżyłam.

Zostawiłam wszystko, przyjechałam do Jaworzna. Wtedy nie wiedziałam, że Jaworzno to miasto obozów, tragedii wielu ludzi. Dla mnie to miasto wolnego oddechu, spokoju, normalności. Polubiłam Jaworzno. I choć dziś mogłabym wrócić do Chabówki, zostanę tu. Nieraz narzekam na zatrute powietrze, na kominowy krajobraz. Ale już wrosłam w to miasto, przeżyłam w nim czterdzieści lat, tu mam rodzinę, tu jest grób mojego męża, tu i ja zostanę, bo to moje miasto.

Krokus

Gasnące źrenice, osłabiony wzrok, skalpel, operacja - szok. Pół roku z białą laską przewodnikiem - szok. Pozostawiona swojemu losowi czuję, że pogrążam się w rozpacz. Ludzie dobrej woli, ludzie z PZN - zjawili się.

Henryka Pleban, też słabo widząca, moja najbliższa serdeczna sąsiadka, wprowadza mnie do koła PZN w Jaworznie.

Jesteśmy razem na turnusie rehabilitacyjnym w Jaszowcu-Ustroniu. Spotykam ludzi niewidomych, którzy, dotknięci kalectwem wzroku, przeżywają równocześnie osobiste

tragedie życiowe. Zdarza się, że żony lub mężowie opuszczają swoich współmałżonków, uważają ich za niepotrzebny balast życiowy. Pierwszy moment zetknięcia się z tak liczną grupą osób niepełnosprawnych był dla mnie chyba jednym z najtrudniejszych doświadczeń życiowych.

Urok przyrody Ustronia odbieram w pierwszej chwili słuchowo. Szmer strumyka, świergot ptasi, wspaniała woń kwiatów, ziół i cisza, cisza, która wpłynęła na mnie kojąco. Serdeczność na co dzień, przeżycia każdego dnia wspólne z zaprzyjaźnionymi wzajemnie uczestnikami turnusu, przeszły moje oczekiwanie. Wracam do normalności. Nasi instruktorzy, których imiona pamiętam po dzień dzisiejszy, uczą nas pisma punktowego brajla i orientacji przestrzennej. Poruszamy się po ścieżkach parkowych, trzymamy się wspólnie pod rękę. Wyrażano się o nas później publicznie, że jesteśmy bardzo szanującymi się ludźmi. Wspólne wycieczki, wieczorki, nawet ogniska z recytacjami własnych utworów poetyckich, piosenkami. Odkrywamy, że w naszej ciemności, szarości dnia widzimy duszę, czujemy psychiką. Zaczynam wierzyć w ludzką przyjaźń, poświęcenie. Wracamy do domu, do Jaworzna. Mogłam załamać się po raz drugi, ale los sprawił, że stało się inaczej.

Zacząłam korzystać z Miejskiej Biblioteki - Filii dla Niewidomych w Jaworznie. Jesteśmy tutaj otoczeni serdeczną opieką przez młodą, skromną bibliotekarkę panią mgr Barbarę Sikorę. Cierpliwość, wybieranie odpowiednich książek mówionych na kasetach dla poszczególnych czytelników sprawia, że gromadzimy się licznie w naszej bibliotece. Atmosfera rodzinna, życzliwość, osobista kultura "naszej Basi", powodują, że tutaj zapominamy o naszej odmienności.

Wielki wkład do mojej twórczości wnosi pani Basia. Od młodych lat rymowałam krótkie wiersze na temat szkolnych przeżyć. Była to wesoła satyra, uszczypliwa dla belfrów i koleżanek. Przywiozłam właśnie z pobytu w Jaszowcu takie rymowanki, i tak się zaczęło. Miejska Biblioteka - Filia dla Niewidomych wydała mi maleńki tomik Cztery wiersze z więzienia. Od pięciu lat szukam zapomnienia pisząc. W chwilach załamań biorę maszynę i stukam.

Myśl odrywa się od rzeczywistości. Wracam do świata młodości, doznań, chwil wzniosłych. Moje wiersze czeka życzliwa ocena mojego bibliotekarza. Mam w dorobku także analizę swojego więziennego wiersza. Książeczka nosi tytuł Świat z wigilijnych wzruszeń. Napisał o moim wierszu profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Zbigniew Siatkowski.

Często zamieszcza moje wiersze prasa lokalna "Co tydzień" „Gwarek”, gazeta samorządowa "Jaworzno 2000". Należę do Polskiego Towarzystwa Czytelniczego, które powstało przy Bibliotece Narodowej. W Jaworznie działa koło tego Towarzystwa.

Dziś nie wyobrażam sobie, abym mogła żyć bez poezji, bez doznań, które ona niesie, pozwalając przetrwać depresję i stresy.

Henryk Szczepański

”Patrzyła na świat muzyka”

I nagroda w kategorii wspomnień

Requiem dla śpiewaczki

Na kilka dni przed tragicznym poniedziałkiem umawiałem się z docent Ireną Lewińską. Mieliśmy mówić o jej pracy artystycznej i pedagogicznej. Była jak zwykle radosna i powściągliwa. Cieszyła się perspektywą opowiadania o muzyce, a nie chciała mówić o sobie. Po długich namowach obiecała opowiedzieć o pierwszym popisie. Była wtedy małą dziewczynką z warkoczami.

Śpiewała na sosnowieckim podwórku, przed domem rodziców. Po latach okazało się, że nie była to dziecinna zabawa, ale pasja determinująca całe jej życie. Potem przyszły wielkie światowe sukcesy, o których sama nie chciała nigdy opowiadać. Rzadko kiedy, dajmy na to, przy wigilijnym stole, pozwalała się zachęcić do wspomnienia krakowskich ”opłatków” u kardynała Karola Wojtyły, a później pewnego serdecznego spotkania na Placu św.

Piotra, gdzie zaśpiewała papieżowi Ave Maria.

Na zakończenie koncertu w paryskiej Sorbonie, mimo owacji, zeszła ze sceny. Nie zauważyła, że przed rampą stoi przystojny mężczyzna z ogromnym koszem kwiatów. Za kulisami zrobiło się zamieszanie. Tym, który chciał jej osobiście pogratulować, był prezydent Charles de Gaulle. Wyszła jeszcze raz.

W starannej francuszczyźnie podziękowała prezydentowi i przeprosiła za swą słabowzroczność.

Już wtedy miała kłopoty z widzeniem. Pogłębiały się z biegiem lat. Były coraz dotkliwszą przeszkodą w wykonywaniu zawodu i w życiu codziennym.

Nigdy jednak nie myślała o tym, aby zrezygnować z pracy pedagogicznej i społecznej. Do ostatnich dni prowadziła lekcje. Młodych śpiewaków przygotowywała do dyplomów i koncertów. Była dla nich nie tylko mistrzem, wskazującym drogę do kunsztu prowadzącego na największe sceny muzyczne świata, ale także osobą im najbliższą i serdecznym przyjacielem. Taki wizerunek zapamiętali jej wychowankowie.

W dzieciństwie oczarowały ją nuty i melodie. Muzyka wypełniała jej świat i taki świat chciała podarować wszystkim ludziom. Robiła to szczególnie urokliwie, z wdziękiem subtelnej czarodziejki. Dzięki niej muzyka stawała się pryzmatem pozwalającym oglądać delikatne przejawy życia i monumentalne wizje egzystencji. Uczyła, że muzyka potrafi zastąpić nie tylko "mędrca szkiełko i oko", ale również serce. Świat i ludzi widzimy oczyma, ale można nań patrzeć także przez soczewkę muzyki.

Do katowickiej siedziby Polskiego Związku Niewidomych, którego członkiem była od 1985 r., przybywała z adeptami wokalistki. Chciała, aby życie inwalidów wzroku było piękniejsze i weselsze. Dzięki niej, co kilka tygodni można było tu posłuchać śpiewu i muzyki w wykonaniu studentów. Zachęcała do muzykowania i nauczała przeżywania muzyki. Było w tym wiele troski, ale i stanowczości, toteż niejeden spośród niewidomych stał się prawdziwym melomanem. Przekonywała, że muzyka łagodzi obyczaje i leczy stesy inwalidów, których życie nie rozpieszcza.

Patronowała po macierzyńsku inicjatywom Klubu Miłośników Sztuki. Dzięki niej spotkania miały domowy charakter. Umiała stworzyć klimat, jaki panuje wśród członków kochającej się i szanującej nawzajem rodziny. Należała do osób o ogromnym uroku osobistym. Miała w sobie tak wiele życzliwości, że każdy, kto z nią przebywał, stawał się miłszy dla otoczenia. Ona nadawała ton spotkaniom. Podpowiadała, w co się bawić w kręgu ludzi kulturalnych.

Już od kolebki

Urodziła się w Sosnowcu, w parafii Wniebowzięcia NMP, słynącej z pięknych tradycji i wspaniałych talentów śpiewaczych. Pochodziła z rodziny pielęgnującej najlepsze zwyczaje katolickie i patriotyczne. W domu państwa Lewińskich, przy ulicy Pańskiej, zawsze znajdował się jakiś instrument, a ojciec Ireny, Aleksander, śpiewał imponującym basem. Robił to z ogromnym upodobaniem. Choć był amatorem, występował w filharmonii. Nic dziwnego, że już jako gimnazjalistka pani Żabkiewiczowej była wybierana spośród innych do śpiewania na szkolnych uroczystościach. Sama zresztą garnęła się do występów publicznych i wielu rówieśników pamięta jeszcze tę drobną dziewczynkę w szarym mundurku szkolnym i plisowanej spódniczce, śpiewającą Zagłębie tuż przed rozpoczęciem poranku filmowego dla dzieci. Przed wojną była jedną z pierwszych wokalistek ówczesnej rozgłośni radiowej w Sosnowcu.

W żeńskim gimnazjum przy ulicy Dęblińskiej otrzymała świadectwo dojrzałości.

Pragnienie doskonałości

Studiowała w Śląskim Konserwatorium Muzycznym w Katowicach i tu w roku 1939 zdobyła dyplom. Brała lekcje u profesor Marii Gajkowej. Mimo okupacji kontynuowała studia. Od 1940 roku była uczennicą profesora Bronisława Romaniszyna w Krakowie. Przypomnijmy, że jest on wychowankiem Jana Reszkego, polskiej legendy światowej wokalistki.

W czasie wojny podejmuje pracę na poczcie i w ten sposób unika wywiezienia do Niemiec, a także przymusowej pracy w fabryce konserw. Wraz z rodziną zamieszkuje przy ul. Kazimierza Wielkiego 142. Studiuje w konspiracji i bierze udział w wielu tajnych recitalach oraz koncertach organizowanych w domach i salonach patriotycznie nastrojonej inteligencji krakowskiej. Występuje w kościołach w nowo otwartym Domu Plastyków, a regularnie śpiewa każdej niedzieli w kościele Mariackim wraz z chórem pod kierunkiem Stefana Profica, wieloletniego dyrygenta chóru od Najświętszej Marii Panny i niestrudzonego organizatora życia muzycznego w kościołach i polskich towarzystwach śpiewaczych Krakowa w czasie okupacji. W chórze śpiewał także jej ojciec. Tutaj wielokrotnie wykonywała Modlitwę z Mocy przeznaczenia Giuseppe Verdiego. Udział w "koncertach mariackich", w których śpiewała najważniejsze partie solowe, był dla krakowskich patriotów okazją do zmanifestowania polskości i podkreślenia swej niezależności kulturowej.

Historyczny sukces

Na Międzynarodowym Konkursie Muzycznym w Genwie w roku 1947 Irena Lewińska otrzymuje najwyższą nagrodę, a także nagrody Instytutu im.

Ignacego Paderewskiego oraz laury Comite des Intellectuels. W historii muzyki narodowej jest to pierwszy, po zakończeniu wojny, polski sukces artystyczny na skalę światową. W genewskim konkursie brali także udział, z mniejszym powodzeniem, Wanda Wiłkomirska, Krystyna Szczepańska i Władysław Kędra.

Dążenie do ideału

W 1949 roku rozstaje się ze swym krakowskim mistrzem i pogłębia studia w Konserwatorium Paryskim. Pracuje pod kierunkiem Ch. Panzera, M. Freunda i J. Pendeltona.

W paryskiej uczelni jest ilustratorką utworów Jana Sebasiana Bacha. Doskonali się w wykonywaniu pieśni impresjonistów francuskich, romantyków niemieckich oraz oratoriów bachowskich. Jej śpiew jest prezentowany studentom jako wzór kunsztu wokalnego.

Fascynujący sopran

W okresie powojennym jest czołową solistką filharmonii krakowskiej i katowickiej. Występuje na scenach i estradach muzycznej Warszawy, Poznania, Wrocławia, Częstochowy i wielu innych miast kraju. Zdobywa sławę cenionego i popularnego wykonawcy dzieł: G. F. Händla, J. S. Bacha, J. F. Rameau, W.

A. Mozarta, F. Schuberta, R. Schumanna, J. Brahmsa, C. Debussy'ego, B.

Brittena i K. Szymanowskiego. Już od czasów studenckich występuje jako solistka w recitalach, koncertach symfonicznych i oratoryjnych oraz radiowych.

Była jedną z najwybitniejszych przedstawicielek wokalistyki estradowej.

Śpiewała z orkiestrami, którymi dyrygowali: Stanisław Skrowaczewski, Henryk Czyż, Jan Krenz, Witold Rowicki i Grzegorz Fitelberg. Występowała w towarzystwie: Haliny Czerny-Stefańskiej, Klary Langer-Daneckiej, Wandy Wiłkomirskiej, Zbigniewa Drzewieckiego i Andrzeja Jasińskiego.

Akompaniowali jej między innymi: Jadwiga Szamotulska, Sergiusz Nadgryzowski i Henry Poulec, z którym przyjaźniła się w okresie paryskim. Koncertowała w wielu miastach Francji, a także programach radia francuskiego, szwajcarskiego i czeskiego. W dorobku artystycznym utalentowanej pieśniarki znajdują się liczne nagrania, głównie pieśni Karola Szymanowskiego.

Pochlebne recenzje na temat jej dokonań twórczych podpisywali najbardziej surowi i wymagający krytycy: Stefania Łobaczewska, Jan Weber, Bogdan Pociąg, Konstanty Regamey, Adolf Chybiński, Jerzy Waldorff, Stefan Kisielewski i Lucjan Kydryński. Współpracowała z muzykologiem Karolem Stromengerem.

Kardynalskie opłatki

Wśród uczniów Bronisława Romaniszyna byli między innymi: Iza Wicińska, śpiewaczka, malarka, aktorka i jej późniejszy mąż Franciszek Delekta. Z Ireną Lewińską łączyła ich długoletnia przyjaźń. Właśnie w tym domu, na jakimś noworocznym spotkaniu, miała okazję poznać osobiście kardynała Karola Wojtyłę. Potem, każdego roku podczas

opłatkowych spotkań metropolity z artystami krakowskimi, odbywającymi się w pałacu biskupim, była obecna i zawsze śpiewała. Trudno byłoby opisać wzruszenie, jakie musiało jej towarzyszyć, gdy po latach znalazła się na Placu św. Piotra, na kilka dni po zamachu na papieża. Wtedy po raz ostatni zaśpiewała papieżowi Ave Maria.

Słuchał jej śpiewu, gdy walczył o życie w klinice Gemelli.

Mistrz i przyjaciel młodzieży

Pracę pedagogiczną rozpoczęła w Liceum Muzycznym w Katowicach, a od 1954 roku aż do ostatnich dni była wykładowcą śpiewu solowego w katowickiej Akademii Muzycznej. W latach 1967- 1969 pełniła obowiązki dziekana wydziału wokalnego tej uczelni. Cieszyła się autorytetem wytrawnego znawcy pieśni francuskiej i prowadziła seminaria z tego zakresu. Uczniowie zapamiętali ją jako człowieka szczególnej łagodności i dobroci, o wyjątkowej kulturze osobistej.

Narodziła się po to, aby być z innymi

Zawsze była wrażliwa na krzywdę, ludzkie słabości i ubóstwo. Pomagała każdemu, jak mogła. W ostatnich latach pełniła funkcję honorowego prezesa Klubu Miłośników Sztuki, spotykającego się w siedzibie Polskiego Związku Niewidomych w Katowicach. Marzyła o tym, aby życie inwalidów wzroku było piękniejsze i weselsze. Ich także nauczyła kochać muzykę. Wiedziała, że jest to najskuteczniejszy lek na stresy i trudności życia codziennego. Ten wspaniały skarb pozostawiła im w podarunku.

Żegnając ją, na świeżo usypanej mogile złożyli wiązanek kwiatów z dedykacją: "Narodziła się po to, aby żyć z innymi".

Nauczycielka gwiazd

Na scenach muzycznych świata i kraju śpiewają jej uczennice: Urszula Koszut-Okruta, solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, wykonawczynie pierwszoplanowych partii na wielu scenach operowych Niemiec i Europy, a także sławna na całym świecie Krystyna Zaremba, zdobywczyni medalu na Międzynarodowym Konkursie Wokalnym im. Marii Callas w Atenach.

Pożegnanie

We wtorek, 2 czerwca 1992 roku, w Krakowie, na cmentarzu Rakowickim odbyły się uroczystości pogrzebowe. Wielka artystka została pochowana w grobie rodziny Lewińskich, nieopodal grobowca Matejków. Koncelebrowaną Mszę świętą odprawili księża: prałat Józef Janson, Marian Skoczowski i Zbigniew Maciej Lewiński. Podczas Mszy świętej, śpiewały studentki: Sabina Olbrich, Aleksandra Stokłosa i Maria Zientek, ostatnia dyplomantka zmarłej nauczycielki. W pogrzebie uczestniczyli artyści i pedagodzy: profesorowie Michalina Growiec, Andrzej Jasiński i Jan Wincenty Hawel, rektor Katowickiej Akademii oraz Halina Czerny-Stefańska, Maria Vardi-Morbisarzowa i Henryk Woźnica. W imieniu środowiska akademickiego i artystycznego pożegnał zmarłą Jan Wincenty Hawel. Powiedział między innymi: "Jej życie wypełniała muzyka. Ona nadawała mu sens. W sposób fascynujący prowadziła lekcje śpiewu, a swoją wiedzą i wielkim doświadczeniem gotowa była dzielić się z każdym, komu nieobojętne były tajniki Polihymnii. Udało jej się zachować do ostatnich dni ten stan ducha, który określa się mianem wiecznej młodości. Reagowała na świat wrażliwą ciekawością i czujnym oczekiwaniem na moment, który stanie się rewelacją artystyczną i objawieniem młodego talentu. Taką rewelacją byli jej studenci i ich osiągnięcia".

W środę, 3 czerwca 1992 roku została odprawiona kolejna Msza święta w intencji Ireny Lewińskiej, w katolickiej katedrze Chrystusa Króla.

Uroczystości żałobne zakończyły się 23 czerwca sprawowaniem Mszy świętej w sosnowieckim kościele katedralnym pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP. Ta parafia jest bowiem miejscem urodzenia artystki.

Stefan Tuszer „Tryptyk z mojego życia”

Wyróżnienie w kategorii wspomnień

Krok po kroku

Już od najmłodszych lat interesowało mnie wszystko, byłem ciekaw i pochłaniałem każdą książkę. Każdą wolną chwilę poświęcałem na lekturę.

Przed moimi oczyma malowały się obrazy dalekich i nieznanych krajów.

Bohaterzy książek stawali się moimi bliskimi przyjaciółmi. Z dnia na dzień grubiały moje notatki: "Myśli złote, srebrne i..."", najciekawsze, oczywiście moim zdaniem, warte utrwalenia.

Nauka nie sprawiała mi większych kłopotów, toteż po ukończeniu szkoły podstawowej i Technikum Rolniczego bez wstępnych egzaminów rozpocząłem studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie. Moje marzenia przybierały coraz realniejszy kształt, stawały się z każdą chwilą rzeczywistością.

Wydawało mi się, że już je osiągnąłem, wystarczy tylko wyciągnąć rękę, ale tu nagle spada na mnie tragedia, bo moje oczy zaatakowała jaskra. Co wtedy przeżywałem, jak trudno było mi się pogodzić z okrutnym wyrokiem, który sprawił, że marzenia prysły jak bańka mydlana... Co wtedy ze mną się działo, to teraz trudno nawet opowiedzieć. Z nauki musiałem zrezygnować i powróciłem do domu. Jednak nie mogłem siedzieć spokojnie, trzeba było się rozejrzeć za jakąś pracą, by zarobić na własne utrzymanie, by nie być ciężarem dla matki. Mimo choroby, a nie zwracałem na nią większej uwagi, z całą energią rzuciłem się w wir codziennych zajęć zawodowych i społecznych, które tak bardzo w moim życiu zazębiają się, a właściwie tworzą nierozzerwalną całość. Praca przynosiła mi sporo zadowolenia, jednak choroba dawała się coraz bardziej we znaki, za każdym razem ze zdwojoną siłą, coraz boleśniej. Każdy dzień oznaczał nowe bolesne rany, z trudem godziłem się z losem. Różne myśli przychodziły mi do głowy, jedne akceptowałem, a inne z konieczności musiałem odrzucać, bo wydawały się zupełnie nie odpowiadać potrzebom chwili. Po głębszym zastanowieniu się, warte były tyle, co śmieć w kubie. I wreszcie nadszedł dzień, w którym przestałem czytać i pisać normalnym drukiem. To była największa tragedia życiowa; zupełnie mnie obezwładniła, wytrąciła wszelką broń z ręki, ale czy do końca?

Teraz moja siła psychiczna z dnia na dzień rosla, stawałem się coraz bardziej odporny na stresy i umacniałem się w przekonaniu, że muszę powrócić do normalnego życia i wypełnić je czymś pożytecznym. Ale czym?

Pytanie nie było tylko retoryczne. Na przemian, to zdawałem sobie sprawę, że życie bez konkretnego działania nie jest nic warte, to że, i tak nie będę mógł w pełni żyć. Stąd też wahania trwały dość długo. Wreszcie postanowiłem służyć innym. Wykorzystując moje umiejętności, na każdym kroku będę pomagać inwalidom, a nawet osobom pełnosprawnym. A że umiejętności mam wszechstronne, toteż i służba będzie w dość szerokim zakresie.

By wszystkiemu podołać, musiałem nauczyć się brajla. Jednak od decyzji do realizacji droga jest strasznie daleka, wymaga wysiłku, hartu, a przede wszystkim nauki. Nie jest to

wcale proste, kiedy ma się już te 31 lat. W końcu zdecydowałem się podyktować najmłodszej siostrze list do Zarządu Okręgu Polskiego Związku Niewidomych, z prośbą o pomoc.

- Nie ma nic do mnie? - zapytałem listonosza po kilku dniach, kiedy przechodził przez podwórko.

- Dziś nie ma.

Myśl, że powinna nadejść odpowiedź, nie dawała mi spokoju. Co tam w Okręgu myślą o mnie, że pragnę uczyć się pisma dla niewidomych. Mieszkając na wsi, nie miałem do tej pory żadnego kontaktu z inwalidami wzroku; jak sobie poradzę z tą nauką. Mimo wszystko krok po kroku zmierzałem do celu.

Po dwóch tygodniach otrzymałem pokaźną przesyłkę.

- Dziś możesz pójść na pocztę po odbiór paczki - powiedział do mnie listonosz. - Jest dość pokaźna.

- Dziękuję za wiadomość. - Serce jakoś mocniej dało znać o sobie."Czy naprawdę mogę się stać na nowo pełnowartościowym człowiekiem? Czy znów świat będzie dla mnie otwarty? A może to są tylko ułudki? Co się za tym wszystkim kryje?

- Dzień dobry - powiedziałem na powitanie, wchodząc do urzędu pocztowego.

- Dzień dobry! - odrzekł znajomy szef urzędu. - Jest przesyłka dla ciebie. Nawet pokaźna. Zaraz ci ją podam. - Po chwili odsunął okienko i postawił przede mną paczkę.

- A teraz pokwituj odbiór. O, tutaj - wskazał miejsce na podpis.

Urząd pocztowy znajdował się po drugiej stronie jezdni i bez większych trudności trafiłem tam. Teraz z paczką szybko powróciłem do domu. Moja ciekawość nie знаła granic. Zawartość stanowiła wielką tajemnicę, którą za chwilę miałem rozszyfrować.

Zabrałem się do rozpakowania, by dostać się do wnętrza. Paczka była dobrze zabezpieczona przed uszkodzeniami. Wreszcie "Sezam" otworzył się i przede mną zawirował świat. W domu nie było nikogo. Czuję się spokojny, nikt mnie nie obserwował. Do tej pory nie miałem w ręku takiej książki, jaką wyjąłem z paczki. Zastanawiał mnie jej duży format, grube kartki. Gdy dokładniej się przyjrzałem, pod palcami odczułem jakby rozsypaną kaszę czy ziarenka maku."Co to znaczy? Jak można to czytać? Czy można się tego nauczyć? Czy ja to potrafię? Tyle tu tajemnic i zagadek, które mam teraz rozszyfrować? Czy to nie będzie za wiele? A może wszystko wyrzucić do kąta, może to zbędne? Nie! Muszę znaleźć tyle siły, wziąć się w karby i ujarzmić.

Nagle poczułem krople łez, ściekających mi po policzkach i zrobiło mi się obco, jakby moje serce było rozrywane na dwoje. Czy to nie za wiele jak na dzisiejszy dzień?

Nagle usłyszałem zgrzyt zamykanych drzwi do domu. Zapewne wróciła mama z zakupami.

- Co tam dostałeś? - zapytała, wchodząc do pokoju. - To są te moje skarby - odrzekłem, pokazując książkę.

- Tak, teraz rozumiem, co cię czeka - odczuła moje załamanie w głosie i opuściła pokój.

„Chłopie, weź się w garść. Nie pokazuj, co się z tobą dzieje, gdyż już nie wypada, przecież jesteś dorosły. Opanuj się!”

Rozpakowałem paczkę do końca i ułożyłem jej zawartość na ławie przy piecu. Na wyjaśnienie tajemnicy musiałem poczekać aż najmłodsza siostra wróci ze szkoły. Wtedy wszystko przestanie być dla mnie czarną magią.

Jednak nie dałem za wygraną, znów podszedłem do stosu książek i wtedy odkryłem coś, co mnie zainteresowało. Znajdowała się tu jakaś blaszana tabliczka i szydełko. Długo stałem i trzymałem je w rękę, pragnąc rozszyfrować jego przeznaczenie.

- Co to takiego? - zapytała siostra, wchodząc do pokoju i widząc stos książek.

- To wszystko dostałem dziś w paczce z Okręgu PZN. Czekam na ciebie, żebyś zobaczyła te tajemnice.

- Poczekaj trochę, tylko zjem i zaraz wrócę do ciebie.

Znów byłem sam z myślami. „Czy naprawdę jestem w stanie opanować to pismo? Przecież nie mam zielonego o nim pojęcia? Czy w domu będę mógł się go nauczyć bez pomocy, jest takie trudne, takie niedostępne. A może siostra znajdzie jakieś wyjście, może zastąpi nauczyciela? A może mi się tylko wydaje, że to pismo jest tak strasznie trudne do opanowania i wcale diabeł nie taki straszny, jak go malują. Dlatego muszę się wziąć w karby, rozpocząć naukę jako samouk.”

- A więc, braciszku, do roboty - podkreśliła stanowczym tonem siostra, wchodząc do pokoju. - Co tu mamy? Tu masz Drogę do książki Jadwigi Koprowskiej i Haliny Banaś. To podręcznik do nauki pisma punktowego dla dorosłych inwalidów wzroku. A tu jest jego wierna kopia, ale w druku zwykłym, pomocna dla osoby, która ułatwi niewidomemu naukę. To z kolei „Pochodnia”, organ prasowy Polskiego Związku Niewidomych. Taki sam ma kształt czasopismo „Nasz Świat”, miesięcznik społeczno-literacki. Nie zabrakło również innych książek pisanych brajlem: Stary sługa Henryka Sienkiewicza i Róża Elizy Orzeszkowej. Teraz zobacz sobie tabliczkę do pisania i szydełko. Jest też sporo papieru, zapewne na nim pisze się w tej tabliczce. Już wiesz, jakie skarby posiadasz.

- Dziękuję ci za pomoc, za zrobienie pierwszego kroku w drodze do poznania pisma niewidomych.

- A może przystąpilibyśmy do pierwszej lekcji? - zapytała siostra.

- Jestem gotów spróbować swoich sił - potwierdziłem. W duszy czekałem na taką propozycję, byłem ogromnie ciekaw tego pisma. Jeśli ona mi proponuje naukę, jakaż inna mogłaby być odpowiedź.

- Znalazłam pierwszą lekcję w podręczniku. O, tu, zobacz sobie te wypukłe litery. To jest "a", czyli pierwszy z prawej strony punkt sześciopunkta.

Wskazała mi miejsce litery "a" po lewej stronie u góry stronicy.

Próbowałem palcem wskazującym lewej ręki odczytać literę, ale pierwsza próba wypadła niepomyślnie. Jeszcze raz podjąłem ćwiczenie, tym razem tajemnica prysła jak bańka mydlana. Odczytałem brajlowską literę "a". Za tą próbą poszła następna. Jak ogromna była moja radość, gdy po pierwszej lekcji poznałem zasadę pisma, już wiedziałem, na czym polega jego tajemnica. Kiedy poznałem pierwsze litery: a, k, l, s i odczytałem wyrazy z nich utworzone, zrozumiałem, że jego opanowanie to tylko kwestia czasu.

- Widzę, że ci to sprawnie idzie. Pewnie już niedługo będziesz na nowo czytał te swoje ulubione książki.

- Dziękuję za tak optymistyczną wizję, ale czeka mnie jeszcze sporo roboty do pełnej satysfakcji. Ta lekcja była pierwszym krokiem, a ile jeszcze będę musiał ich wykonać, tego obydwójce nie wiemy.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Najpierw przed moimi oczyma rysowały się dalekie podróże, które zakodowała pamięć z przeczytanych książek, a potem uczestnictwo w... międzynarodowych spotkaniach. Wreszcie, gdy nadszedł sen, śniły mi się dalekie wyprawy, do Włoch czy Holandii. Kiedy się obudziłem, na próżno usiłowałem odnaleźć sen. Ale skoro już się obudziłem, przystąpiłem do dalszej nauki. I próba powiodła się bez większych trudności. Zdecydowałem, że codziennie będę przerabiał jedną lekcję, którą również będę przepisywał na tabliczce, by nabrać wprawy w pisaniu.

- Jak ci dziś poszło - zapytała siostrzyczka po powrocie ze szkoły.

- Wiesz, że nawet dobrze. To mój kolejny krok. Zobacz, co już potrafię.

- Zaslugujesz na pozytywną ocenę. Nie zmarnowałeś czasu.

Dziś już zasnąłem szybciej i bez przygód. Tylko rano jakoś szybciej mnie zaskoczył. Jeszcze przez dłuższą chwilę leżałem w łóżku, myśląc o wczorajszej lekcji i poznanych literach, ciekaw, jakie dziś poznam.

- Widzę, że jakoś sobie radzisz z tym pismem - powiedziała mama, kiedy przyszedłem na śniadanie. - A wiesz, że zupełnie zmieniłeś się na twarzy.

Masz na niej wypisaną radość. Wyglądasz na zadowolonego. Pewnie ta radość zagościła również w twoim sercu.

- Wiesz mamo, masz zupełną rację. Odzyskałem wiarę, że jeszcze coś potrafię, że mogę się czegoś nauczyć. Poznałem już dziesięć liter, a to sprawiło, że jestem ogromnie rad z tego, iż każdy dzień przybliża mnie do czytania i pisania. Choć trochę inaczej, ale znów będę mógł czytać moje ulubione książki.

- A wiesz, wtedy, kiedy weszłam do pokoju, po zakupach w sklepie i ciebie zobaczyłam w tym zmienionym stanie, zrozumiałam, co się z tobą stało. Matce nie trzeba słów, starczy jej spojrzenie. Pojmuję, jak cenne muszą być dla ciebie książki, skoro porywasz się na takie zadania.

Dla mnie te matczyne słowa znaczyły wiele, były nagrodą za podjęty trud, za zmagania z losem. Zachęcały do dalszej nauki.

I znów uczyniłem kolejny krok. Minął pierwszy tydzień nauki. Mogłem już prawie czytać. To przybliżanie się nauki do końca dodawało mi skrzydeł, coraz więcej czasu poświęcałem na samo czytanie i pisanie. Szczególnie byłem zadowolony z równoległego opanowania pisania. Po którymś kolejnym dniu odczułem lekki ból wskazującego palca. Zapewne źle trzymałem szydełko w ręku, za mocno przyciskałem je do palca, że aż zrobił mi się mały krwiak.

Trudno, na razie będę musiał powstrzymać się od pisania.

- Którą lekcję przerabiasz? - spytała siostra. Widzę, że nie dajesz za wygraną?

- Sama wiesz, że nie mam odwrotu. Mam już za sobą lekcję dziesiątą. Do końca pozostało mi niewiele. Myślę, że nauka zamknie się w czasie dwóch tygodni.

- Jesteś tego pewny?

- Tak zakładam. Po tych dziesięciu dniach śmiało mogę powiedzieć, że dobrze opanuję pismo stworzone przez Ludwika Braille'a.

Wreszcie nadszedł upragniony dzień, w którym mogłem powiedzieć wszystkim, że znam pismo, które na nowo otwiera przede mną okno na świat. Och, jak się radowało moje serce, jak znów świat zajaśniał wspaniałymi blaskami. To moje zwycięstwo, mój powrót do równowagi psychicznej. Dzięki podręcznikowi mogłem stanąć mocno na nogi i rozpocząć dalsze samokształcenie.

- A więc mogę ci gratulować zakończenia nauki pisania? - od progu spytała siostra.

- Tak, dziś skończyłem edukację. A czy zasłużyłem na gratulacje, to okaże się w przyszłości, kiedy zacznę czytać książki. A może nauka pójdzie w las?

Dziś z tego wszystkiego, czego dokonałem, jestem ogromnie rad i cieszę się z mojej wytrwałości. Droga stoi przede mną otwarta i tylko ode mnie zależeć będzie, jak dalej nią pójdę.

- A więc życzę ci z całego serca, byś potrafił wykorzystać to pismo dla własnego pożytku, byś je pomnażał.

Czułem w jej głosie zadowolenie, że w jakimś stopniu przyczyniła się do tego, że stałem się człowiekiem, który mimo utraty wzroku może wyruszyć na podbój świata... Do gratulacji przyłączyła się mama, też ze mnie dumna.

Następnego dnia z rana zacząłem pisać list do Biblioteki Centralnej Polskiego Związku Niewidomych w Warszawie, z prośbą o umożliwienie mi korzystania z księgozbioru poprzez pocztę. A więc otwierał się ten świat dla mnie, znów będę czytał ulubione książki, których tak bardzo było mi ostatnio brak. Ale zanim one dotarły do mnie, miałem jeszcze sporo czasu na przeczytanie otrzymanych czasopism. Na pierwszy rzut poszła "Pochodnia", której redaktorem naczelnym był pan Józef Szczurek. Od samego początku zdałem sobie sprawę, że to pismo stanie się moim przyjacielem. Toteż napisałem do redakcji list z życzeniem, abym ją mógł otrzymywać na bieżąco.

„Nasz Świat” redagował wtedy znany pisarz Jerzy Szczygieł. Wreszcie została zapelniona luka, jaką stwarzał brak tego rodzaju czasopisma w moim obecnym życiu.

- Przyjdź po paczkę - powiedział mijając mnie na podwórku listonosz.

Znów jak na skrzydłach pędziłem do urzędu. Zapewne nadeszła przesyłka z Warszawy, z biblioteki. Ale czy się nie mylę? Rzeczywiście, przesyłka była z biblioteki. Po rozpakowaniu okazało się, że wśród czterech tomów brajlowskich książek znajduje się znane opowiadanie Ernesta Hemingwaya Stary człowiek i morze, za które otrzymał nagrodę Nobla. To właśnie ono poszło na pierwszy ogień, było moim pierwszym opowiadaniem czytany pismem Braille'a. Lektura dostarczyła mi niezapomnianych wrażeń. Za starym rybakiem Santiago mogę powtórzyć: "Człowiek nie jest stworzony do klęski.

Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać". To stwierdzenie stało się dewizą, na której oparłem swoje dalsze życie.

Okno na świat

Teraz, kiedy już poznałem pismo Braille'a, wszystko zmieniło się nie do poznania. Po pierwszych próbach czytania, które przychodziły mi z wielkim trudem, osiągnąłem znaczną szybkość czytania i wtedy założyłem sobie iż codziennie "pochłonę" jeden tom książki. Później zaczęło mi zostawać trochę czasu na lekturę czasopism związkowych. Pierwszym periodykiem, z którym się zapoznałem, była "Pochodnia". Dzięki niej mogłem bliżej poznać działalność Związku Niewidomych. Tak krok po kroku wchodziłem w inny świat. Po lekturze „Pochodni” przejrzałem miesięcznik "Nasz Świat", który zajmował się problematyką społeczno-literacką, a jego redaktorem był niewidomy pisarz Jerzy Szczygieł. Od pierwszego momentu stałem się gorącym zwolennikiem pisma.

Któregoś lipcowego dnia postanowiłem napisać list do "Pochodni": o tym, jak poznałem pismo Braille'a, o brajlowskich książkach nadsyłanych z Biblioteki Centralnej PZN w Warszawie i o moim środowisku. Jakąż ogromną miałem radość, gdy po kilku dniach nadszedł list od redaktora naczelnego Józefa Szczurka. List przeczytałem kilkakrotnie, by go dobrze zrozumieć.

Redaktor gorąco dziękował mi za jego napisanie, ale najważniejsze słowa znalazły się na końcu, gdzie prosił o rozszerzenie pewnych fragmentów listu, który potem zostanie opublikowany w rubryce "Listy do redakcji".

Poza tym zachęcał mnie do współpracy. Czym to było dla mnie, zrozumiałem po wielu latach.

„Czy to znaczy, że moje pisanie może się komuś przydać? - napływały coraz to nowe myśli, które mimo woli kazały mi się zastanowić. A może rzeczywiście jest w tym trochę prawdy, skoro redaktor naczelny prosi. Może posiadam jakieś nie ujawnione "talenty". Trudno, nadszedł czas, by poddać się próbie.”

Myśli te dręczyły mnie przez kilka dni, ale w końcu zdecydowałem się napisać do "Pochodni" ponownie. Gotowy list jeszcze raz przeczytałem bardzo uważnie, by usunąć popełnione błędy czy usterki. Okazało się, że w którejś linijce na trzeciej stronie opuściłem literę "r" i dlatego muszę tę stronę jeszcze raz przepisać. Wreszcie dopiąłem swego, list do redakcji leżał na stole gotowy do wysłania.

„A może nie warto tego czynić? Może wyrzucić go do kosza, albo dać mamie na rozpałkę do kuchni? Jeszcze mam czas na decyzję, jak postąpić. Tylko ode mnie zależy, jaki będzie finał. W końcu postanowiłem - wyśle.”

Zajęty codzienną lekturą nie myślałem o wysłanym liście, zdawałem sobie sprawę, że muszę się uzbroić w cierpliwość i czekać na informację z redakcji. Od lipca otrzymywałem regularnie obydwa czasopisma. Poznawałem nowych autorów zamieszczanych artykułów w

”Pochodni”. Tak po raz pierwszy zetknąłem się z nazwiskiem pana kapitana Jana Silhana z Krakowa. Pisał o spotkaniu esperantystów, ale nie miałem pojęcia o tym języku, a tym bardziej o jakimś ruchu. Lektura książki Margaret Mitchell Przemięło z wiatrem, liczącej 20 brajlowskich tomów, odwróciła zupełnie moją uwagę od czasopism. Co jakiś czas znajdowałem na łamach książki ciekawe myśli, które przepisywałem do mojego notatnika ”Myśli złote, srebrne i...”. ”Dżentelmen zawsze udawał, że wierzy damie, choćby był przekonany, że dama kłamie”.

„Nie wszystko można kupić za pieniądze.” Takie słowa wypowiada Scarlett O’Hara. A teraz wynotowałem słowa Retta Butlera: ”Wszystkie wojny są w rzeczywistości walką o pieniądze.” A teraz posłuchajmy, co Rett Butler powiedział do Scarlett: ”Cnota jest tylko kwestią ceny.” Wyobraźnia budowała sobie poszczególne obrazy, najpierw dworu Tara, a potem przebiegu wojny. Znow chwyciłem za szydełko i wynotowałem myśli Ashley wypowiedziane do Scarlett: ”Życie nie jest zobowiązane dawać nam tego, czego oczekujemy.

Bierzemy to, co nam daje i jesteśmy wdzięczni, że nie jest jeszcze gorzej.” Rzeczywiście, musimy brać takie życie, jakie ono jest.

- Jest dla ciebie przekaz pieniężny z Warszawy - rzekła mama, wchodząc do mojego pokoju. - Na odcinku napisali: Honorarium za artykuł Moje środowisko. Jest też pieczętka: Zakład Wydawnictw i Nagrań PZN Warszawa.

Gratuluję, to pierwszy sukces.

Mama podała mi odcinek przekazu i wyszła do kuchni, do codziennej harówki. Co myślała o mnie, trudno odgadnąć. Zapewne zdawała sobie sprawę, że moje życie nabiera kolorów, staje się ciekawsze, wracam do psychicznej równowagi. Widziała już uśmiech w kącikach moich ust, w głosie słyszała ton radości. Potrafiła z tego wywnioskować, że wraca mi poczucie sensu życia.

Jednak najbardziej uradowała się najmłodsza siostra, która, powróciwszy ze szkoły, rzekła do mnie:

- Słyszałam, że otrzymałeś pierwsze honorarium za artykuł. Chciałabym go przeczytać. Życzę ci dalszych sukcesów w pracy dziennikarskiej.

Dla mnie była to wspaniała niespodzianka, krok do normalnego życia. Toteż nie dziwię się, że i siostra była ciekawa. Poczulem przyspieszony rytm serca, które reagowało na dobrą nowinę.

Z Biblioteki Centralnej PZN nadeszła kolejna paczka z książkami. Co nowego zawiera? Jak się okazało, była to powieść Rabindranatha Tagore Rozbicie w pięciu tomach. Jaki to zupełnie inny świat, inna kultura? Znow poszedł w ruch długopis: ”Kobiety płaczą o

lada głupstwo, ale jak się wypłaczą, zaczynają się znów śmiać i zapominają o wszystkim.”
„Czego się samemu nie zbudowało, tego nie ma się prawa niszczyć.”

- Przyniosłam ci ”Pochodnię” - oznajmiła mama, otwierając drzwi do pokoju. - To zapewne z tym twoim artykułem. Ja też jestem ciekawa, co tam napisałeś? Może mi go przeczytasz?

- Zaraz go odnajdę i przeczytam, ale wpierw skończę lekturę.

Mama wyszła do kuchni i krzątała się nad przygotowaniem obiadu dla rodziny. Po chwili odłożyłem nie skończoną książkę i wziąłem do ręki „Pochodnię”. Zacząłem brajlować spis treści i nagle natrafiłem na tytuł:

Moje środowisko, a tuż pod nim nazwisko autora. A więc nie omyliłem się. To moja pierwsza praca, kontakt z redakcją naszego czasopisma. Odnalazłem stronicę, na której zaczynał się artykuł.

- Mamo, chodź do mnie. Mogę ci już czytać.

Mama przysiadła się do stołu. Własny głos wydawał mi się inny, ale zrozumiałem, że opanowała mnie trema, spowodowana wielką niewiadomą, jak wygląda mój wymęczony artykuł. Po chwili powrócił spokój.

- Gratuluję ci, synu, widać z tego, że potrafisz pisać - mama przytuliła się do mnie, kiedy skończyłem czytać. - Mam się z czego cieszyć. Dobrze się stało, że nawiązałeś kontakt z redakcją. Może znów coś napiszesz? Tematów do korespondencji nie brakuje, starczy się tylko rozejrzeć dokoła.

Miała rację, że mogę pisać do ”Pochodni” na różne tematy. Ale początek został zrobiony i teraz czas pokaże, co w tej materii potrafię.

- Przyniosłam ci list brajlowski - rzekła mama, podając mi.

- Jest z Krakowa, a napisał go Jan Silhan.

Odsunąłem książkę, odnalazłem początek listu i zacząłem czytać:”Drogi przyjacielu!
Bardzo zainteresował mnie Twój artykuł z listopadowej

»Pochodni«. Cieszę się, że nawiązał Pan kontakt z redakcją. Dla Pana jest to rehabilitacja, sposób na przyszłość. Jednak pragnę podkreślić Pana dążenie do opanowania pisma Braille’a, co się tak wspaniale udało. Ten przykład zasługuje nie tylko na pochwałę, ale także jako wzór do naśladowania przez nowo ociemniałych inwalidów wzroku. Rozumiem Pana, że brakuje Panu kontaktów ze środowiskiem, gdyż mieszka Pan na wsi, z dala od skupiska niewidomych, ale na to też jest rada. Istnieje wspaniały język, jakim jest esperanto. Ja Pana bardzo gorąco zachęcam do nauki, do jego poznania oraz wykorzystania. Jeśli się go Pan nauczy, to okno na świat otworzy się przed Panem i spełnią się pańskie marzenia. Na

początku będę służył Panu pomocą i radą. Jeszcze raz gorąco zachęcam do nauki tego języka. Z pozdrowieniami: Jan Silhan”.

Przypomniało mi się to nazwisko, spotkane swego czasu w ”Pochodni”.

„Takiego obrotu sprawy nie spodziewałem się. Nie liczyłem, że na artykuł ktoś tak szybko zareaguje. Argumenty kapitana Jana Silhana trudno było odeprzeć, miały spory ładunek emocjonalny. Miałaby się otworzyć dla mnie nowa możliwość, wykorzystania esperanto do swoich potrzeb? Na razie wszystko pozostawało sporą zagadką. Po kilku dniach namysłu odpowiedziałem kapitanowi pozytywnie. Nie wyobrażałem sobie innej odpowiedzi... znów będę się uczył.

Kapitan szybko zareagował na mój list. Jego odpowiedź zawierała konkretne propozycje. Otrzymałem z Warszawy komplet podręczników do nauki języka, napisanych przez profesora Mieczysława Sygnarskiego, lektora tego języka na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Pierwszy tom nosił tytuł Kurs elementarny esperanto - pomocniczego języka międzynarodowego, a wydany został w brajlu przez Zarząd Główny PZN w 1956 r. Był to w ogóle pierwszy podręcznik, jaki otrzymali polscy niewidomi... przygotowany do druku przez kapitana Jana Silhana. Drugi tom tego podręcznika ukazał się dopiero w roku 1962 pod nazwą Pełny kurs esperanto. Kapitan przysłał mi też ostatni numer brajlowskiego kwartalnika, wydawanego od 1959 r. pod nazwą:”Pola Stelo”

(Polska Gwiazda). Tak zaopatrzony mogłem przystąpić jako samouk do zajęć. Z dnia na dzień nauka języka coraz bardziej mnie angażowała, stawałem się jej ogromnym zwolennikiem. O tym świadczyła także korespondencja między nami. W kolejnym liście zaproponował, bym nawiązał kontakt z panem Józefem Smietanko, ociemniałym oficerem z II wojny światowej, mieszkającym w Warszawie. To właśnie on z nowym, 1969 rokiem miał przejąć redakcję ”Pola Stelo”, aktualnie zaś przewodniczył Tymczasowej Radzie Krajowej Sekcji Niewidomych Esperantystów. Uczyniłem tak, jak mi zaproponował kapitan. Nie czekałem zbyt długo na odpowiedź od pana Smietanko. Uradowałem się, że i on gorąco namawiał mnie do wytrwania w podjętym działaniu. On też zaofiarował mi pomoc, w razie potrzeby.

A oto list od kapitana Jana Silhana datowany 18 listopada 1969 roku: „Drogi przyjacielu! Tak, opublikuję twój anons w czwartym numerze ”Pola Stelo” bieżącego roku.

Twój zamiar praktycznego wykorzystania esperanto do prowadzenia korespondencji jest rozsądny. Zapewne znajdziesz odpowiedniego kandydata, a może nawet wielu. Jednak nie lekceważ również doskonalenia poprzez pilne czytanie naszych czasopism i książek. Dla przykładu, czy już wypożyczyłeś z naszej warszawskiej Biblioteki Centralnej wspaniałe dzieło

profesora Edmonda Privat Życie Zamenhofa? Czy słuchasz codziennych audycji (trzykrotnie w ciągu dnia), nadawanych przez Polskie Radio? Są one bardzo korzystnymi i wartościowymi ćwiczeniami. Czy posiadasz magnetofon (nowy aparat Grundig kosztuje 5500 złotych). Można również korespondować za pomocą listów nagranych na magnetofonie. Czy czytasz nasze czasopismo? Czy wszystko dobrze rozumiesz. Jakie masz słowniki? Dla przykładu: Michalski w druku zwykłym. Więc czuj się dobrze i odpowiedz, ponieważ ewentualnie chciałbym udzielić ci pomocy. Serdeczne pozdrowienia. Twój Jan Silhan”.

Czas mijał bardzo szybko, gdyż dzień był bardzo wypełniony różnymi czynnościami. 1 stycznia 1969 roku zlecono mi zadanie utworzenia koła PZN na terenie mojego powiatu. Dzięki lekturze czasopism związkowych byłem dobrze poinformowany, w jaki sposób powinno działać takie ogniwo terenowe.

Ale kiedy tylko dysponowałem chwilką wolnego czasu, brałem się za naukę esperanto, dawała mi bowiem sporo satysfakcji.

- Przyniosłam ci brajlowski list - powiedziała mama, wkładając mi go w rękę. - Adresatką jest pani Halina Kuropatnicka z Wrocławia.

- Dziękuję ci, mamo.

Czyżby to odezwali się już moi przyszli korespondenci? Sam jeszcze nie otrzymałem ”Pola Stelo”, a tu już przychodzą do mnie nowe listy. Otworzyłem kopertę, gdyż ogromnie byłem ciekaw osoby. Tak poznałem nauczycielkę, polonistkę we Wrocławiu. Zapowiadało się, że będzie to wspaniały kontakt.

- Dziś rano zapomniałem oddać ci przesyłkę - rzekł do mnie listonosz, gdy stałem na rogu przed domem. - Wygląda mi na gazetę.

- Zapewne to jest moja gazeta, ale nie wiem która.

- ”Pola Stelo”. Co to takiego?

- To właśnie gazeta, na którą tak bardzo czekam, wydawany w brajlu kwartalnik dla niewidomych esperantystów.

- A ty je znasz?

- Uczę się. Jest mi bardzo potrzebne w kontaktach z ludźmi.

- To się ucz.

Listonosz był bardzo ciekaw różnych wiadomości. O książkach można z nim było dyskutować długimi godzinami. Od czasu do czasu zjawiał się u mnie w domu i zagadywał na różne tematy. Trzymając gazetę wróciłem do pokoju, by jak najszybciej przejrzeć ”Pola Stelo” z moim anonsem, iż pragnę nawiązać korespondencję z niewidomymi esperantystami

na całym świecie. W spisie treści znalazłem rubrykę: "Deziras korespondii" (pragnę korespondować).

Potwierdziło się, że anons jest w tej rubryce. A więc list był pierwszą reakcją na ogłoszenie.

- A teraz otrzymałeś list z Węgier - rzekła mama po kilku dniach, wchodząc do pokoju. Imię i nazwisko jest proste: Roza Kiss, ale trudniej odczytać jej miejsce zamieszkania. Chyba to Ujszego. Widzisz, jak mi trudno odczytać.

- Ale nie martw się, mamó. Zapewne to rozszyfruję w brajlu, bo chyba znajdę jej adres w liście. A zresztą zobacz.

Obejrzałem list i zauważyłem, że jest inny niż otrzymany przed kilkoma dniami od pani Haliny, który był opakowany brajlowską kartką. Znalazłem początek listu, który u góry na pierwszej stronie zawierał ciągłą linię brajlowską - łatwo pozwalającą się zorientować, iż właśnie w tym miejscu należy rozpocząć czytanie. To genialne rozwiązanie. Zresztą taką formę stosował również kapitan Jan Silhan.

- Tak, to Ujszeged. "Kra amiko" - tak rozpoczynał się jej list. Mamó, ja go wpierw sam przeczytam, a potem ci opowiem, gdyż sama wiesz, przecież to nie po polsku. To są moje pierwsze próby, a one zawsze są trudne.

- No dobrze, czytaj sobie, a ja pójdę do swojej roboty.

Mama wyszła i słyszałem jak krząta się w kuchni, jak panuje nad swoim królestwem. Wstałem od stołu i ze stolika zabrałem słowniki esperancko-polskie, by zabrać się do czytania listu, którego treść mogłem potem zrelacjonować mamie.

- Wiesz, mamó! Ta pani Roza jest rencistką i przebywa w domu pomocy społecznej, ale co ciekawe, ona ten język zna już od trzydziestu lat. Jest muzykalna, zna wspaniałego człowieka, niewidomego profesora Imre Ungara, znanego na świecie muzyka, a który brał udział w konkursie chopinowskim w 1932 roku i był jego laureatem. Teraz pracuje w budapesztańskim konserwatorium. Wiesz, mamó, dobrze się stało, że mam taki kontakt, gdyż ona może mi pomóc w opanowaniu języka.

- W tym to na pewno masz rację. Widzę, że ta nauka coraz bardziej cię angażuje, że to może ci dać w przyszłości poważne korzyści intelektualne.

Bo takie znajomości są bardzo ciekawe, dostarczą ci sporo wiedzy i informacji, których do tej pory tak ci było brak.

- Esperanto powoli stawało się moim drugim oknem na świat po nauce pisma Braille'a, które umożliwiło mi naukę tego języka. Dzięki pismu na nowo mogłem czytać i

pisać, a teraz mogłem wypłynąć na szerokie wody mórz i oceanów i spokojnie po nich żeglować, szukając od czasu do czasu przystani w jakimś kraju.

Mama była bardzo zainteresowana moimi poczynaniami, wszystko ją interesowało. Teraz, kiedy już widziała, że nauka przynosi korzyści, że zaczęły napływać listy od niewidomych esperantystów, także z zagranicy, zupełnie inaczej spojrzała na wszystko, co po utracie wzroku zacząłem realizować, jak podszedłem do mojego życia. W jej głosie dał się odczuć ton zadowolenia, że wracam do normalnego życia.

- A dziś nadszedł list z Niemiec od pani Dolores Vogt z Weimaru - oznajmiła mama. W jej głosie odczułem ton radości, bo sama знаła język niemiecki, a więc odczytanie nadawczyni listu nie sprawiło jej żadnego trudu.

- Mamo, pokaż mi ten list.

Pani Dolores była emerytowaną nauczycielką, a mieszkała samotnie. Jej syn Piotr pracował w teatrze w Berlinie. Od kilku lat udzielała jej pomocy opiekunka, która nie tylko robiła zakupy, ale również razem wychodziły na spacer czy po sprawunki. Właśnie dlatego, że dysponowała wolnym czasem, zajęła się esperanto. Nawiązała wiele kontaktów, ale wydawało się jej, że będę dobrym przyjacielem. Dla mnie z kolei fakt, że mieszka w starym mieście, z którym tak jest związana kultura niemiecka, stanowił dodatkowy argument. Jakże będę mógł skorzystać z tej znajomości? Przecież tam mieszkali i działali: Jan Sebastian Bach, Wolfgang Goethe, Friedrich Schiller.

Zrobiłem kolejny krok naprzód. Mój czas wypełniała lektura brajlowskich książek, czasopism i czytanie listów od niewidomych przyjaciół. Czas szybko upływał, ale znaczenie miało to, że wypełniała go bardzo korzystna praca nad sobą, która miała zaowocować w przyszłości.

Nowy redaktor "Pola Stelo" Józef Smietanko któregoś dnia nadesłał mi egzemplarze czasopism esperanckich z innych krajów. Tak poznałem "Itala Ligilo" (Włoska więź). A potem czasopismo z Niemieckiej Republiki Demokratycznej "Ademikeco" (Przyjaźń). Mogłem się zapoznać z działalnością niewidomych esperantystów w innych krajach. Mogłem stwierdzić, że esperanto jest wspaniałym narzędziem rehabilitacji inwalidów wzroku, ale czy tylko inwalidów? Potwierdzenie przyniosą następne lata, kiedy dojdzie do pięknych żniw, kiedy będę zbierał dorodne owoce z dobrze uprawianej plantacji.

Na fali

W piątkę wysiedliśmy z pociągu na stacji Ustroń Zdrój tuż przed godziną ósmą rano i rozejrzeliśmy się za samochodem Ośrodka. Po chwili oczekiwania zdecydowaliśmy się ruszyć w kierunku postoju taksówek, by tu znaleźć pomoc.

- Podrzuci nas pan do "Kosa"? - zwróciłem się do taksówkarza.

- Proszę bardzo! Proszę mi podać bagaże, włożymy je do tyłu samochodu, ażeby państwo mogli wygodnie usiąść - zwrócił się do nas kierowca uprzejmie.

Po chwili ruszyliśmy w kierunku ulicy Zdrojowej, przy której znajduje się nasz Ośrodek. Pogoda nie była najładniejsza, troszkę zaczęło popadywać, choć mieliśmy nadzieję, że tu spotkamy słońce.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł do nas taksówkarz. - Taksa wynosi 50 tysięcy złotych.

Wyjąłem odpowiedni banknot i podziękowałem za usługę.

W Ośrodku panował gwar, wczasowicze i kursanci w części wychodzili ze stołówki po śniadaniu, kręcąc się koło recepcji - Witam gorąco! - zwróciła się do mnie pani Róża, nauczycielka z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Krakowie, która już dwukrotnie była naszym instruktorem na turnusach rehabilitacyjnych. - Jak się czujecie po podróży?

- Możliwie dobrze - odrzekłem na powitanie, ściskając jej dłoń. - Znow się spotykamy.

- Już rozmawiałam z Elżbietą i wszystko o was wiem.

- To chodźcie najpierw na śniadanie - rzuciła Elżbieta, kierowniczką kursu. - Bagaże zostawcie przy recepcji, a ja ich dopilnuję.

Po całonocnej podróży byliśmy trochę zmęczeni i przydałby się krótki odpoczynek. Ustaliliśmy, że nasze zajęcia odbędą się po obiedzie w sali gimnastycznej. Elżbieta rozlokowała nas w pokojach. Mnie zaprowadziła pod numer 303, gdzie już zamieszkał pan Kazimierz Sowirko. Znow będziemy razem. Zuzanna z synem Sławkiem zajęła pokój numer 401 na czwartym piętrze.

Po kąpieli, mimo iż zmęczenie dawało mi się we znaki, nie mogłem zasnąć.

Niepokoili mnie jakieś myśli. Już po raz drugi Okręg nasz organizuje tu kurs rehabilitacji i wypoczynku z uwzględnieniem nauki języka międzynarodowego. Tym razem przyjechały z naszego klubu 23 osoby, a 14 osób z innych Okręgów: 5 z Warszawy, 5 z Chorzowa, 3 z Gdańska i jedna osoba z Bielska-Białej. Całość mamy podzielić na trzy grupy: grupę dla początkujących mam poprowadzić ja, Kazimierz będzie kierował grupą dla zaawansowanych, a z kolei Zuzanna zajmie się grupą konwersacyjną. To pierwsza sprawa, by w grupach znalazła się odpowiednia liczba osób. Swoich klubowiczów znam, wiem, na co ich stać. Ale nie znam dokładnie wszystkich pozostałych, gdyż jest tu trochę nowych twarzy,

zwłaszcza z Chorzowa. Ale ten problem zostanie rozwiązany po obiedzie. Jednak od zaraz muszę się zająć innymi punktami programu. To spotkanie z panem profesorem Kazimierzem Szczurkiem z Cieszyna, z którym już rozmawiałem w lutym na szkoleniu liderów Związku. Zapewne ponownie przyjedzie do nas inżynier Zdzisław Głajcar, także mieszkaniec tego miasta. Będę musiał zadzwonić do Gertrudy Pisarek, znanej działaczki esperanckiego ruchu katolickiego w Skoczowie.

- Serdecznie i bardzo gorąco witam wszystkich zebranych adeptów języka międzynarodowego - powiedziałem na powitanie. - Na wstępie poproszę, by wszyscy w kolejności przedstawili się, byśmy się wzajemnie dobrze poznali.

W naszym środowisku jest to naturalna forma prezentacji. Na początku o przedstawienie się poproszę grupę z Warszawy, potem z Chorzowa, Gdańska i Bielska-Białej, a na końcu członków "Sukcena steleto" z Elbląga.

W kolejności jeden po drugim przedstawiali się uczestnicy kursu. Ich głosy głęboko zapadały mi w słuchu. Prawie wszystkich bezbłędnie rozpoznawałem, pamiętając ich ze spotkań.

- Przyjemnie mi znów spotkać się z wami - zwróciłem się do nich po przedstawieniu się. - Prawie wszyscy uczestnicy turnusu brali udział w uroczystym spotkaniu, jakie zorganizował esperancki klub "Sukcena steleto"

(Bursztynowa gwiazdka) w Elblągu z okazji jego 10-lecia w pensjonacie „Mors”, w Steganie Gdańskiej na Mierzei Wiślanej. Tam w ciągu trzech dni mieliśmy okazję snuć wspomnienia o ruchu esperanckim w środowisku niewidomych w Polsce. Uczestnicy spotkania mogli się zapoznać z dorobkiem klubu. Dziś rozpoczyna on drugie dziesięciolecie działalności. Program turnusu zapowiada się następująco. Z rana proponujemy cztery godziny lekcyjne na naukę języka, a po obiedzie spacer po okolicy Ustronia, następnie dwie godziny nauki piosenek esperanckich, pod kierunkiem Urszuli Giercarz z Rybnika. Odbędą się też wycieczki autokarowe do Cieszyna i Koniakowa. Zaplanowaliśmy spotkania z lokalnymi esperantystami. W planie jest ognisko. O wszystkich imprezach będziemy informować podczas posiłków.

A teraz przystąpimy do podziału na grupy.

Przedstawiłem swoje propozycje w tym względzie. Wszyscy zgodzili się, choć znalazły się dwie osoby, które zaproponowały zmiany w składzie grup, co zaakceptowano.

- Teraz chciałbym przedstawić historię naszego ruchu - zacząłem, gdy zakończył się podział na grupy. - W naszym kraju ruch esperancki wśród niewidomych rozpoczął się jeszcze przed II wojną światową, a praktycznie jest on związany z nazwiskiem naszego

znanego działacza, niewidomego kapitana Jana Silhana z Krakowa, który jeszcze przed wojną, a właściwie w 1933 roku został przewodniczącym Światowego Związku Organizacji Niewidomych i do kontaktów między organizacjami używał esperanto. Po wojnie kapitan Silhan na nowo powrócił do tworzenia ruchu esperanckiego w naszym środowisku. Zaczął pisać artykuły o nim w "Pochodni", a następnie powołał do życia samodzielny organ prasowy, brajlowski kwartalnik, "Pola Stelo"

(Polska Gwiazda), co się odbyło w 1959 roku. To właśnie wówczas z okazji 100-lecia urodzin twórcy esperanto Ludwika Lazara Zamenhafa odbył się w Warszawie Światowy Kongres Esperantystów i Międzynarodowy Kongres Niewidomych Esperantystów. W 1963 roku powołano do życia Tymczasową Sekcję Niewidomych Esperantystów, której przewodniczącym był również kapitan Silhan. Od 1969 roku redakcją "Pola Stelo" zajął się inny ociemniały oficer Józef Smetanko z Warszawy. Podczas pierwszego turnusu wczasów esperanckich, jaki odbył się w pierwszej połowie września 1976 r. w Muszynie, doszło do formalnego powołania sekcji i wyboru pierwszego zarządu, którego przewodniczącym został Józef Smetanko. Od 1985 roku redakcją "Pola Stelo" zajęła się pani Irena Łowińska z Warszawy. Zbliża się dziesięciolecie kierowania przez nią kwartalnikiem. Tak po krótko wygląda historia naszego czasopisma. Ja od początku mojego kontaktu z esperanto utrzymuję kontakt z "Pola Stelo", w którym ukazały się moje artykuły czy informacje. Dla przykładu mogę wymienić numer 3 z ubiegłego roku, w którym opisuję działalność klubu "Sukcena steleto".

A teraz kilka zdań o ruchu na arenie światowej. W maju minie 90 rocznica ukazania się pierwszego numeru esperanckiego czasopisma w brajlu, miesięcznika "Esperanta Ligilo" (Esperancka Więż), który redagował prof.

Theophile Cart z Francji, a następnie głuchoniemy Szwed Harald Thilander.

On redagował czasopismo aż do roku 1958. Po nagłej śmierci redakcję miesięcznika przejął Francuz Raymond Gonin, z którym po dzień dzisiejszy utrzymuję stały kontakt. W czasopiśmie tym ukazały się również moje korespondencje, dla przykładu w listopadowym numerze z ubiegłego roku informacja: Międzynarodowy tydzień esperantystów inwalidów w Franciszkowych Łażniach (w Republice Czeskiej odbył się tam od 10 do 17 lipca 1993 r.). W numerze drugim z bieżącego roku opublikowano obszerny raport z naszej uroczystości w Steganie Gdańskiej. Z kwietniowego numeru przetłumaczyłem artykuł pana Raymonda Gonin 90-lecie istnienia "Esperanto Ligilo", który przekazałem do "Pochodni", by zapoznać z historią tego czasopisma nasze środowisko. Dzięki niemu możemy orientować się w ruchu

niewidomych esperantystów na całym świecie. Dla przykładu, opublikowano sporo informacji o mającym się odbyć w bieżącym roku w Kiesłowodsku w Rosji 60

Międzynarodowym Kongresie Niewidomych Esperantystów. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego jest dobrze mi znany esperantysta rosyjski, nauczyciel szkoły masażu Anatolij Masenko. Tu warto dodać, iż pierwszy kongres odbył się w Pradze w 1921 roku. Ja sam uczestniczyłem w pięciu kongresach: 1978 - Warna (Bułgaria), 1982 - Breda (Holandia), 1983 - Budapeszt (Węgry), 1984 Tirenja (Włochy) i 1987, z okazji 100-lecia istnienia esperanto - Warszawa. Są wśród nas uczestnicy wielu kongresów, a zapewne rekordzistą pod tym względem jest nasza przewodnicząca sekcji Zuzanna Jankowska.

- Na wstępie pragnę gorąco podziękować naszemu organizatorowi za to, że znów spotykamy się w tym pięknym ośrodku - zabrała głos przewodnicząca. - Nikt inny nie robi tego tak wspaniale, jak potrafi to klub elbląski. Gorąco dziękuję jego przewodniczącemu, że mamy okazję przez dwa tygodnie pogłębiać swe językowe umiejętności. To, że Stefan jest kierownikiem Okręgu, niewątpliwie ma ogromne znaczenie, ale przede wszystkim jest zapalonym miłośnikiem esperanto. Po naszym ogólnym zebraniu sekcji, jakie odbyło się 19 i 20 marca w Olsztynie, przyjęliśmy nowe zadania do realizacji w okresie najbliższych czterech lat kadencji. Mamy nadzieję, że przy waszym poparciu i zaangażowaniu określone plany wykonamy. W ciągu tych dwóch tygodni będziemy mieli wiele okazji do rozmów, wymiany doświadczeń, podzielenia się wrażeniami z wielu imprez, nie tylko krajowych. Zapewne często będziemy powracać do naszego turnusu w Ustroniu. Życzę wam dużo sukcesów w nauce i pogłębianiu znajomości języka, nowych koleżeńskich znajomości i wielu wrażeń oraz wypoczynku.

Po kolacji wszyscy zeszli do kawiarni.

- Można kierownika prosić do tańca - nieoczekiwanie zwróciła się do mnie Tosia, jedna z kursantek.

- Bardzo proszę.

- Dobrze się stało, że zarezerwowaliśmy parę stolików. Usiedliśmy.

Wypiłem trochę wody mineralnej, ponieważ odczuwałem lekkie zmęczenie... dawno nie tańczyłem. Na chwilę zamyśliłem się i dopiero miły głos wyrwał mnie z zadumy.

- Można pana prosić do tańca? - zwróciła się do mnie Urszula. - I ja chcę z panem zatańczyć.

- No, dobrze.

- Jeszcze raz pragnę panu podziękować, że zabraliście grupę chorzowską na turnus.

- Ale, nie ma za co. Tak się złożyło, że mieliśmy 40 miejsc na turnus, a z naszego klubu były tylko chętne 23 osoby.

- Tak czy inaczej dziękujemy za to.

- Przecież i ty sama nam pomagasz, bo uczysz piosenek.

- Bo bardzo lubię, to moja pasja.

Przez chwilę milczeliśmy. Sala była wypełniona po brzegi, trudno było tańczyć.

- Może przeszlibyśmy na "ty", bo znamy się od dłuższego czasu, a jesteśmy też współorganizatorami turnusu.

- Mi "pszajas" vin - z uśmiechem szepnęła Urszula, czekając na moją reakcję.

- Co to takiego? Ja nie znam takiego słowa po esperancku.

- Pewnie, że "pszajas" nie znasz. Jest to słowo gwarowe z naszego regionu, a oznacza, że ja cię kocham.

- Teraz rozumiem. Ale czy ty nie żartujesz?

- Nie przyjmuj tego tak dosłownie, ale naprawdę na to zasługujesz.

- Dziękuję ci - uśmiechnąłem się do niej. Wróciliśmy na swoje miejsca, by trochę odpocząć. Znowu wypłem łyk zimnej wody. Jednak nie dane mi było zbyt długo siedzieć, gdyż zza pleców usłyszałem głos Ani:

- Można kierownika prosić do tańca?

- Ponoć damie się nie odmawia.

- I ja chcę ci podziękować za to, że nie zapomniałeś o Gdańsku. Jestem ci wdzięczna za to. To samo powiedziała Helenka.

- No, już dobrze.

- Sam wiesz, że nie mamy zbyt dużo okazji, by być na takich turnusach.

Żałowałam bardzo, że nie mogłam wziąć udziału w waszym jubileuszu w Steganie Gdańskiej.

- Dla mnie samego było to wielkie wydarzenie, a tym bardziej spełniło ono moje oczekiwania. Już sam udział Krajowego Duspasterza Esperanto księdza Józefa Zielonki "Verdulo" z Tarnowa w znacznym stopniu podniósł rangę jubileuszu.

- Od samego początku naszej znajomości podziwiam cię za pracę na rzecz ruchu esperanckiego wśród niewidomych. Jesteś dla mnie najlepszym przykładem, jak należy wykorzystać esperanto w rehabilitacji inwalidów wzroku.

- Tylko mnie nie przechwal, bo pomyślę, że to prawda.

- Ale tak jest.

- Skoro tak uważasz, niech i tak będzie.

Zmieniły się rytmy tańca i dobiegły nas słowa znanego tanga. Nie rozmawialiśmy i nagle poczułem dotknięcie jej policzka.

Nazajutrz od samego rana rozpadało się, a ponieważ nie zabrałem parasola, zdecydowany byłem wysłuchać radiowej Mszy świętej. Kilka osób wybrało się do miasta, a wśród nich Kazimierz. Byłem w pokoju sam. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziałem.

- Przestało już padać - rzekła do mnie wnuczka Angelika. - Możemy pójść do miasta i do kościoła. Idę się ubrać i zaraz wrócę po ciebie.

Po chwili opuściliśmy dom, schodząc w dół ku Wiśle.

- Jak tu wspaniale - oznajmiła Angelika. - Teraz, kiedy deszcz przestał padać i zza chmur wyjrzało słońce, wszystko nabrało zupełnie innych kolorów. Czantoria w słońcu wyglądała wspaniale. Widzę jeszcze łąty śniegu, choć wszystko już wokoło zaczęło się zielenić. Na tym stoku, gdzie znajduje się nasza "piramida Kos", jest jeszcze więcej takich domów.

- Oczywiście, jest ich łącznie, jeśli dobrze pamiętam, 18. Noszą różne imiona: "Jaskółka", "Muflon", "Daniel", "Narcyz", "Róża". Takich domów jak tu nie spotkasz gdzie indziej. Za chwilę dojdziemy do Szpitala Zdrojowego, który ma kształt tankowca "Kasprowy Wierch".

- Już go widzę. Tam, w górze, znajduje się też nadbudówka kapitańska.

- A to już szumi Gościradowiec, który w dole wpada do Wisły.

- To miasto jest wspaniale położone w dolinie królowej naszych rzek. Od zachodu osłaniają ją szczyty Czantoria, Mała Czantoria czy Jelenica, a od wschodu Równica i Skalica. Na tych wszystkich szczytach byliśmy w roku ubiegłym podczas poprzedniego turnusu esperanckiego. Jak pamiętasz i wtedy pogoda nam dopisała.

- Jesteśmy już na moście na Gościradowcu, a za chwilę znajdziemy się na Wiśle.

- Mijamy ulubioną przez niektórych kursantów kawiarnię "Oaza", gdzie można zjeść smaczne ciasta, własnego wypieku.

- Bywałem tu w tym roku w lutym, kiedy przebywałem na kursie liderów związkowych.

- Już widzę kościół. Wydaje mi się, że chyba źle trafiliśmy, bo nie widzę ludzi udających się w tym samym kierunku, co my. Zaraz zobaczę, czy mam rację. Tak, tak, bo następna Msza będzie odprawiona o godzinie 11.30, a więc mamy jeszcze trochę czasu.

- Pójdźmy więc w kierunku kościoła ewangelicko-augsburskiego, w którym do tej pory nie byłem, bo za każdym razem był zamknięty.

- Nie masz i tym razem szczęścia. A szkoda, bo taki okazały i naprawdę wart obejrzenia.

- No trudno, wracajmy!

Zaraz po Mszy świętej musieliśmy opuścić świątynię, gdyż zostawało zaledwie pół godziny do obiadu, a droga do Ośrodka wymagała większego wysiłku. Kiedy już po obiedzie wyszliśmy na taras, stali tam palacze, a wśród nich Zuzanna z synem i Urszula.

- Zaraz wybierzemy się na spacer nad Wisłę - oznajmiła Urszula, kiedy podeszliśmy do nich. - Pójdziecie z nami?

- A cóż możemy zrobić innego?

- Ruszamy, proszę wycieczki - rzuciła znów Urszula. Mamy dość czasu, bo musimy wrócić na godzinę piątą. Wtedy mamy naukę piosenek.

- To racja - powiedziała Zuzanna. - Musimy łykać górskie powietrze, bo my, mieszcuchy, nie zawsze mamy czas i okazję w mieście korzystać z tak pięknej pogody. Ale wróćmy do wczorajszego spotkania. Ja ci też chcę podziękować za organizację tego turnusu. Gdyby inni kierownicy Okręgów podchodzili do sprawy jak ty, nie mielibyśmy problemu z popularyzacją esperanto wśród polskich niewidomych, wszędzie działałyby przy nich kluby.

Lecz tak nie jest, to mnie martwi.

- I tu masz rację. Powiem ci, że moim zdaniem nasi członkowie sekcji też za mało naciskają na Zarządy Okręgów, nie stawiają konkretnych postulatów.

Zresztą sama wiesz, że do działania stale brakuje nam ludzi z prawdziwego zdarzenia.

- Tu masz rację - wtrąciła się Urszula, która, słysząc naszą rozmowę, zaczęła aż się zbliżymy.

- Dla przykładu, taki wielki Chorzów, a nie można tam utworzyć klubu. Ja jako przewodnicząca sekcji myślę o tym od wielu lat.

- Nasz kierownik słuchać nie chce o esperanto, bo stale ma ważniejsze sprawy na uwadze. Jak mam działać w takiej sytuacji.

- Ale musisz doprowadzić do tego, by na waszym terenie powołać do życia taki klub. Weź mój przykład, od wielu lat próbowałem go stworzyć, ale zawsze czegoś mi brakowało. Wreszcie mogę powiedzieć, że moje marzenie spełniło się. Klub "Sukcena steleto" jest znany w regionie. Braliśmy udział w niejednej imprezie esperanckiej, organizowanej przez esperantystów pełnosprawnych, choćby w Białymstoku, Olsztynie, Warszawie. Na każdy sukces trzeba solidnie popracować, manna sama nie spada z nieba.

- Mogę jeszcze raz spróbować.

- Mam nadzieję, że uda ci się Urszulo, stworzyć ten klub. My, w Warszawie, też borykamy się z kłopotami. Mamy jednak nad wami przewagę, gdyż nasz klub "Verda rondeto" (Zielone kółko) działa już wiele lat.

Dlatego życzę ci sukcesu.

W poniedziałek planowana była wycieczka do Cieszyna, ale ponieważ znów się rozpadało, przewodnik zaproponował jej przełożenie na wtorek, o ile pogoda ulegnie poprawie. Grupy przystąpiły do zajęć.

- Serdecznie wszystkich witam na pierwszych zajęciach - powiedziałem do nowych adeptów języka, kiedy wszyscy usiedli przy stolikach w sali gimnastycznej. - Moim zadaniem jest wprowadzić was w tajniki języka międzynarodowego. Najpierw postaram się wyjaśnić wam słowo "esperanto". Po polsku jest to imiesłów czynny, a oznacza mającego nadzieję. Rdzeń tego słowa: esperio - oznacza nadzieję. Twórcą jest polski lekarz-okulista Ludwik Lazar Zamenhof, urodzony 15 grudnia 1859 roku w Białymstoku, a zmarły 14 kwietnia 1917 roku w Warszawie. Po ukończeniu gimnazjum w Białymstoku studiował w Warszawie medycynę. 26 lipca 1887 roku ukazał się podręcznik do nauki tego języka Pomocniczy język międzynarodowy, autorem był doktor Esperanto. Stąd język przyjął oficjalnie nazwę esperanto. Kiedy skończyłem wykład o języku i jego twórcy, zapytała mnie Teresa:

- Czy widział pan ten podręcznik?

- Oczywiście, że go nie widziałem, ale posiadam jego reprodukcję, która ukazała się z okazji 100-lecia istnienia esperanto w 1987 roku. Mogę się jednak pochwalić, że mam białego kruka, którym jest podręcznik do nauki esperanto dla studentów, napisany przez Zamenhofa. Ukazał się w 1905 roku, a jego cena wynosiła 15 rosyjskich kopiejek.

- Z tego widać, że kierownik zgromadził już księgozbiór.

- Tak. Mam w domu dla przykładu Pana Tadeusza Adama Mickiewicza, w przekładzie Antoniego Grabowskiego, zwanego ojcem poezji esperanckiej. Jest też Biblia, którą tłumaczył sam mistrz. Z książek brajlowskich mam opowiadanie Bolesława Prusa Peko de la infaneco (Grzechy dzieciństwa) i Jarosława Iwaszkiewicza La kvarteto de Mendelssohn kaj aliaj rakontoj (Kwartet Mendelssohna i inne opowiadania). Posiadam też utwory rosyjskiego niewidomego esperantysty Wasylija Jeroszenki, którego jubileusz 100-lecia urodzin obchodziliśmy w 1990 r. Należą tu Z życia Czukeczów i Utwory oryginalne. Wspaniałym podręcznikiem do pogłębiania znajomości języka jest Paso al plena posedo (Krok do pełnego opanowania), napisany przez angielskiego esperantystę Wiliama Aulda.

Następnego dnia rzeczywiście pogoda uległa zmianie, słońce przybrało pełnię barw, wszystko się zazieleniło.

- Witam was, lufciarze - zażartował pan Edward, miejscowy organizator turystyki. - Pojedziemy dziś podziwiać okolice Cieszyna i wybierzecie się po zakupy do Czech.

Pan Edward mówił do nas w gwarze, a słowo "lufciarze" oznacza przyjeżdżających po świeże powietrze. Kiedy już ruszyliśmy i pan Edward zaczął opowiadać historię tutejszego regionu, na moment zapadłem w zadumę.

To już minęło 25 lat, od kiedy param się esperanto. Do 1978 roku zajmowałem się nim niezbyt poważnie. Wówczas po raz pierwszy wybraliśmy się na wczasy esperanckie, które organizowała Krajowa Sekcja Niewidomych Esperantystów, powołana oficjalnie dwa lata wcześniej. Tam nie tylko w znacznym stopniu poprawiłem znajomość języka, ale poznałem wielu adeptów esperanto, przede wszystkim redaktora "Pola Stelo", przewodniczącego zarządu sekcji Józefa Smietanko. Na rozmowach spędziliśmy wiele chwil, snując plany i marzenia. W lipcu 7-osobowa grupa wyjechała do Warny, by uczestniczyć w 46 Międzynarodowym Kongresie Niewidomych Esperantystów. Dla mnie była to wielka przygoda. Wszyscy uczestnicy bez pomocy tłumaczy mogli się bez trudu porozumiewać. Poznaliśmy tam wspaniałego Bułgara Michaiła Karamichjlowa, niewidomego dyrygenta 70-osobowego zawodowego chóru bułgarskich niewidomych. W chórze tym jako solista śpiewał Stefan Paskulow, z którym spotykaliśmy się potem kilkakrotnie. Tam zetknęliśmy się z Janem Soralen z Montrealu i Jurijem Pisarewem z Jakutska, nauczycielem matematyki w szkole dla niewidomych. Wtedy też poznaliśmy Łotyszkę Rutę Babiską z Rygi. Z wieloma z nich nawiązałem kontakt listowny. Ale wtedy, na kongresie, zrozumiałem, że sporo mi jeszcze brakuje, by się swobodnie czuć w tym środowisku i postanowiłem zmienić mój stosunek do esperanto. Na nowo zabrałem się do nauki.

- O której będziemy wracać - Stasiek przerwał moje rozmyślenia.

- Wracamy na obiad, a potem będą zajęcia.

Zdążymy na zakupy do Czech?

- Zdążymy. Wszystko zostało zaplanowane.

- Dziękuję.

Jako pierwsi goście zjawili się panowie profesor Kazimierz Szczurek i inżynier Zdzisław Glajcar z Cieszyna.

Pierwszy to nie tylko dobry esperantysta, ale również autor i tłumacz literatury polskiej. Opowiedział o swojej drodze literackiej. Na koniec mogliśmy kupić jego tomik Homoj, verkoj, ideoj (Ludzie, dzieła, idee) z dedykacją. Inżynier mówił o aktualnym stanie ruchu esperanckiego w tutejszym regionie. Również w roku ubiegłym mieliśmy z nim

spotkanie, nie był więc dla nas osobą obcą. Jeszcze Angelika zrobiła nam wspólne zdjęcie na tarasie przed Ośrodkiem.

Próbowałem się dodzwonić do Gertrudy Pisarek do Skoczowa. Brała ona udział w uroczystym spotkaniu w Stegnie Gdańskiej z okazji 10-lecia istnienia naszego klubu. Od 4 do 11 kwietnia 1994 roku organizowała autokarową wycieczkę do Rzymu, w której uczestniczyły trzy nasze słabo widzące panie: Urszula Giercarz z Rybnika, Aniela Kisiała z Cieszyna i moja małżonka. Pierwsze dwie brały udział w naszym turnusie, a więc miały sporo czasu, by nieraz wspominać pielgrzymkę. I nagle niespodziewanie Gertruda zjawiała się w moim pokoju.

- Witam cię - powiedziała w minorowym nastroju.

- Witam - uścisnąłem jej dłoń. - Co ci jest?

- Bola mnie dziąsła i gardło, że nawet trudno coś mi przełknąć.

- Rozumiem.

- Mimo wszystko musiałam do was przyjechać i powiedzieć choć kilka słów.

Moja pielgrzymka była bardzo udana. Na pewno już ci o niej opowiedzieli.

Sama jeszcze zbyt wiele o niej nie myślałam. Czuję się bardzo słaba i chora, ale myślę, że to szybko minie i powrócę do aktywnej działalności w ruchu katolickim.

- Życzę ci tego.

Kiedy we dwoje skierowaliśmy się do kaplicy błogosławionego Alberta, po drodze spotkaliśmy innych gości... których wcale nie oczekiwaliśmy.

- Witamy - powiedziała do mnie Elżbieta Harężlak z Bielska-Białej i podała mi dłoń.

- Bardzo gorąco witam.

- A to są moje dwie uczennice-esperantystki: Kasia i Małgosia.

- Witam obie u nas.

Po chwili podeszła Urszula i przywitała się z gośćmi. Ona знаła wszystkie panie, bo się spotykają przy różnych okazjach. Z rozmowy dowiedziałem się, że Urszula zaprosiła panie z Klubu z Bielska-Białej, o ile Elżbieta będzie dysponowała wolnym czasem. Tak się też stało. Naprędce zorganizowano krótki koncert, przy akompaniamencie piosenek recytowały po esperancku, a publiczność nagradzała je gorącymi oklaskami. To dla nas była ogromna niespodzianka. Zostaliśmy zaproszeni na spotkanie do Bielska-Białej.

W poniedziałek 25 kwietnia tuż po śniadaniu ruszyliśmy w podróż autokarem przez Wisłę do Istebnej i Koniakowa. Pan Edward relacjonował trasę przejazdu. W Wiśle byłem jeszcze jako widzący chłopak na dwutygodniowym turnusie. Ale tym razem najważniejszym celem była Istebna, położona u stóp Złotego Gronia. Tu znajduje się zabytkowa dymna chata,

wybudowana przez przodków pani Zuzanny Kawulok, znanej esperantystki. Kiedy dowiedziała się, że znów ją odwiedzamy, była ogromnie rada. Ona tu, z dala od świata, sama nauczyła się języka międzynarodowego i dzięki niej odbyło się wiele podróży zagranicznych. W dodatku jej ojciec skonstruował kilka instrumentów muzycznych, na których ona potrafi swobodnie grać. Dla naszych początkujących była to praktyczna lekcja, że warto się uczyć.

Zawsze na zakończenie turnusów grupa organizuje imprezę "Spotkanie z Esperantem" dla uczestników wszystkich turnusów, aktualnie przebywających w Ośrodku. Miejszem imprezy była sala gimnastyczna. A więc o 19.00 rozpoczęliśmy. Elżbieta jako konfienansjerka opowiedziała po krótko o samym esperanto, a następnie prezentowała program artystyczny: piosenki, wiersze, nawet żarty. Program został przyjęty owacyjnie, z bisami.

- Dla mnie była to praktyczna lekcja tego języka - powiedziała na koniec pani Róża Sowa, nauczycielka z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Krakowie. - Nigdy dotąd nie słyszałam takiego programu. Naprawdę, ten język to wspaniałe narzędzie rehabilitacji inwalidów wzroku. Wasza grupa zasługuje na ogromną pochwałę. Życzę wam dalszych sukcesów na tym polu. Niech esperanto rozwija się w waszym środowisku i niech jak najwięcej osób garnie się do tego ruchu.

- Ja do tej pory nie słyszałam esperanto - głośno wypowiedziała swoje myśli inna niewidoma, Maria Tarlaga z Okręgu Tarnowskiego. - Znam tylko biernie język, nigdy nie miałam okazji, by nim mówić. Teraz przekonałam się, jak on wspaniale brzmi. Postanawiam, że będę się go uczyła, by włączyć się do ruchu esperanckiego.

To tylko dwa głosy, wypowiedziane po naszym występie. Dobrze się stało, że doceniono nasz wysiłek i trud. Byłem bardzo zadowolony.

- Jeszcze raz dziękuję - ucałowała mnie Róża. - Jesteście wspaniali.

Warto tak działać. Gratuluję.

Czas szybko minął na zajęciach, spacerach po okolicznych wzniesieniach, na wycieczkach, spotkaniach czy ogniskach. Większość wieczorów po krótkich spacerach spędziliśmy w kawiarni na tańcach. Nadszedł czas na dokonanie podsumowania turnusu. Spotkaliśmy się wszyscy po obiedzie w ostatnim dniu w kawiarni na kawie i lampce wina. Obecna też była pani dyrektor Ośrodka Małgorzata Nowicka. Na wstępie podziękowałem gospodyni za gościnność, smaczne i obfite posiłki oraz za wspaniałą atmosferę. To samo wyraziła przewodnicząca Zuzanna. Padła propozycja, by również w przyszłym roku w drugiej połowie kwietnia zorganizować taki turnus, także dla niewidomych z zagranicy. Chodzi o to, by cały turnus zajęli miłośnicy języka międzynarodowego, by przez dwa tygodnie brzmiał tu tylko jeden wspólny język.

Tak krok po kroku, pod żaglami, na falach docieram do najdalszych zakątków świata dzięki wspaniałemu narzędziu, jakim jest esperanto.

Czesław Kwiatkowski „Urodziny”

II nagroda w kategorii wspomnień

Jestem bity. Bardzo bity. Ciężko spracowana ojcowska ręka głośnym plaśnięciem wali się na moje opuchnięte pośladki: prawy, lewy, prawy, lewy.

W końcu udaje mi się wymknąć spod gradu kąśliwych wyrazów. Wrywam się jak oparzony i uciekam, gdzie pieprz rośnie.

Matka opowiadała mi niegdyś bajki o zaczarowanych królewnach, mieszkających w niedostępnych pałacach. Właśnie tam się udaję. Jest bardzo ciemno. Słyszę łomot. Ktoś wali do ciężkich drzwi. To ojciec! Będzie krzyczał. Przeskrobałem, muszę więc ponieść karę. Kopanie w drzwi nasila się. Biegam po spiralnych komnatach, by ustrzec się przed kolejnymi razami.

Już brak mi tchu, boli mnie w piersiach. Pies gdzieś ujada. Otwieram oczy.

Razi mnie oślepiające światło. A gdzie pałac? Znikł. Ale szczekanie psa nie ustaje. I ten huk, ten łomot.

- Otwierać! - ryczy złowieszczy głos.

Ojciec wstaje, zapala lampkę, ubiera się, wychodzi. Otwiera drzwi. Do sieni ładuje się dwóch sowietów. Chyba oficerów. Ojca stawiają pod ścianą.

- Zbierajcie się! - rozkazuje pierwszy z nich. Drugi troskliwym wzrokiem pieści nasze zaspane buzie.

- Dajemy wam pół godziny czasu - łagodzi sytuację.

Ojciec, pilnowany przez uzbrojonych żołnierzy, stoi, milczy. Matka płacze, ale pakuje toboły z jedzeniem i odzieżą, pierzyny. Upycha wszystko jak leci, w pośpiechu, bo przecież czekają.

Ciemna noc patrzy na nas złowieszczym okiem. Ogromne płaty śniegu sypią jak oszalałe. Spakowani wychodzimy z domu. Żegna nas kochana, wierna, stara wilczurzyca Aza. Wyje żałośnie, jakby czuła, że już nigdy tu nie wrócimy.

Jest okropnie zimno. Zapłakani, wyrzucani nie wiadomo za co, brniemy w chrupiących zaspach śnieżnych. Aza wyje przeciągle, szarpie łańcuchem.

Ładują nas na ciężarówkę. Przy wtórze silnika odjeżdżamy. Ojciec mamrocze coś o ewakuacji przed Niemcami. - Jacy Niemcy? Ja ani jednego nie widziałem. Wszędzie ci paskudni sowieci. Rozbrykali się jak dziadowski bicz. - Noc z 9 na 10 lutego 1940 roku kończy się nieszczęśliwym finałem.

Śnieg coraz intensywniej sypie, zrywa się wiatr. Nasz dom niknie w oczach, staje się maleńkim punkcikiem. O! Już go nie ma. Wiozą nas nie wiadomo dokąd. Rodzice domyślają się czegoś. Pewnie zdają sobie sprawę, co ich czeka. Najgorsze jeszcze przed nami. Wczoraj lepiłem ze śniegu bałwana, a dziś splakany, wyrwany z wiejskiego zacisza, opuszczam ukochany dom, pole.

Nie czuję już lęku. Jestem zbyt mały, aby się czegoś obawiać. Szok.

Najmłodsza siostra, Zosia, płacze w ramionach matki. Ojciec milczy.

Ciężarówka trzęsie straszliwie. Śnieg nadal sypie i sypie. Mijamy wiejskie chaty i okazałe dwory. Zaczyna świtać. Zosia zasypia. Od czasu do czasu auto zatrzymuje się. Konwojenci coś sprawdzają, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Ruszamy dalej.

Husiatyn. Wyrzucają nas na dworcu, gdzie zebrała się ogromna ciżba ludzi.

Na nas czeka długi pociąg. Pod czułą "opieką" enkawudzystów ładują nas do bydłowego wagonu. Okropny ścisk, smród. Zawodzenie kobiet, płacz dzieci, szczęk broni gotowej do strzału. Ludzie żegnają się. Podają nam jedzenie: chleb, mleko. Błogosławią. Kwilenie niemowląt. Konwojenci ryglują drzwi.

Odjazd. Każde miejsce może być domem. Wystarczy tylko pomyśleć. Nawet śmierdzący wagon bydłowy. Tutaj możesz się wszystkiego nauczyć i wszystkiego odczytać. Spojeni jedną wielką niedolą dorośli modlą się, proszą Boga o szczęśliwy przebieg wyprawy. W końcu jedziemy w nieznane. W "naszym domu" mieszka czterdzieści osób. Zakratowane i zabite deskami okna dostarczają bardzo skąpe światło. Długie drewniane półki, nary, służą do spania i siedzenia. Cuchnąca dziura, wycięta w środku podłogi, to wychodek a jednocześnie wywietrznik. Jest zbyt mały, żeby uciec. Jedyne piecyk żelazny bardzo słabo grzeje. Kobiety, przyrządzając skromne jadło, kłócą się zażarcie. My podchodzimy blisko, by się ogrzać, ale za bardzo parzy w ręce. Jak na tutejsze warunki jest nieźle. Przydzielonego węgla nie brakuje. Polscy "burżuje" muszą dojechać żywi. Kogoś trzeba przecież zatrudnić w imię socjalizmu. Na razie jedziemy bez świadomości, niepewni jutra. Każdego ranka otwierają się drzwi wagonu.

- Kto padoch? - ryczy konwojent.

Zawsze znajdzie się jakiś słabeusz-kandydat do przejścia na tamtą stronę.

Umierają dzieci, nie wytrzymują przenikliwego zimna. Żeleźniak nie zaspokaja potrzeb. Umierają kobiety ciężarne, położnice. Coraz większy luz, a coraz mniej jedzenia.

„Dobrzy” enkawudziści pozwolili nam wziąć w miarę dużo rzeczy. Innym współmieszkańcom wolno było zabrać tylko trochę bielizny i parę kanapek.

Szaleje głód, atakują choroby. Codziennie przynoszą wiadra z wodą, ale pociągiem tak rzuca, że wylewa się, nie starcza na mycie ani gotowanie.

Oblepieni brudem czujemy się źle. Atakuje okrutny natarczywy świąd skóry, pokazują się pierwsze wszy. Dorośli gryzą się niemilosierdzie, my próbujemy się bawić. Zawijają się pierwsze, krótkie przyjaźnie.

Enkawude ”dba” o nas. Oczyszcza pociąg z odpadów - trupów, które należy rozebrać. Ubranie zawsze może się komuś przydać. Złapać za nogi i wyrzucić w śnieg. Żegnamy ich modlitwą. Zaryglowane drzwi i znów jedziemy dalej i coraz dalej od naszych domów, wiosek i miast. Matka otula nas pierzyną, drży ze strachu, odmawia różaniec. Zosia choruje, trapi ją straszna gorączka. Chyba umrze. Rano, jak zwykle, otworzą się drzwi wagonu i wyrzucą ją jak psa. Odejdzie od nas bez pogrzebu. Może kiedyś jakaś dobra ręka wykopie mogiłę przy drodze i ją pochowa? Ile takich grobów przypadkowych wyrosnie przy miedzach wśród złotych pól? Kobiety wspólnymi siłami ratują naszą siostrę i inne chore dzieci. Grzeją resztki wody, dzielą się skromnymi porcjami jadła. Ja też jestem słaby, nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Kiedy skończy się ta uciążliwa podróż? Tak bardzo tęsknię za świeżym powietrzem, zapachem łąk i słońcem.

Marzec to początek wiosny. Kto nie szuka jej śladów? Śnieg topnieje, zasilając okoliczne rzeki. Młode śnieżyczki wychylają główki, uśmiechając się do słońca. Powietrze pachnie ziemią i końskim gnojem, gdy tylko przestanie padać. Kobiety wynoszą balie z bielizną, którą biją kijankami w rzece; tak odbywa się pranie. Potem ”ozdabiają” nią płoty. Kury głośnieją pieją. Ptactwo wraca z ciepłych krajów do swoich gniazd. Na gościńcach wzmożony ruch. Przyroda budzi się ze snu. Taki obraz zapamiętałem z dziecięcych lat. Było tak w naszej wiosce.

Miesiąc jechaliśmy do celu. Wysadzono nas w jakimś mieście. Jeszcze nie wiedziałem gdzie. W dużej jadalni dali nam kocioł z paskudnym kapuśniakiem.

Nie jadłem nawet tego. Po tym ”pożywnym” jedzeniu wsiedliśmy do sań, zaprzęzonych w syberyjskie koniki i korytem rzeki pomknęliśmy w dal. Wiatr przeszkadzał. Nieskazitelna biel śniegu kłuła w oczy. Czyste powietrze wypełniało płuca. Straciliśmy rachubę czasu. Nie myślałem, że w marcu może być gdzieś jeszcze taka zima. I ten mróz, taki siarczysty! Pod naszym domem już pewnie jaskółki remontują gniazda. A tu?

Wieczorem sanie zatrzymały się. Ulokowano nas w szopie. Nazajutrz ruszyliśmy w dalszą trasę. Tak po trzech dobach sanny wjechaliśmy do posesi. Przydzielono nam domki zbudowane z drewnianych pali uszczelnionych mchem. W każdym domku, składającym się z dwóch izb, mogły zamieszkać tylko dwie rodziny. Spisano personalia. Dzieci skierowano do szkoły, by uczyć je języka ojczystego. Rzecz jasna - rosyjskiego. Dorosłych zmuszono do ciężkiej pracy.

Gdybyś, przyjacielu, przypadkiem znalazł się na obszarze tajgi, przywita cię ona jak gościnna kobieta, matka. Pokaże swoje wdzięki w całej okazałości. Jest bardzo muzyczna. Tu nawet, gdy wiatr udaje się na spoczynek, a jego miejsce zajmuje przenikliwa cisza, usłyszysz nieskończony szum drzew. Ten monolog rozweseli smutnych. Do osobliwej narracji dołączy perkusja trących się gałęzi. Wypada dodać żalostny jęk wilków. Tajga tańczy.

W rytmie wiatru wysmukłe sosny, od północy porośnięte mchem i obwieszane ciężkimi szyszkami, z białymi brzoźkami spletają się w gąszcz, przez który trudno się przedrzeć. Z tych czułych uścisków powstał niejeden pożar. Na kanwie symfonii rozsiewają się migocące kolory jesieni, krótkiej, lecz zaborczej. Latem uśpi cię szelest paproci i innych krzewów, których nazw nawet nie pamiętam. Okoliczne bagna zamieszkują miliardy muszek i komarów.

Ich brzęczenie niesie się echem po okolicach. Niby monotony pomruk wznosi się i opada wokaliza dzikich gęsi, tokujących na mokradłach i trzęsawiskach.

Tajga żywi. Latem roi się od grzybów. Polany czernieją od nieprzebranych ilości jagód i borówek. A zimową porą zawzięci myśliwi mogą polować na dziką zwierzynę. Tajga także ubiera. Skóry z łosi i niedźwiedzi służą jako okrycie dla mieszkańców posesi. Która kobieta z bogatego Zachodu nie marzy o futrze z syberyjskich lisów i popielic?

Jeśli wywloką cię z własnego domu jak niepotrzebną rzecz i porzucą na syberyjskim padole, tajga, niezrozumiana przez ciebie i ciebie nie rozumiejąca, okaże się wrogiem. Blisko domu łagodna, ofiaruje ci koryta rzek, w których możesz się wykąpać lub wyprać bieliznę, jeśli ją w ogóle masz. Woda jest tu czystutka, więc można ją pić bez obawy. Im dalej pójdziesz, tajga choć piękna, staje się bardzo groźna. Czekają na ciebie bagna, których instynktownie unikają najpotężniejsze zwierzęta. Możesz zginąć w silnych mackach zwisających konarów drzew. Ta dobrotliwa żywicielka nie zostawi ani jednej jagódki, grzybka czy innego owocu do zjedzenia, bo oprócz ciebie żyje tu tłum wygłodniałych zesłańców. Nawet niedźwiedź, niegdyś łatwy do upolowania, zmienił miejsce wędrówki, by uniknąć śmierci z ręki człowieka.

Zimowa muzyka tajgi jest okrutna. Silne wiatry wyją przeraźliwie. Nie usłyszysz własnego głosu. Gdy nie wykopiesz korytarza w ponad dwumetrowych zaspach śnieżnych, jesteś skazany na śmierć głodową we własnym domu. Huk pękającego lodu, to też muzyka, dająca nadzieję na lepsze jutro. Ustąpią trzaskające mrozy, dochodzące do minus sześćdziesięciu stopni Celsjusza.

Roślinność ożywi skostniałe okolice bogactwem kolorów. Nadejdzie upalne, krótkie lato, a potem znów jesień i długa uporczywa, mordercza zima.

Pracowita zima. Zgrzyt ręcznych pił, wycinających potężne brzozy i sosny, stuk siekier, jęki konających pilarzy, przywalonych osuwającymi się pniami.

Ile ofiar pochłonęła tajga. Jeśli nie zginęli na miejscu pracy lub w drodze, padali z głodu i zimna.

Jedną z ofiar był mój ojciec. Osłabiony morderczą pracą przy wyrębie lasu, poganiany biczem brygadzysty, męczył się szybko z niedożywienia.

Pewnego ranka już nie wstał z wyrka skleconego z nie heblowanego drewna.

Przyszedł nadzorca, zbadał pacjenta i stwierdziwszy normalną temperaturę ciała zbił i skopał niemiłosiernie niepoprawnego lenia-burżuja. Chory, skatowany ojciec, upokorzony, zmarł po trzech dniach, pozostawiając biegowi losu zrozpaczoną matkę oraz nas - czworo małych dzieci. Matka pracowała w tartaku. Wynosiła ciężkie wory z trocinami. Wkrótce zachorowała, strawiona tęsknotą za krajem. Bezradna i słaba z głodu snuła się jak cień, płacząc po cichu i załamując zniszczone ręce. Opuszczona, przestała nawet pracować. To dziwne zachowanie się polskiej arystokratki nie spodobało się "uczciwym" władzom sowieckim, zabrano więc ją z domu, podstępnie zamknięto gdzieś daleko, a potem wywieziono i wszelki ślad po niej zaginął. Matka była tak słaba i nieszczęśliwa, że nie miała nawet siły oprzeć się sowieckim zbójcom.

Wzięta nagle, nie zdążyła się z nami pożegnać. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się o jej zgonie. My, polskie sieroty, straciliśmy rodziców w czterdziestym pierwszym roku. Musieliśmy się uczyć żyć na własną rękę.

Każdy chce żyć. Naukowcy stwierdzili, że embrion, usuwany z łona matki, broni się, wierci, boi się rozstania z nią. Starzec, znękany chorobami i przeciwnościami losu, czeka nadejścia zbawiennej śmierci, lecz gdy słyszy szelest jej skrzydeł, wyciąga ręce ku uciekającemu życiu. Wiesz czy pluskwa też nie chcą umierać. Na ilość i różnorodność tych owadów nie mogę narzekać.

Na obszarach ludzkich ciał tworzyły sobie skupiska. Rozrastały się w kolonie, a gdy brakło miejsca na skórze, bo nawet alejki w owłosieniu były zajęte, wszy drążyły korytarze

pod skórą, żywiąc się naszą krwią. Niszczyły nasze organizmy, roznosząc zarazki chorób. Gdzie nie spojrzeć, tam wszy: w odzieży, w siennikach. Brak higieny i środków bakteriobójczych, osłabienie wywoływały epidemie tyfusu. Ludzie padali jak muchy. Robotnicy po pracy zajmowali się kopaniem grobów. Zimą ciała wyrzucano po prostu w śnieg.

Dopiero wiosną, gdy widać było brudne nogi, zbijano z desek nie heblowanych korytka i zmarłych chowano. Rozsiane po posiołku mogiły stanowiły smutną dekorację naszego życia. I nas tyfus nie ominął.

Wiosną czterdziestego pierwszego roku mnie i brata rozboleły głowy. Na skórze pojawiły się grudki. Słabliśmy z godziny na godzinę. Nieprzytomnych, otulonych wysoką gorączką, zabrano nas do baraku przeznaczonego na szpital.

Dołączyła siostra Zosia. Początkowo opieka była nie najgorsza. Rosyjskie pielęgniarki, miłe dla pacjentów, nie szczędziły sił i rąk do pracy.

Chorych wciąż przybywało. Konających zrzucano z barłogu na podłogę, by ich miejsca zająć mogli nowi pacjenci. Brakowało leków.

Niespodziewany atak Niemców na ZSRR wywołał panikę wśród mieszkańców. W myśl komunistycznego hasła: "Wszystko dla frontu", szpital nagle opustoszał, bo cała obsługa sanitarna, z felczerem na czele, poszła na ochotnika na wojnę. Ludzie, pozbawieni opieki, umierali w straszliwych męczarniach i samotności. Epidemia rozrastała się do niesamowitych rozmiarów. Kobiety, przeważnie starsze, postanowiły działać. Znały tajniki medycyny ludowej. Z ziół, uzbieranych na polanach, przyrządzały wstrętne, lecz skuteczny wywar, którym poiły leżących. Resztkami sił i własnymi pomysłami silniejszych pacjentów przywracały do życia. Pamiętam starą babkę Bojkową, Polkę, która padała ze zmęczenia, by nas ratować. Nigdy nie spotkałem tak czulej i oddanej pielęgniarki. Matka też pomagała.

Pluskwa także chce żyć. Odporna na niskie temperatury i głód, może nawet pół roku przebywać w anabiozie między życiem a śmiercią. Wysuszona i cienka jak listeczek siedzi w szczelinach między balami lub w meblach, lecz gdy poczuje woń ludzkiego potu, spada, nie wiadomo skąd, na ciało człowieka i wysysa krew. Wówczas wielkością i kształtem przypomina dużą jagodę.

Wystarczy ją lekko dotknąć, a już pęka, rozsypując się i napęlniając powietrze mdłym smrodem. Pluskwy, podobnie jak wszy, mnożą się szybko, ale trudniej je wytępić, bo atakują zniemacka. Na ciele pokąsanych przez te małe szkodniki, tworzą się ropne ogniska. Komary i muszki stanowią również niemiłą plagę. Nieostrzegalne gołym okiem kąsają boleśnie. Ileż to razy, pogryziony przez te maleńkie pasożyty, musiałem moczyć się w rzece, by choć na

chwile złagodzić objawy okrutnego świądu. Zmęczony, zbolący kładłem się spać, a w szmatach, zwanych szumną pościelą, czyhała na mnie kolejna inwazja wszy i pluskiew.

Głód boli. Strasznie boli. Uczucie powszechnie zwane głodem niczym nie przypomina prawdziwego. Pierwszy etap to nieprzyjemne ssanie w żołądku, uczucie łaknienia. Jadłbyś wszystko, co leży na stole. Po pewnym czasie spada waga ciała. Nie czujesz już łaknienia, obojętniejesz, słabniesz. Już nie zjadłbyś wiele. Wycieńczony czujesz, że puchną ci ręce, nogi, brzuch.

Biegunki jeszcze bardziej osłabiają organizm. Jeśli głód trwa dłużej, spustoszenie czyni tak zwana cynga. Dziaśła puchną i krwawią, zęby można wyjmować palcami, a owrzodzenia zmieniają barwy i kształty. Rozsiewa się słodka gnilna woń ropy.

Gdy przyjechaliśmy na Syberię, władze cywilne i wojskowe wprowadziły jako taki ład i porządek. Regularne dostawy żywności i leków pozwalały przeżyć od rana do wieczora. Przyzwyczailiśmy się do zgniłych śledzi, brukwi, robaczywych ziemniaków i gliniastego chleba, którego nikt by dzisiaj nawet nie tknął. Kto mógł, polował na ptactwo. Polanę oskubano z grzybów i jagód.

Zabijano niedźwiedzie. Dopiero, gdy Niemcy złamały pakt o nieagresji, nie nasycone żądzą władzy, wkroczyły na ziemie sowieckie, skończyły się dobre czasy. Paczki od rodzin przestały docierać. Dopiero teraz głód pokazał prawdziwe oblicze. Jedynym moim pragnieniem było zdobycie chleba, nawet nadziewanego robakami. Śniły mi się bochny, które rosły, mnożyły się, już podchodziły pod nasz dom, wabiły świeżym zapachem. Widziałem je wszędzie.

Wyciągałem rękę, by sięgnąć po największy z nich, rozłamać go i podzielić się z rodzeństwem. Chleb zniknął, a ja budziłem się spocony, niespokojny.

Sny o chlebie prześladowały mnie. Chudłem, słabłem. Pięćdziesiąt gramów, które dawano nam na cały dzień, zjadałem w ciągu minuty. Zauważyłem, że tracę wzrok. To zasługa awitaminozy, ostrego słońca i śniegu. Szczególnie wieczorem nie widziałem.

Nieodłącznym elementem krajobrazu Rosji jest bania, czyli łaźnia. Tu, na Syberii, była to buda sklecona z drewna, postawiona nieopodal rzeki, by woziwoda miał wygodę. Wewnątrz paliło się w piecu, a mieszkańcy nadzy, bez skrępowania układali się na szerokich półkach, brudnych i obślizgłych. Para wodna, zmieszana z niemiłosiernym smrodem, dobijała słabszych, dlatego nie wszyscy korzystali z dobrodziejstw tego przybytku. W siedlisku wszy, pluskiew i bakterii ludzie czuli się swobodnie, biczowali siebie i sąsiadów brzoźowymi miotłami, oczyszczając ciała z grubej warstwy brudu. Stanowiło to swoisty masaż.

Samotność boli. Gdy nie masz nikogo, szukasz przyjaciół w knajpie, na ulicy, w agencjach towarzyskich. A co mają powiedzieć biedne, wyrzucone z domu dzieci. Po śmierci rodziców zostaliśmy sami jak palec. Rosjanka, niejaka Kuzkowa, słysząc płacz polskich wygłodniałych sierot, przyszła nam z pomocą i przyniosła coś do jedzenia. Nianczyła chorą siostrę, Zosię.

Gdy na mocy porozumienia Sikorski-Stalin utworzono armię polską, wszyscy nasi współbracia z rodzinami opuścili posiótek i wyjechali gdzieś tam na południe. Z relacji kombatantów dowiedziałem się, że wielu z nich padło ofiarą czerwonki i dezynterii. My pozostaliśmy pod czułą opieką starej Bojkowej. Szkoła także rozsypała się. Nie było papieru ani kredy.

Nauczycielki ciężko pracowały na rzecz komunizmu i frontu, a dzieci rosyjskie robiły, co chciały. Rozpusta kwitła. Dorośli, wycieńczeni ciężką pracą i chorobami, umierali. Pozbierano więc wszystkie sieroty i zorganizowano tak zwany tymczasowy dom dziecka. Panował tam straszliwy bałagan. Nikt nikogo nie pilnował. Wzmagą się tęsknota za Polską.

Powtarzał się ten nieustanny sen z biciem i pałacem. Na jawie ojciec był człowiekiem łagodnym. Co miała oznaczać kara? A może zostaniemy tu na zawsze i wszczęją nas w gąszcz sowieckiej gawiedzi? A może zostaniemy wynarodowieni i zapomnimy o Polsce? Nie! Nigdy! Nigdy nie przestaniemy być Polakami!

Pewna nauczycielka dowiedziała się o polskim domu dziecka. W czterdziestym trzecim roku, gdy powstał Związek Patriotów Polskich, zabrano nas z przyjaznego już posiołka i odtransportowano do Oparina, leżącego na trasie Kirow-Kotłas. Wojna wciąż trwała. My jednak mieliśmy nadzieję, że powrócimy do kraju. Rosłem, mając świadomość, że muszę wspierać młodsze rodzeństwo. Przeszkadzał mi w tym słaby wzrok. Czułem się już dojrzałym mężczyzną, mimo dwunastu lat. Postanowiłem znieść każdy ciężar. Zaczęły kształtować się nasze charaktery. Niektórzy koledzy działali w Komsomole.

Zaostrzyła się wrogość między Żydami, Białorusinami, Ukraińcami i Polakami.

Czekaliśmy końca wojny. Nadchodziły transporty z żywnością. Dzięki dobroci Wandy Wasilewskiej zaczęły ukazywać się polskie książki. Rosjanie, demonstrujący niegdyś bardzo wrogą postawę wobec nas, okazywali nagłą przyjaźń, a nawet serdeczność. Nie myśleliśmy nigdy, że Polska może być krajem socjalistycznym. Byliśmy jednak pewni, że życzenie szefa enkawude nie spełni się. W czterdziestym roku w czasie wieców, na które spędzano robotników, głosił on swoje ulubione zdanie: "Prędzej ja zobaczę własne ucho, niż ci przekłeci burzuje Polskę". Opiewano dobroć Lenina i pod niebiosy wynoszono Batuszkę. Wandę Wasilewską kazano nam szanować jak własną matkę. Stawałem się coraz dojrzały. Wiedzę

z polskich książek chłonałem jak gąbka. Pachniał ojczysty chleb. W marzeniach widziałem złote łany zbóż, kołyszące się na wietrze, słyszałem gwar pszczoł, tańczących nad łąkami. Dzielnie walczyłem z mazgajstwem, ale wieczorami myśl zawisała nad grobem ojca, samotnie stojącym w dawnym posiołku. Dobrze, że pozwolili umieścić na nim krzyż, który, być może, ktoś zużył na podpałkę i z tablicy zniknęło epitafium, napisane kredą. O grobie matki nie wiedziałem nic.

Wspominaliśmy pierwsze dni pobytu na Syberii: pierwsze Boże Narodzenie w dzień roboczy, przy pustym stole, złożonym z pniaków i nie heblowanych desek. Minał czas okrutnego głodu, jednak wciąż odczuwaliśmy niedosyt.

Rozpoczęły się przygotowania do drogi powrotnej. Do kraju przyjechaliśmy w roku czterdziestym szóstym. Ukraińskie i białoruskie dzieci z dawnych terenów polskich pozostawiono w ZSRR. Płakały. Wiedziały, co je czeka.

- Wam będzie dobrze - mówiły, rozstając się z nami.

Z radością żegnaliśmy niegościnną ziemię syberyjską. Jechaliśmy ponad miesiąc krytym wagonem pasażerskim, dołączonym do pociągu towarowego. W pamięci naszej wciąż tkwił smrodliwy, brudny bydłocy wagon ze śmierdzącymi marami-trupami, wyrzucanymi w śnieg i z cuchnącą dziurą-wychodkiem oraz kłótliwymi babami.

Przyjechaliśmy do Zbąszynia, gdzie poddano nas kwarantannie. Tu, na mocy układu jałtańskiego, w podzielonej Ojczyźnie, mieliśmy rozpocząć nowe życie.

Kłamstwo ma krótkie nogi - mówił ojciec. Uczył nas prawdomówności, uczciwego postępowania. Przed wojną, w kolonii polskiej na Wschodzie ojciec kupił od pewnego hrabiego parcelę, by wybudować na niej dom, którego nie zdążył ukończyć. Okłamany, wypędzony jak pies, do końca zachował ludzką twarz. Nam, ofiarom sowieckiej agresji, nie wolno było mówić prawdy. W imię przyjaźni polsko-radzieckiej trzeba było milczeć. Ścieliła się przed nami świetlana przyszłość. Przeszłość miała być wymazana z pamięci. Jedynym wrogiem miał być Hitler. Pod czujnym okiem Batuszki dorośli budowali nowy ustrój. My chodziliśmy do szkoły, gdzie uczono nas wypaczonej historii.

Prześladowania wrogów socjalizmu były publiczną tajemnicą. Wojna to pasożyt, który niszczy ludzkie charaktery. Cwaniak, co z nie jednego pieca chleb jadł, bez skrupułu bogaci się mieniem pozostawionym przez wypędzonych. W ogólnym rozgardiaszu brat zabija brata, mążatka zdradza męża, walczącego na froncie.

Najbardziej podatne na zmiany poglądów są dzieci. Efektem zawieruchy wojennej były kłótnie między nami, nastoletnimi chłopcami. Podzieleni na grupki i podgrupki tylko na czas krótki zjednoczyliśmy się. Minęły pierwsze radości ze spotkania po wojnie. Oswojeni z

otoczeniem, przeprowadzaliśmy wzajemne porachunki. Sieroty z innych okolic wojennej tułaczki śmiały się z naszej zruszczonej mowy. Z czasem przeniesiono nas do Babimostu, potem do Piły, gdzie uczyłem się zawodu elektronika. Po ukończeniu szkoły otrzymałem nakaz pracy i przyjechałem na Śląsk. Pracowałem na radiostacji i znów odezwały się wspomnienia. Moja praca polegała na zagłuszaniu "programów rewizjonistycznych".

Nowe, odradzające się społeczeństwo, nie miało prawa wiedzieć o aktualnej sytuacji w kraju, o represjach, prześladowaniach. Do lamusa historii schowano sprawę katyńską. Pokolenia, od przedszkola uczone przyjaznego stosunku do sowietów, nie chcą dziś wierzyć w ich wrogie do nas nastawienie; Syberia to groźna bajka Grimmów. Nawet nie wolno było im słuchać tragicznych opowieści o tysiącach Polaków zamęczonych w łagrach, rozłączonych rodzinach, bezlitosnych metodach tortur, stosowanych wobec więźniów, bezgranicznym głodzie. Nie pomyślą nawet o tym, że śmierdzący ochłap, znaleziony w śmietniku, dla wygłodniałego człowieka może być nielada przysmakiem.

Odwilż polityczna odkryła tajemnice zbrodni sowieckich, ukazała geograficzną sieć narodów zesłanych na Syberię. Na niechybną śmierć skazano Greków, Niemców, Czeczenów, Turków. Ziejące stosami tajnych dokumentów archiwa ujawniły nazwiska oficerów w bestialski sposób pomordowanych w obozach Starobielska, Kozielska, Ostaszkowa. Do dziś, niby przypadkiem, odkrywane są masowe groby. Mnie sześćoletni okres zsyłki wydawał się wiecznością.

Po powrocie do Polski drogi Sybiraków rozeszły się. Zmieniły się, być może, poglądy. Wielu z nas zmarło. Niektórzy, być może, zapomnieli, wyjechali na Zachód, by pławić się tam w dobrobycie i zamknąć w skorupce ławizny. Mimo starań ogromnej propagandowej maszyny komunistycznej, sowietci nie wynarodowili polskich sierot. Bóg nauczył nas przebaczać.

Jednak w sercu pozostał uraz, zadra, która nigdy się nie zagoi.

To wspomnienie dotyczy zaledwie ziarenka tragicznych dziejów naszej historii. Żadna książka nie jest w stanie przekazać autentyczności wydarzeń i ich skutków. Losy zesłańców wciąż nie są znane.

10 luty jest dniem moich urodzin. Taką oto niespodziankę podarował mi los, zamiast oczekiwanego upominku.